



Tina
Okpara

*Cena mojego
życia*

hachette
POLSKA

pisane przez życie

Okpara Tina

Cena mojego życia

Transakcję zawarto pewnego ranka na przedmieściach nigeryjskiego Lagosu. Adopcja. Tina nie mogła doczekać się wyjazdu do Francji, gdzie miała zostać przyjęta przez rodzinę o nazwisku Okpara. Matka, Linda, zajmuje się domem. Ojciec, Godwin, jest piłkarzem znanego francuskiego klubu Paris Saint Germain. Razem mają czworo dzieci. Tina marzy, żeby już z nimi być. Razem chodzić do szkoły, wspólnie bawić się w domu i na podwórku. Jednak rzeczywistość wygląda całkiem inaczej. Tina, wykorzystywana i nieustannie poniżana, śpi w piwnicy na gołym materacu. Pewnego dnia, korzystając z nieobecności żony, adopcyjny ojciec gwałci ją po raz pierwszy...

Od Redakcji

Cena mojego życia to książka brutalna, pełna rozpacz, niewyobrażalnego zła, które dorośli ludzie, opiekunowie mogą wyrzucić bezbronnemu, niewinnemu dziecku. To opowieść miejscami bardzo drastyczna, pełna opisów, które są szokujące. Nie chodzi tu jednak o tan, chwyt mający przyciągnąć Czytelnika skandalizującą otoczką. Ta historia wydarzyła się naprawdę. To wstrząsająca opowieść, dla której trzeba szukać mocnych środków wyrazu. O przerażających przeżyciach skrzywdzonej psychicznie i molestowanej seksualnie dziewczynki nie da się mówić w inny sposób. Zanim zdecydowaliśmy się opublikować tę książkę, długo rozmawialiśmy na jej temat w wydawnictwie. Mieliśmy wątpliwości. Poprosiliśmy o opinię psychologów i terapeutów, ośrodki w Polsce, które w swojej pracy na co dzień stykają się z dziećmi takimi jak Tina. To oni pomogli nam podjąć decyzję, przekonując, że tego typu książka jest potrzebna. Pokazuje bowiem piekło i ludzkie zwyrodnienie oraz udowadnia, że takich krzywd nie da się wymazać jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jednocześnie pokazuje, że nie wszyscy ludzie są źli, oraz przywraca wiarę w człowieka, jego miłość i dobroć. Książka jest także ostrzeżeniem, by nie być obojętnym, gdy obok dzieje się coś złego. Dlatego zdecydowaliśmy się przekazać ją w Państwa ręce.

Dziewczynka w worku na smieci

Chatou (Yvelines), luty 2005 roku

Pamiętam, że na dworze padało, a ja płakałam. Ogród widziany przez kurtynę deszczu przybrał szara, niemal cementową barwę. Łzy wyłobiły na moich policzkach koryta słonych rzek. Serce waliło mi jak szalone. Ciężko oddychałam i trudno mi było zebrać myśli. Przeszłam przez taras. Jeden krok, jeden mały krok. I kolejny, jeszcze mniejszy. Znalazłam się na trawniku. Pod stopami poczułam mokrą, zimną trawę. Pod wpływem gwałtownego powiewu wiatru zielona bluza przykleiła się do mojego ciała, a długa, szara spódnica przylgnęła do nóg jak lodowata skóra nosorożca. Coś mi podpowiadało, że muszę uciekać, uciekać, ile sił w nogach, najszybciej, jak tylko potrafię. Ale nie mogłam. Miałam wrażenie, że odarte z liści drzewa rzucą się na mnie swoimi poczerniałymi konarami i wepchną z powrotem do domu.

Spojrzałam za siebie. Czy oni wciąż krzyczeli? Czy nadal się bili? Wkrótce zauważą moją nieobecność. Wtedy zaczną mnie szukać. Sprawdzą cały dom, zajrzą do wszystkich pokoi. Będą trzaskać drzwiami, krzycząc jedno przez drugie: „Tina! Tina!”. Zejdą do piwnicy, do mojej nory. Na koniec wybiegną do ogrodu i tam mnie dopadną. A zatem...

Moje serce waliło jak oszalałe. Bili mnie. Dręczyli. Katowali. Jednak już nie czułam bólu. Strach przed śmiercią był silniejszy. To on pchał mnie do przodu. W powietrzu unosiła się woń spróchniałego drewna. Ogród pachniał cmentarzem. Szłam przez trawnik. Trafiłam na metalowe ogrodzenie.

Wspięłam się na nie. Potem wystarczył jeden skok i znalazłam się w ogródku naszej sąsiadki Marii.

Bez zastanowienia wślizgnęłam się do szopy, w której trzymała króliki.

Stałam tam nieruchomo, niezdolna do wykonania choćby jednego kroku. Cała drżałam. Nad głową miałam dach z blachy i ze słomy, którą poczułam także pod stopami. To ona przywołała wspomnienia o afrykańskiej chacie. Znów zobaczyłam tonące w zieleni doliny i słońce, które świeciło tak mocno, że niebo wydawało się całkiem białe. Przed oczami miałam drogi z ubitej ziemi, a na nich kobiety w tradycyjnych, kolorowych boubou¹, a także mój dom w Nigerii... Tam nigdy nie czułam zimna. Tam nigdy nie czułam strachu.

¹ Rodzaj długiej i obszernej sukienki zakładanej na wierzch, bardzo popularnej w krajach zachodniej i północnej Afryki (przyp. red.).

Staralam się złapać oddech. Mialam mętlík w głowie. Musialam pozbierać myśli. Nie moglam w nieskończoność stać wśród łopat, grabi i klatek z przestraszonymi królikami. Zastanawialam się, dokąd pójść. Po prostu chciałam być gdzie indziej. Nieważne gdzie. Byle jak najdalej stąd. I żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

- Tina, to ty?

Znienacka otworzyły się drzwi, a w nich stanęła Maria. Czasem przez ogrodzenie zdarzało nam się zamienić kilka słów typu: „Dzień dobry”, „Jak się masz” lub „Piękna dziś pogoda”. To wszystko. Dla niej byłam szesnastoletnią dziewczynką z za płotu, córką sąsiadów. Nigdy mnie o nic nie pytała. Ja nigdy nic jej nie opowiadałam. Dobrze wiedziała, że zdarzało mi się zakradać do jej ogródka i szukać schronienia w szopie z królikami. Do tej pory udawała, że tego nie widzi. Dlaczego właśnie wtedy tutaj przyszła? Dlaczego zaczęła ze mną rozmawiać? Dlatego, że było bardzo zimno i lało jak z cebra? A może zauważyła, że miałam na sobie tylko spódnice i bluzę przemoczoną do suchej nitki? Czy może wcześniej usłyszała krzyki dochodzące z mojego domu?

- Dlaczego płaczesz? - spytała.

Miałam zbyt ściśnięte gardło, żeby mówić. Łzy płynęły po mojej twarzy coraz większym strumieniem. Pojawił się grymas, nad którym nie mogłam zapanować. Poza tym w niekontrolowany sposób zaczęłam gestykulować.

- Pomóż mi! Błagam, pomóż!

Maria spojrzała na mnie uważnie. Po chwili na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Ona też się ich bała. Wyraźnie dostrzegłam to w jej oczach.

- Nie mogę ci pomóc, Tino. Nie możesz tu zostać. Nie dawała mi szansy na reakcję. Cały czas tylko mówiła i mówiła, a ja nie umiałam jej wejść w słowo.

- Jestem wdową! Żyję całkiem sama! - krzyczała. - Nie chcę żadnych nieprzyjemności!

Po czym nerwowo zaczęła czegoś szukać w skrzynce z narzędziami. Wyciągnęła nożyczki i żółty worek na śmieci. Szybkim, zdecydowanym ruchem wycięła w nim dziurę na głowę, potem jeszcze dwie na ręce, w okamgnieniu wcisnęła na mnie tę prowizoryczną pelerynę, po czym wypchnęła za drzwi.

- Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. No, idź już! Ratuj się!

Stałam na ulicy w ulewnym deszczu. Dochodziło południe. Było całkiem pusto. Szłam bez celu, aż dotarłam do niewielkiego parku. Usiadłam na ławce pod drzewem i kolejny raz zaczęłam płakać. „Co robić? Dokąd pójść? Kto może mi pomóc?” - zastanawiałam się. Przecież nie znałam tu nikogo. Byłam zrozpaczona.

Nie wiem, ile czasu minęło, odkąd tu usiadłam. Dziesięć minut, a może godzina? Ulicą przejechał samochód, zwolnił i zatrzymał się pod jednym z domów. Z auta wysiadła jakaś kobieta. Poruszała się szybko, żeby deszcz jej nie zmoczył. Otworzyła bagażnik i wyciągnęła torby z zakupami. „Może to właśnie ona mi pomoże? Chyba nie pogoni mnie jak Maria?” - pomyślałam. Postanowiłam skorzystać z okazji. Podniosłam się z ławki i powoli ruszyłam w jej stronę. W pierwszej chwili mnie nie zauważyła. Podskoczyła ze strachu, kiedy się odezwałam.

- Proszę pani, w jakim wieku dziecko ma prawo opuścić swoją rodzinę?

Kobieta zmarszczyła czoło i przyjrzała mi się uważnie.

- To zależy - odpowiedziała po namyśle. Spojrzała na ociekający wodą worek na śmieci, moją przemoczoną spódnicę i bluzę. Jej wzrok zatrzymał się na moich bosych, ubłoconych stopach. Po chwili postawiła na ziemi siatki z zakupami i otworzyła drzwi do swojego domu.

- Wejdz.

Kiedy się zawahałam, zaczęła nalegać.

- Wejdz, powiedziałam. Nie chcę mieć cię na sumieniu, jeśli coś ci się stanie.

Drzwi zamknęły się za mną. Kobieta zniknęła na moment, po czym wróciła z białym swetrem.

- Proszę, włóż to.

Wciągnęłam sweter przez głowę, następnie poszłam za nią do salonu. Poprosiła, żebym usiadła na kanapie. Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Ja i ona. Patrzyła na mnie badawczo. Widać, że chciałaby o coś zapytać, ale szukała odpowiednich słów.

- W zasadzie dziecko znajduje się pod opieką rodziców do ukończenia osiemnastego roku życia - wyjaśniła spokojnym tonem, jakby nie chciała mnie przestraszyć. -Dopiero potem jest już dorosłe, rozumiesz?

Pokiwałam głową.

- Chyba że dzieje się coś bardzo złego - mówiła dalej. -Jeśli rodzice krzywdzą dziecko...

Zapadła cisza. Patrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem, jakby czytała w moich myślach.

- Czy ktoś w domu zrobił ci coś złego? - spytała w końcu.
 - Ojciec - odpowiedziałam. - On mnie krzywdzi. Po tym wyznaniu przed oczami przeleciało mi tysiąc obrazów. Pokój. Materac. Ból. Krzyki. Uderzenia.
- Kobieta siedziała nieruchomo. Milczała, nie odrywając ode mnie wzroku. Po chwili odwróciła się i chwyciła za telefon.
- Myślę, że trzeba zawiadomić policję - oznajmiła.
 - Nie! Tylko nie to! - zaczęłam krzyczeć wbrew sobie. - Proszę panią - powiedziałam łagodniej - tylko nie na policję...
 - Co w takim razie zrobimy? Wyciągnęłam dłoń w stronę telefonu.
 - Może mogłabym zadzwonić do domu...
- Podawała mi aparat. Wystukałam numer i drżącą ręką podniosłam słuchawkę do ucha. Sygnał. Potem kolejny. W końcu głos.
- Gdzie jesteś?
- To mój ojciec. Miałam ochotę zacząć wrzeszczeć, rzucić telefon o ścianę i go rozbić.
- Jestem poza domem.
 - Powinnaś szybko do nas wrócić - powiedział to ciepło i łagodnie, tak jak zawsze, gdy chciał mnie uspokoić. Po czym dodał: - Już dobrze, wszystko jest w porządku.
- Przez chwilę nic nie mówiłam. Po drugiej stronie słyszałam tylko jego oddech. Żadnych histerycznych wrzasków w tle, brzęku tłuczonych naczyń, krzyków, gróźb.
- Już idę - odezwałam się i odłożyłam słuchawkę.

Kobieta przysłuchiwała się mojej rozmowie, stojąc naprzeciwko nieruchoma jak posąg.

- Jesteś przekonana, że wszystko w porządku?

- Tata mówi, że tak...

Odprowadziła mnie na korytarz i otworzyła drzwi. Na zewnątrz trwało oberwanie chmury.

- Gdzie mieszkasz?

Wyciągnęłam rękę, żeby jej pokazać mój dom.

- Tam.

- Bardzo bym chciała, żebyś dała mi swój numer telefonu. Wtedy będę mogła zadzwonić do ciebie od czasu do czasu. Pogadamy. Co ty na to?

- Myślę, że będzie lepiej, jak ja do pani zadzwonię. Kobieta uśmiechnęła się, wzięła ołówek i kawałek papieru, po czym zapisała na nim swój numer telefonu.

- Możesz dzwonić o każdej porze. Gdyby coś się działo...

- A sweter? - zapytałam niepewnie.

- Zatrzymaj go - odpowiedziała z nieco smutnym wyrazem twarzy.

Jej ręką musnęła moje ramię. Wyszłam. W dłoni ściszałam zabazgraną karteczkę. W strugach deszczu wracałam tą samą drogą, całkiem sama. Mała dziewczynka w worku na śmieci. Małe życie, które nadawało się tylko do wyrzucenia na śmietnik. Oto kim się stałam. Gdy zbliżałam się do domu, moje serce biło jak oszalałe, z każdą chwilą mocniej i mocniej. Piekło było coraz bliżej, czyli tam, dokąd właśnie zmierzałam. A ja nie miałam dokąd uciec.

„Mamo, mamo! Dlaczego mnie zostawiłaś?” - powtarzałam w myślach.

Pierwszy dramat mojego życia

„Mamo!”

Moja matka... Krzątała się po domu, była wiecznie czymś zajęta. Nie miała ani chwili wytchnienia. Jak nie w kuchni, to w pokoju. Jak nie gotowała, to sprzątała. Niekiedy złajała mnie i brata w języku joruba², żebyśmy nie wchodzili jej pod nogi. Czasem zagoniła nas do odrobienia niedokończonej pracy domowej.

Moja biedna matka... Teni Ornak. Zamknęłam oczy i znowu ją zobaczyłam, jakby to było wczoraj. Trzymała w palcach drewniany ołówek. Grafit ślizgał się po papierze, kreśląc sylwetkę kobiety w długiej spódnicy. Jej ręce były opuszczone wzdłuż ciała, dłonie schowane w kieszeniach. Uniosła ołówek i zerknęła na mnie z rozbawieniem. Po chwili skończyła swój rysunek. Jeszcze tylko dwie niewielkie kropki na owalnej twarzy, krótka pionowa linia nosa, a pod nią trochę dłuższa w poziomie, z obu stron zakrzywiona do góry.

²Jeden z trzech oficjalnych języków, jakimi mówi się w Nigerii (przyp. tłum.).

Tak mama wyczarowała uśmiech. Z podziwem przyglądałam się rysunkowi. Miałam siedem lat i wydawało mi się, że moja mama była największą artystką na świecie.

Na przedmieściach Lagosu, gdzie mieszkaliśmy, mama była osobą uprzywilejowaną. Udało jej się ukończyć edukację na poziomie podstawowym. Kobiety z jej pokolenia zazwyczaj wcale nie chodziły do szkoły. Później mama uczyła się fachu krawcowej, jednak zajmowała się zupełnie czymś innym. Prowadziła niewielkie przedsiębiorstwo. Przygotowywała domowe zestawy obiadowe, które jej kuzynki sprzedawały na mieście.

Mój ojciec, Simon Ornak, pracował w fabryce; był prostym, ale bardzo zaradnym człowiekiem, prawdziwą złotą rączką. Potrafił poprowadzić każdy pojazd, nawet wielką ciężarówkę. Uwielbiał siedzieć za kółkiem. Poza tym był bardzo pracowity. Dzierżawił kawałek ziemi, który uprawiał po powrocie z fabryki. Codziennie powtarzał, że potrzebujemy pieniędzy ze sprzedaży plonów.

Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze niewykończonego budynku, który należał do pracodawcy taty. Zawsze przesiadywało u nas pełno ludzi. Nieustannie ktoś wchodził i wychodził. Kuzynki mamy przemykały z wielkimi dzbanami na głowach. Często bywał też wujek Bala, brat mamy, który za każdym razem pytał, czy odrobiłam lekcje. Do taty wpadali sąsiedzi i godzinami rozmawiali o piłce nożnej. A koleżanki mamy siadały razem w kole i nieustannie trajkotały. Najczęściej mówiły o pogodzie i wysokich cenach, a czasami narzekały na mężów.

Kiedy tylko miałam wolny czas, biegłam na podwórko do mojej koleżanki Sophie³. Była ode mnie o cztery lata młodsza, ale rozumiałyśmy się bez słów. Spędzałyśmy ze sobą wiele godzin, razem się bawiłyśmy i śmiałyśmy. Jej ojciec, Godwin, był gwiazdą piłki nożnej, celebrytą. Zaczynał od grania w drużynie sponsorowanej przez właściciela fabryki, pracodawcę mojego taty, a po jakimś czasie znalazł się w jednym z najbardziej znaczących klubów piłkarskich Europy. Jej matka, Linda, była piękną i wysoką kobietą. Bardzo mi imponowała, szczególnie swoimi strojami i biżuterią. Widać, że była bogata. Kiedy bawiłyśmy się razem z Sophie, nie spuszczała nas z oczu.

- One są jak rodzone siostry - powtarzała.

Brzuszek mamy się zaokrąglił. Wyglądała tak, jakby pod swoim boubou schowała wielki balon. Dobrze wiedziałam, że tak naprawdę w środku było dziecko. Kiedy kładłam ręce na jej brzuchu, czułam, jak ono się porusza. Tylko nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób tam się znalazło.

- Skąd się biorą dzieci? - zapytałam w końcu.

- Dzieci powstają, kiedy siada się zbyt blisko chłopaków - odpowiedziała ze śmiechem jedna z moich ciotek.

Wtedy przeraziłam się, że ja także mogłabym być w ciąży! Od tej pory w szkole trzymałam się z daleka od chłopaków i siadałam tylko obok dziewczyn.

³ Ze względu na poszanowanie prywatności wszystkie imiona dzieci zostały zmienione (przyp. aut.).

- Wolałabyś braciszka czy siostrzyczkę? - zapytała pewnego dnia mama.

Nie musiałam długo się zastanawiać. Odpowiedź sama się nasunęła.

- Siostrzyczkę oczywiście!

Mogłaby bawić się razem ze mną. Poznałabym ją z Sophie i zostałyby przyjaciółkami. A najważniejsze, że nie tylko ja pomagałabym mamie w domu.

Wciąż byłam małą dziewczynką, ale już rozumiałam, że to mężczyźni cieszyli się u nas specjalnymi względami. W domu to królowie lenistwa. Każdego dnia słyszałam tylko: „Tina, zrób to, zrób tamto”.

Do mojego brata nikt tak nie powiedział. Emanuela nigdy o nic się nie prosiło. Nie musiał nakrywać do stołu ani sprzątać po obiedzie. Bardzo mnie to drażniło!

- Dlaczego Emanuel nie musi zmywać naczyń?

- To nie jest zajęcie dla chłopców — mówiła mama, wzruszając ramionami.

Uważałam to za niesprawiedliwe i czasem zdarzało mi się narzekać. Wtedy mama podnosiła głos.

- Kiedy mnie zabraknie, to ty będziesz tu gospodynią. A możesz mi wierzyć, że to wielka odpowiedzialność. Teraz masz czas, żeby się nauczyć, jak rozsądnie i odpowiedzialnie prowadzić dom. Kiedy mnie zabraknie, będzie za późno na naukę. Nie będę mogła ci pomóc...

Och, mammo! Tyle razy dopytywałam, dlaczego mi to wszystko mówisz. Czy przeczuwałaś, że niedługo nas opuścisz? Czy wiedziałaś o tym wszystkim, co miało się wydarzyć? To z troski o mnie wciąż powtarzałaś, że muszę być silna, rozsądna i odpowiedzialna?

Kiedy mama była dla mnie zbyt surowa, szybko biegłam schronić się w ramionach taty. Wtedy czułam się bezpieczna. Był dla mnie taki łagodny. Dla niego byłam małą księżniczką i nigdy na mnie nie krzychał. Mocno mnie przytulał i pozwalał się pobawić na podwórku. Wtedy jak najszybciej zbiegałam po schodach i dołączałam do koleżanek, które na mnie czekały.

Z całych sił modliłam się o to, żeby mama urodziła dziewczynkę. Kilka tygodni później na świat przyszedł Ayuba. Chłopiec! Z rozczarowania nie mogłam powstrzymać łez. Mama przycisnęła mnie do siebie i próbowała pocieszyć.

- Nie płacz, kochanie. Będziemy mieli kolejnego dzidziusia. Obiecuję ci, że wtedy na pewno urodzi się dziewczynka. Mała siostrzyczka specjalnie dla ciebie.

Pewnej środy nasz dom wypełnił się ludźmi. W telewizji transmitowali mecz. Nigeryjska drużyna Super Eagles grała przeciwko Brazylii⁴. Tłum mężczyzn kłębił się przed telewizorem. Wśród nich byli wujek Bala, sąsiedzi, koledzy taty z fabryki, a nawet jej właściciel. Licytacje. Zakłady. Kłótnie. Krzyki. Wszyscy byli podekscytowani.

- Brazylijczycy mają najlepszą drużynę na świecie, znakomitych zawodników: Rebetó! Juniho! Ronaldo!

⁴ 31 lipca 1996 r. reprezentacja narodowa Nigerii w piłce nożnej pokonała drużynę Brazylii w półfinale podczas Igrzysk Olimpijskich w Atlancie. Następnie wygrała finałowy mecz z drużyną Argentyny, zdobywając złoty medal. Super Eagles to pierwsza afrykańska drużyna, której udało się tego dokonać (przyp. aut.).

- Super Eagles są nie do pobicia! Zwycięzimy! Na pewno zwycięzimy!

Kobiety z rezygnacją kręciły głowami. Ech, mężczyźni i ta ich piłka!

Nagle wszyscy jednocześnie zwrócili się w stronę ekranu. Sędzia właśnie dał sygnał i mecz się rozpoczął. A zaledwie kilka sekund później - katastrofa! Brazylijczycy strzelili gola. Ręce uniosły się w górę. Mężczyźni z zaciśniętymi pięściami złorzeczyli niebiosom, tata schował głowę w dłoniach, wujek uderzał się w piersi. Gorzej nie mogło się Zacząć.

Sędzia wznowił mecz. Lagos - największe miasto Nigerii; druga co do wielkości, po Kairze, metropolia Afryki wstrzymała oddech. Ulice opustoszały. Nagle ciszę przerwał przeciągły krzyk.

- Niger iaaa!

Tym razem to Super Eagles zdobyli bramkę, wyrównując wynik meczu.

I tak działo się przez najbliższe dwie godziny. Brazylijczycy strzelili gola - rozgrywał się dramat narodowy. Po chwili Nigeryjczycy obejmowali prowadzenie i następowała eksplozja radości. Zawodnicy rzucali się sobie w ramiona, przytulali, poklepywali po plecach. Dokładnie to samo robili mężczyźni w naszym domu. Wkrótce murami wstrząsnął okrzyk potężniejszy od wszystkich, jakie dotychczas wyrwały się z gardeł kibiców.

- Nigeriaaaa!

Cały kraj oszalał z radości, kiedy Ikpeba, jeden z naszych zawodników, strzelił decydującego gola.

Zwycięstwo! Ojciec miał łzy w oczach. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak szczęśliwego.

- No i z czego tak się cieszysz? - spytała go mama, kiedy w końcu nastąpiła chwila spokoju.

- Drużyna mojego kraju wygrała mecz! - odpowiedział ojciec.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- A ty? Co ty wygrałeś, Simonie Ornaku? - Mama nie dawała zbić się z tropu.

- Tego kobiety nie są w stanie pojąć - skwitował tata z tajemniczą miną.

Mama nosiła na plecach Ayubę owiniętego w przepastne boubou. Niedługo potem mój brat postawił pierwsze kroki. Mijały miesiące, a brzuch mamy znowu zrobił się okrągły. Od czasu do czasu przystawała na chwilę i kładła na nim dłonie. Jej twarz kurczyła się wtedy w bolesnym grymasie. A ja, tak jak kiedyś, modliłam się o to, żeby na świat przyszła dziewczynka.

Aż pewnego ranka... Mama wyszła z domu bardzo wcześnie, kiedy jeszcze smacznie spałam. Potem jak zwykle poszłam do szkoły. Kiedy wróciłam, mamy jeszcze nie było. Zaczęłam odrabiać pracę domową.

Nagle do domu wpadła z krzykiem jakaś kobieta. Wrzeszczała jak opętana.

- Simon! Simon! Szybko! Twoja żona umiera! Ojciec zerwał się na równe nogi.

- Co się dzieje? - dopytywał.

— Pospiesz się! Szybko! - poganiała go kobieta. - Teni straciła dziecko! Trzeba ją natychmiast zawieźć do szpitala!

Ogarnął mnie paniczny strach. Złapałam ojca za rękaw. Chciałam zobaczyć mamę. Musiałam jechać z nim do szpitala, jednak on mnie odsunął. Kazał mi zostać w domu i czekać.

— Szpital to nie jest miejsce dla małych dziewczynek - próbował mi wytłumaczyć. - Kiedy mama lepiej się poczuje, będziesz mogła ją odwiedzić. Obiecuję.

Wziął mnie w ramiona, mocno przytulił, pocałował i postawił na podłodze. Za to Emanuel z nim pojechał. Nie rozumiałam, dlaczego on mógł, a ja nie. Wydało mi się to niesprawiedliwe. Nawet jeszcze bardziej niż to, że to ja zawsze musiałam zmywać naczynia po obiedzie.

Tego samego wieczoru mama umarła w szpitalu⁵. Słyszałam, jak dorośli mówili o zmęczeniu, poronieniu, losie... Nie rozumiałam tego wszystkiego i byłam zbyt smutna, żeby z kimkolwiek o tym porozmawiać. Było mi ciężko także dlatego, że nawet nie mogłam zobaczyć mamy w szpitalu i po prostu się z nią pożegnać.

Poza tym dręczyło mnie jedno okrutne pytanie: „Czy mama umarła dlatego, że za wszelką cenę chciała urodzić mi siostrzyczkę?”.

⁵ Zgony kobiet podczas porodu to w Nigerii prawdziwa plaga. W 2009 r. w ten sposób zmarło 59 tys. Nigeryjek (przyp. aut.).

Nocny lot do piekła

Pewnego dnia tata wrócił z pracy i już od progu usłyszałam:

- Emanuel, Ayuba, Tina! Chodźcie szybko!

Razem z braćmi pobiegłam do salonu. Tam zastaliśmy jakąś kobietę, której nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Ojciec siedział obok niej i się uśmiechał, odsłaniając swoje białe zęby. Kobieta miała na imię Lami. Dowiedzieliśmy się, że będzie mieszkać w naszym domu, a potem tata się z nią ożeni.

Natychmiast zdałam sobie sprawę, że ta obca kobieta zajmie miejsce naszej mamy. Napięłam wszystkie mięśnie twarzy. Zamknęłam się w sobie. Przyjrzałam się nieznajomej.,,Gdzie ojciec ją poznał? Od jak dawna byli razem? Co takiego w niej zobaczył? Tato, proszę, przejrzyj na oczy! Obudź się! Czy nie widzisz, że ta jędza to zupełnie przeciwieństwo Teni, którą przecież tak bardzo kochałeś?". Lami była niską i tęgą kobietą o posepnym spojrzeniu. Mama była wysoka, szczupła i pachniała lukrecją.

Lami nie zamieszkała pod naszym dachem sama. Wraz z nią wprowadziło się troje *dzieci* z jej pierwszego małżeństwa. Dwie dziewczynki i chłopiec. Nie koniec na tym. Lokatorkami naszego domu zostało także kilka handlarek. Lami, podobnie jak kiedyś mama, zajmowała się produkcją i sprzedażą obiadów. Poza tym wspólnym zajęciem całkowicie różniły się od siebie. Swoje pracownice trzymała krótko. Każdego ranka kobiety wychodziły do miasta z wielkimi dzbanami na głowach. Wieczorem wracały i przekazywały cały dzienny utarg swojej zwierzchnicze. Ta skrupulatnie przeliczała pieniądze, po czym każdej z nich wypłacała niewielką sumę.

Żadna się nie skarżyła i nie narzekała. Lami by tego nie zniosła. To była energiczna i autorytarna kobieta. Lepiej było się jej nie sprzeciwiać. Ledwo się do nas wprowadziła, a już czuła się panią domu. I biada temu, kto stanął jej na drodze. Nawet tata miał się na baczności i starał się trzymać z boku. Nigdy nie widziałam, żeby moi rodzice się kłócili. Z Lami wszystko było inaczej. Kłótnie stały się codziennością. Nic jej się nie podobało, ciągle krzyczała, chwytając moją tatę za rękaw koszuli i szarpała nim, jakby strącała kokosy z palmy.

Nie znosiłam jej. Ona mnie zresztą też i na każdym kroku dawała mi to do zrozumienia. Tylko szukała okazji, żeby wrzasnąć na mnie z byle powodu. Tata, który dobrze widział, jak jego nowa żona faworyzuje swoje dzieci naszym kosztem, nie miał odwagi się jej przeciwstawić. Pewnie miał nadzieję, że z czasem wszystko samo się ułoży.

Często myślałam o mamie. Wystarczyło jedno słowo, jakieś miejsce, sytuacja, przedmiot, żeby uruchomiła się lawina wspomnień. Godzina, kiedy podawała nam obiad, jej pismo na świstku papieru, kawałek zużytego ołówka. Te z pozoru nic nieznaczące sytuacje i przedmioty powodowały, że myślami przenosiłam się w przeszłość i przypominałam sobie, jacy byliśmy szczęśliwi. Z bolącym sercem zaszywałam się wtedy sama w cichym kącie i pozwalałam płynąć łzom po twarzy. Za każdym razem tata przychodził mnie pocieszyć. Obejmował i mocno przytulał.

— Dlaczego płaczesz, Tino?

Pociągałam nosem i przecierałam oczy wierzchem dłoni.

— Tęsknię za mamą.,.

Wtedy tata przyciskał mnie jeszcze mocniej. Czułam jego miłość i zapominałam na chwilę o swoim nieszczęściu.

Wiedziałam, że tata zawsze kochał mamę. Nawet śmierć nie mogła ich rozdzielić. Czasami widziałam go z twarzą ukrytą w dłoniach. Był wtedy bardzo przybity. Płakał. Nie zdawał sobie sprawy, że mu się przyglądam z boku i siedzę cicho jak mysz pod miotłą.

Wbrew temu, co sądził ojciec, czas nie złagodził napięcia między mną a macochą. Wręcz przeciwnie, nasz konflikt przybrał na sile. Nieustannie kłóciłam się z Lami, z jej córkami i synem, z całym światem. Nasz dom wypełnił się krzykiem i płaczem. Odkąd umarła mama, nieszczęście nas nie opuszczało. Widziałam, że ojciec bardzo cierpiał. W ogóle przestał się uśmiechać.

Ten stan nie mógł trwać zbyt długo. Pewnego dnia bawiłam się na podwórku ze swoją koleżanką, kiedy przyszedł ojciec. Miał bardzo poważny wyraz twarzy. Jak zawsze w chwilach, gdy intensywnie o czymś myślał i miał mi coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Podjąłem decyzję. Zamieszkaś u wujka.

Nie odebrałam tego źle. Wręcz przeciwnie. Było to dla mnie wybawienie. Wujek Bala mieszkał na drugim końcu Lagosu. Był samotny, nie miał dzieci. Bardzo go lubiłam, mimo że był surowszy od mojego taty.

W kolejnym tygodniu opuściłam swój rodzinny dom. Zaczęłam nowe życie. Codziennie chodziłam do szkoły. Wujek dokładnie oglądał mój mundur, czy jest czysty i uprasowany. Kiedy wracałam późnym popołudniem, wujek był jeszcze w pracy. Nie wolno mi było bawić się na podwórku. Po powrocie do domu wujek sprawdzał, czy odrobiłam pracę domową. Odpytywał mnie z tego, czego nauczyłam się w szkole. Nie mogłam pozwolić sobie na lenistwo. Aż strach pomyśleć, co by było, gdybym dostała złą ocenę!

Tata odwiedzał mnie w każdy weekend. Czekałam na niego na przystanku autobusowym. Później opowiadałam mu, czego nauczyłam się w szkole, on z kolei przekazywał mi wieści o moim rodzeństwie, Ayubie i Emanuelu. Tęskniłam za braćmi. Śmierć matki bardzo nas do siebie zbliżyła. O Lami staraliśmy się w ogóle nie rozmawiać. Późnym popołudniem razem z wujkiem odprowadzałam tatę do autobusu.

- Pamiętasz panią Okparę? — zapytał któregoś dnia, kiedy szliśmy w stronę dworca.

Położył rękę na mojej głowie i pogładził mnie po włosach.

— Ona pamięta cię bardzo dobrze. Nigdy nie zgadniesz, co mi zaproponowała.

Nie zgadłabym. Milczałam i czekałam na ciąg dalszy.

— Pragnie zabrać cię do siebie, do swojego domu — oznajmił ojciec. — Chciałaby cię adoptować.

— Nigdy!

Odsunęłam się od niego. Ojciec był zdziwiony moją reakcją.

— Będiesz ze swoją przyjaciółką Sophie. Dostaniesz wszystko, czego zapragniesz.

Zdecydowanie potrząsnęłam głową. Broniałam się zaciekle. „Nie, nie, nie! Jestem córką Teni Ornaku i tylko jej! Nigdy jej nie zdradzę!” — krzyczałam w myślach.

Ojciec dłużej nie nalegał, jednak przed wejściem do autobusu przytulił mnie mocno i poprosił, żebym jeszcze to przemyślała.

W następny weekend znowu wspomniął o pani Okparze i adopcji. Nie rozumiał mojego oporu. Przedstawił mi wszystkie zalety bycia przybraną córką tej niezwykle bogatej kobiety. Jej mąż był zawodowym piłkarzem i dużo zarabiał. Ojciec był zdania, że to dla mnie niesamowita szansa.

— W Nigerii nigdy nie będziesz mogła iść na studia — próbował mnie przekonać. — Nic dobrego cię tu nie spotka. Jeśli Linda i Godwin wezmą cię ze sobą do Francji, twoje życie będzie lepsze. Pójdiesz na uniwersytet.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszałam coś, co mnie dobiło.

— Tam na górze mama będzie z ciebie dumna.

Kilka dni później wujek Bala oznajmił, że za chwilę wychodzimy.

— Zrobimy sobie małą wycieczkę.

Posadził mnie z tyłu na motorze i ruszył w stronę dzielnicy willowej Lagosu. Minęliśmy przepiękne, wielkie domy. Wzdłuż chodników stały zaparkowane eleganckie, luksusowe samochody.

Wujek zatrzymał się obok wspaniałej, dwupiętrowej willi i zsadził mnie z motoru. Przed dom wyszedł człowiek, który otworzył okazałą i ciężką bramę.

— Przyszliśmy do pani Okpary - powiedział wujek.

Natychmiast się usztywniłam, ale poszłam za wujkiem i tym obcym mężczyzną. Otworzyłam szeroko oczy na widok wspaniałości, jakie nagle mnie otoczyły. W tym domu było wszystko, czego dusza zapragnie. A nawet jeszcze więcej. Stałam oniemiała i jednocześnie pełna zachwytu. Zobaczyłam coś zapierającego dech w piersiach - ogromny i płaski telewizor.

Przyjęła nas pani Okpara. Ze sposobu, w jaki się ze mną przywitała, wywnioskowałam, że ucieszyła się na mój widok. Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Zapytałam, co słyhać u Sophie. Bardzo chciałam się z nią zobaczyć, jednak pani Okpara wyjaśniła, że jej córka jest teraz w Europie ze swoim tatą, z młodszym bratem Steevem oraz siostrzyczką Sandy. Potem wyszła do innego pokoju, żeby porozmawiać z wujkiem Balą. Zostałam sama na środku salonu. Nie słyszałam, o czym mówili, ale widziałam, jak pani Okpara co jakiś czas rzucała w moją stronę krótkie spojrzenia.

W końcu pożegnaliśmy się i wróciliśmy z wujem do domu.

- Musisz się przygotować - oznajmił, gdy znaleźliśmy się na miejscu.

W tym momencie dotarło do mnie, że nie miałam nic do powiedzenia. Dorośli zdecydowali o moim losie i nawet nie zapytali mnie o zdanie. Mój ojciec chciał, żebym zamieszkała u rodziny Okparów, a mama zapewne chciałaby, żebym słuchała ojca.

Tydzień później opuściłam mieszkanie wujka i przeprowadziłam się do willowej dzielnicy Lagosu. W drzwiach powitała mnie pani Okpara i oświadczyła, że wraz z mężem starają się o moją adopcję.

Kiedy tylko załatwią wszystkie formalności, oficjalnie zostanę ich córką i będziemy mogli dołączyć do reszty rodziny mieszkającej we Francji.

Francja... Wiedziałam, gdzie to jest. Dla mnie to było daleko. Kraj zimny i bogaty, o którym często marzyłam, ale który wzbudzał we mnie obawy.

Od tego dnia moje życie przewróciło się do góry nogami. Jeszcze w Lagosie miałam własny, wielki pokój. Codziennie jadałam przepyszne potrawy. Jednak chyba najbardziej dziwiło mnie to, że nie było przerw w dostawie prądu. To dla mnie był prawdziwy luksus. U nas, w dzielnicy biedoty, co chwilę go brakowało. I nikt nigdy nie wiedział, kiedy znowu będzie światło. Pomimo otaczającego mnie bogactwa nie przestawałam myśleć o mamie. I to okropne poczucie, że właśnie ją zdradzam, stało się niemal moją obsesją.

Pewnego ranka zastałam panią Okparę w przedpokoju. Była ubrana i gotowa do wyjścia. Nerwowo kręciła się w kółko i widać, że gdzieś się spieszyła. Przed domem stało dużo walizek. Oznajmiła, że musi jechać do Francji, żeby zobaczyć się z mężem i uregulować pewne sprawy. Uścisnęła mnie i uspokajała. Podczas jej nieobecności mieli się mną zaopiekować jej brat i przyjaciółka.

Minęło kilka tygodni. Dom wydawał się dziwnie pusty i cichy. Aż pewnego dnia brat pani Okpary ogłosił wielką nowinę: przyszły moje dokumenty adopcyjne! Wręczył mi paszport. Otworzyłam go i odkryłam swoją nową tożsamość. Wszystko wydało mi się niezwykle zabawne. Obok mojego zdjęcia napisano: Tina Okpara.

— Teraz będziesz mogła dołączyć do swoich rodziców.

Kilka chwil zajęło mi zrozumienie, że ma na myśli Godwina i Lindeę.

Wyjazd zaplanowano na niedzielę, 11 lutego 2001 roku. W Nigerii spędziłam jeszcze kilka dni.

Miałam wrażenie, że muszę zrobić mnóstwo rzeczy: odwiedzić tatę, pożegnać się z wujkiem, wyściskać braci, spakować walizkę. Och! Z bagażami poszło mi szybko. Kilka ubrań wrzuconych do plecaka i dwa zdjęcia. Na jednym z nich był uśmiechnięty ojciec ubrany w tradycyjne boubou w kolorze błękitu i w czerwonym kapeluszu. Na drugim mama. Siedziała w fotelu, pozowała w długiej sukni w kolorze kości słoniowej. Była szczęśliwa. Jej włosy zakrywała chusta.

Przycisnęłam oba *zdjęcia*, do piersi. W moich oczach natychmiast pojawiły się łzy. Tak działo się zawsze wtedy, gdy pomyślałam o ukochanej mamie. Po chwili z pietyzmem spakowałam je do plecaka.

W dzień odlotu cała moja rodzina, tata, bracia i wujek przyjechali na lotnisko, żeby się ze mną pożegnać. Ojciec chwycił mnie za ręce i jeszcze raz powtórzył, że mam mnóstwo szczęścia, bo czeka mnie wspaniałe życie i lepsza przyszłość.

— Uważaj na siebie, Tino. Nie rób niczego głupiego. Wiem, że jesteś mądrą dziewczynką.

Co miałam mu odpowiedzieć? Po moich policzkach płynęły łzy. Tak trudno było rozstawać się z najbliższymi. Z tymi, których tak bardzo kochałam. Nie wiedziałam, kiedy ponownie ich zobaczę.

Ojciec mocno mnie objął, tak jak wtedy, gdy mama krzyczała na mnie przy zmywaniu naczyń albo gdy Lami była dla mnie niedobra. Szukał odpowiednich słów, żeby mnie pocieszyć,

— Nie płacz, Tino — powiedział łagodnie. — Nie płacz... Obiecuję, że niedługo się zobaczymy.

Myliłeś się, tato. Tak bardzo się myliłeś. Od tamtej pory nigdy więcej się nie zobaczyliśmy. Wtedy na lotnisku widzieliśmy się ostatni raz.

Miałam wtedy dwanaście lat. A ty odszedłeś do mamy. Do swojej ukochanej Teni. Nie ujrzałam cię ponownie, nie przytuliłam. Opowiadano mi, że w chwili, gdy zamykałeś oczy na zawsze, swoje ostatnie słowa skierowałeś właśnie do mnie. Dowiedziałeś się o całym nieszczęściu, jakie mnie spotkało. O wszystkim, co

przeżyłam i wycierpiałam. Na koniec wyszeptałaś: „Nie zobaczyłem swojej dziewczynki...”.

Siedziałam na lotnisku i czekałam na samolot. Zapadła noc. Ludzie wokół stawali się tacy nierealni, a otaczające mnie przedmioty niepokojąco dziwne. Oddalałam się i widziałam ojca, braci i wujka, jak stoją i machają mi na pożegnanie. Stawiałam ciężkie kroki, jakby moje stopy nie chciały oderwać się od afrykańskiej ziemi. Szłam w kierunku ogromnego stalowego ptaszyska, który miał mnie zabrać daleko od bliskich. W wejściu do samolotu powitała mnie obsługa, wskazując fotel i życząc przyjemnej podróży. Wszystko wokół zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Z zapiętymi pasami bezpieczeństwa nie miałam odwagi nawet delikatnie się poruszyć. Drzwi się zamknęły i wkrótce samolot sunął pasem startowym. Nagle usłyszałam ryk silników, maszyna nabrała rozpędu i za chwilę oderwała się od ziemi. Światła miasta migwały w dole jak maleńkie żółte kropki.

Wciąż płakałam. Po jakimś czasie byłam tak zmęczona, że zwinęłam się w kłębek na fotelu, podczas gdy samolot zanurzył się w ciemną noc. Niemal przez całą podróż spałam. Kiedy wreszcie się obudziłam, stewardessa, najpierw po francusku, a następnie po angielsku powiadomiła, że zbliżamy się do lotniska Charlesa de Gaullea w Paryżu. Byłam na miejscu...

Samolot wylądował. Przy wyjściu uderzył mnie chłód. Przecież tu panowała zima, a ja byłam tak lekko ubrana w czarną bluzeczkę z krótkimi rękawami. Próbowałam się rozgrzać, pocierając rękami. Podążałam za tłumem

pasażerów, którzy szli do wyjścia. Mocno ścisnęłam plecak, jakby w obawie, że ktoś mógłby mi go ukraść.

W hali przylotów kłębił się tłumek. Ludzie wypatrywali swoich bliskich, ściskali się na powitanie. Błądziłam wzrokiem. W końcu dostrzegłam tego, kto na mnie czekał. Godwin Okpara, mój nowy ojciec. Podszedł do mnie i na ramiona zarzucił mi płaszcz, który wziął specjalnie, żeby nie było mi zimno. Oto nieznajomy, którego będę musiała nazywać tatą. Poczulałam, że nie będzie łatwo. Trochę się go wstydziałam. W końcu to mistrz, znana w całej Francji gwiazda piłki nożnej. Jeden z Super Engels, francuskiej drużyny narodowej, którą mój tata, ten prawdziwy, Simon Ornak, tak uwielbiał. Był wysoki, potężnie zbudowany. Widać było, że to sportowiec. Miał łagodny i uspokajający uśmiech.

— Dzień dobry, Tino — odezwał się. — Jedziemy do domu?

Odpowiedziałam nieśmiałym „tak” i bez słowa ruszyłam za nim. Czy mogłam wtedy przypuszczać, że człowiek o tak życzliwym uśmiechu zgotuje mi prawdziwe piekło?

Dziwna rodzina

Jeszcze nigdy tak nie zmarzłam! Mimo że miałam na sobie płaszcz, który Godwin pomógł mi założyć, cała się trzęsłam z zimna i szczękałam zębami. Wsunęłam dłonie w rękawy, żeby nieco je ogrzać, jednak nie na wiele to się zdało. Miałam wrażenie, że moje palce skostniały. Godwin zdawał się być rozbawiony tą sytuacją.

- U nas teraz jest zima - rzucił swobodnie.

Szedł tak szybko, że musiałam truchtać przy nim, żeby się nie zgubić na parkingu przed lotniskiem.

Zatrzymał się przy nowoczesnym samochodzie przypominający terenowy i otworzył drzwi.

Wskoczyłam do środka i zwinęłam się w kłębek na tylnym siedzeniu. Godwin usiadł za kierownicą i ruszyliśmy. Dzięki ogrzewaniu w samochodzie szybko doszłam do siebie.

Godwin nie należał do gadatliwych osób. Na początku pytał, jak się czuję, czy miałam dobrą podróż i czy jestem bardzo zmęczona. A po wysłuchaniu wieści o rodzinie z Afryki prowadził samochód w całkowitym milczeniu, skupiony wyłącznie na drodze.

Dwunastego lutego 2001 roku zapamiętałam na całe życie. Nie minęło dziesięć minut, odkąd opuściliśmy lotnisko. W pewnym momencie z lewej strony pojawił się jakiś samochód. Wyskoczył zupełnie znienacka. Godwin gwałtownie wcisnął hamulec. Wtedy rozległ się przenikliwy pisk opon. Poleciałam do przodu, odruchowo napinając mięśnie i wyciągając przed siebie ręce, jednak przytrzymały mnie pasy bezpieczeństwa. Godwin skręcił kierownicą, żeby uniknąć zderzenia. Usłyszałam huk. Jednak się nie udało. Uderzyliśmy przodem. Godwin kłął pod nosem i zjechał na pobocze. Wsiadł. Potem rozmawiał z kierowcą drugiego samochodu, który zatrzymał się trochę dalej. Na szczęście skończyło się jedynie na strachu. Kilka minut później ruszyliśmy w dalszą drogę. Przykleiłam nos do szyby i patrzyłam, jak powoli nastaje dzień. Spoglądałam na uciekający krajobraz. Wszystko mnie dziwiło, ciekawiło, intrygowało. Nigdy w życiu nie widziałam tak jednolicie szarego pejzażu. Szarość! Szarość! Szarość! Wszystko wydawało mi się szare i smutne. Ulice, wieżowce, bloki mieszkalne. Nawet drzewa, nagie, odarte z liści, sterczące samotnie tu i ówdzie wyglądały jak klisza z przedwojennego, czarno-białego filmu. Przed moimi oczami przesuwały się tabliczki z obco brzmiącymi napisami: La Cour-neuve, Saint-Denis, Gennevilliers, Colombes i w końcu Le Vésinet. Godwin zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Dojechaliśmy na miejsce.

- Oto twój nowy dom - odezwał się. - Podoba ci się? Byłam zdziwiona tym pytaniem. Czy mi się podobał? W moich oczach to był prawdziwy pałac! Przeszliśmy

przez niewielki ogródek o zadbanym, równo przyciętym trawniku, a po chwili weszliśmy do domu. Godwin od razu zaprowadził mnie do przestronnego pokoju na pierwszym piętrze. Tam zastaliśmy Linde, jego żonę. Leżała w łóżku i uśmiechała się do mnie.

— Witaj, Tino.

Byłam onieśmielona i wahałam się, czy wejść do środka. W końcu Godwin lekko popchnął mnie w stronę łóżka.

— Jakże to? Nie dasz mamusi buziaka?

Zbliżyłam się i nagle zauważyłam, że w tym wielkim łóżku Linda nie była sama. W jej ramionach leżała drobna istotka, kilkutygodniowy bobasek.

Nachyliłam się, żeby ucałować Linde, i zerknęłam na dziecko. Spało wtulone w pierś matki. Moja nowa mama wyjaśniła, że to jej najmłodszy synek. Przyszedł na świat zaledwie miesiąc temu.

— Jak ma na imię? — zapytałam.

— Samuel — odpowiedziała Linda. — Dla swoich dzieci zawsze wybieram imiona zaczynające się na literę „s”.

I rzeczywiście, przed Samuelem urodzili się Sophie, Steeve i Sandy. Jednak coś mnie zdziwiło. W Lagosie nie zauważyłam, żeby Linda była w ciąży. Czy aż tak dawno jej nie widziałam? Zaczęłam liczyć w myślach miesiące, ale to nie było takie proste, ponieważ sen zaczynał zwać mnie z nóg. Walczyłam ze sobą, żeby ze zmęczenia nie upaść na podłogę. Na szczęście Godwin to zauważył i zaproponował odpoczynek. Wyszliśmy.

Mój pokój okazał się nieduży, lecz pełen światła. Ściany ozdabiała jasna tapeta w różowo-niebieskie

kwieciste wzory. To był wręcz idealny pokój dla młodej dziewczynki.

Za oknami było widno, a ja czułam takie zmęczenie, jakby nastąpiła noc. Oczy same mi się zamykały. Podeszłam do łóżka, uklękłam, oparłam czoło na złożonych dłoniach. Zamknęłam oczy, ale jeszcze ostatkami sił wyszeptałam słowa modlitwy: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje...”. Na koniec poprosiłam Boga, żeby miał w opiece moją tatę, moich braci i całą rodzinę w Afryce, a także nowych rodziców. Po chwili położyłam się i natychmiast zasnęłam.

Kilka dni przyzwyczajałam się do nowego otoczenia. Dom był tak wielki, iż czasami bałam się, że się w nim zagubię. Z przodu i z tyłu znajdowały się ogrody. Każde dziecko miało swój pokój, były dwa salony; jeden dla dzieci, w którym mogliśmy się bawić; a drugi dla Godwina, którego niezręcznie mi było nazywać tatą.

Dni wlokły się w nieskończoność, szczególnie wtedy, gdy moje siostry i brat szli do szkoły, a ja siedziałam w domu. Nie mogłam się doczekać, kiedy w końcu do nich dołączę. Linda powiedziała, że było już za późno, żeby mnie zapisać. Stwierdziła, że będzie lepiej, jak zacznę we wrześniu, od nowego roku szkolnego, czyli za sześć miesięcy. To oznaczało pół roku czekania! Musiałam mocno uzbroić się w cierpliwość.

W tym czasie robiłam wszystko, żeby nowi rodzice mieli ze mnie pożytek. Myślałam wtedy o mamie, która chciała, żebym była rozsądną i odpowiedzialną dziewczynką. Poza tym pamiętałam rady taty na lotnisku: „słuchać się, być grzeczną, nie robić głupstw”. Bez kręcenia

nosem robiłam wszystko tylko po to, żeby rodzice adopcyjni byli ze mnie dumni.

Rankiem towarzyszyłam Sophie, Steeveowi i Sandy w drodze do szkoły, która mieściła się w okazałym budynku z białego kamienia, z wysokimi oknami, niebieskimi okiennicami i dachem krytym łupkiem. Stała pośrodku parku, a z każdej strony otaczały ją drzewa. Dzieciaki, które uczyły się tutaj, zapewne nie zdawały sobie sprawy z tego, jak wielkie szczęście mają w życiu. To była prywatna szkoła międzynarodowa z nauczycielami dwujęzycznymi, znakomicie mówiącymi po angielsku. Wielu uczniów, podobnie jak my, pochodziło z krajów anglojęzycznych. Tak jak w innych szkołach uczyło się tu matematyki, języków, historii i geografii. Jednak ponadto można było chodzić na zajęcia ze sztuki, z malarstwa i muzyki. Najmłodszy, tacy jak Sandy, uczestniczyli w zajęciach wczesnoszkolnych. Dla chętnych prowadzone były warsztaty kulinarne. Samemu można było zrobić pyszne ciasteczka! To wszystko na pewno bardzo dużo kosztowało, ale Godwin z pensją zawodowego piłkarza nie mógł narzekać na brak pieniędzy. Stać go było na zapisanie trojga dzieci do tak drogiej szkoły. I mnie też w odpowiednim czasie. Przyglądałam się wąskim, wysokim oknom i błękitnym okiennicom. Za każdym z nich oczami wyobraźni widziałam dzieci recytujące wiersze lub z zapalem kolorujące obrazki. Jak ja chciałam być wśród nich!

Kiedy wróciłam do domu, Linda dała mi kolejne zadania. Zawsze to samo. „Tina, zrób to”, „Tina, zrób tamto”. Prosiła, żebym pozamiatała, umyła podłogi, posprzątała

pokoje, pozmywała naczynia i jeszcze pomogła w kuchni. Coraz częściej podnosiła na mnie głos. Być może była zmęczona zajmowaniem się maleństwem. Słuchałam jej poleceń, zawsze starałam się robić wszystko najlepiej, jak umiałam, żeby jak najwięcej jej pomóc.

Godwin w domu nic nie robił. Część poranka zazwyczaj spędzał z nami, ale nie mówił zbyt wiele. Później szedł na trening do klubu Paris Saint-Germain.

Trzy tygodnie po moim przyjeździe Linda musiała wyjechać. Miała jeszcze kilka spraw do załatwienia w Nigerii. Zabrała ze sobą małego Samuela. Na czas jej nieobecności pozostałą dwójką dzieci miała się opiekować specjalnie do tego zatrudniona niania. Linda kazała mi jej pomagać.

Wieczorami, kiedy niania wracała do siebie, to na mnie spadał obowiązek zajęcia się bratem i siostrami.

Pewnego wieczoru, kiedy Sophie, Steeve i Sandy już spali, Godwin wrócił do domu w towarzystwie obcej kobiety i poprosił, żebym przygotowała jej łóżko w pokoju gościnnym. Posłuchałam go, nie czekając na wyjaśnienia. Później zażądał, żebym nakryła do stołu i podała coś do jedzenia. Wtedy niania dyskretnie zaproponowała, że mi pomoże.

- Do której klasy chodzisz? - spytała, żeby nawiązać rozmowę.

- W ogóle nie chodzę do szkoły - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, co wprawilo ją w zakłopotanie.

- Dopiero przyleciała z Nigerii - wtrącił się Godwin. - Nie jest moją rodzoną córką. Adoptowałam ją.

A co do szkoły... jestem w trakcie załatwiania niezbędnych papierów.

- Chciałby pan, żebym się nią zajęła? - zapytała młoda kobieta.

- Nie, nie! Równie dobrze mogę ja to zrobić. Proszę się nie przejmować.

W trakcie kolacji zauważyłam, że niania uważnie mi się przygląda. Nie spuszczała ze mnie wzroku, kiedy podawałam chleb, butelkę wody czy cokolwiek innego, czego zażyczył sobie ojciec.

- Dlaczego to dziecko musi wszystko robić? - odezwała się wreszcie. - Pan nie może się podnieść?

- To taka nasza afrykańska tradycja - odparował Godwin. - Nie zrozumie pani.

Tego wieczoru położyłam się z dziwnym poczuciem niepewności. Już w łóżku rozmyślałam o tym, co powiedziała ta kobieta. Zasiała we mnie ziarno niepokoju. Od tej pory zastanawiałam się, dlaczego nie poszłam do szkoły, dlaczego cały czas musiałam wypełniać obowiązki domowe i jakie były prawdziwe powody mojej obecności w tym domu.

Następnego ranka, kiedy sprzątałam pokoje - od dawna już przyzwyczaiałam się do siania łóżek każdego z domowników - odkryłam, że pościel w łóżku Godwina pozostała nienaruszona. W nieładzie było za to łóżko w pokoju gościnnym.

To dopiero! Matka wyjechała na kilka tygodni, zostawiła dzieci same, a tymczasem ojciec wykorzystuje jej nieobecność i spotyka się z kochankami... A może takie rzeczy dzieją się w każdej bogatej i sławnej rodzinie? Może to tylko kwestia mojego przestawienia się i przyzwyczajenia?

Wraz z nadejściem lata w domu nastąpiły wielkie zmiany. Tuż przed wakacjami z Afryki wróciła Linda Kilka dni później do naszej willi przybyła jakaś starsza kobieta o pomarszczonej twarzy. Okazało się, że to Badejoko Campbell. Była ciotką Lindy, lecz ta traktowała ją raczej jak swoją babcię. Chyba miała około sześćdziesięciu lat. Całkiem naturalnie wyszło tak że my również zaczęliśmy nazywać ją babunią. Zamierz-kała z nami.

Godwin zmienił drużynę. Odszedł z Paris Saint-Germain i dołączył do belgijskiego klubu Standard Liege. Wkrótce mieliśmy przeprowadzić się do Chatou gdzie Godwin z Lindą znaleźli dom swoich marzeń Chatou... Nazwa wydała mi się, piękna, choć nawet me wiedziałam, gdzie jest to miejsce. Dopiero później dowiedziałam się, że to całkiem niedaleko, zaledwie kilka kilometrów od Vesinet, miejscowości, w której do tej pory mieszkaliśmy.

Pierwsze dni wakacji upłynęły w elektryzującej, gorączkowej atmosferze. Godwin z Lindą pojechali obejrzeć nowy dom. Kiedy wrócili, wyglądali na bardzo zadowolonych. Dzieci już nie mogły się doczekać, kiedy zobaczą swoje nowe pokoje. Zaczęło się pakowanie rzeczy do kartonów. Linda zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa. Potrafiła krzyknąć na mnie bez powodu.

W końcu nadszedł długo wyczekiwany dzień przeprowadzki. Ciężarówka zabrała wszystkie nasze meble i pudła, a Godwin wziął dzieci na pierwszą przejażdżkę do nowego domu. Ja z babunią zostałyśmy w Vesinet Dopiero później Godwin przyjechał także po nas.

Od strony ulicy nasz nowy dom był ledwo widoczny. Czarno-szare, wysokie, żelazne ogrodzenie przypominające *raczej* więzienne zasieki z łatwością skrywało posiadłość przed oczami ciekawskich przechodniów. Na całej jego długości sterczały ostre szpikulce, które zdawały się mówić: „Odejdź, bo tu nie ma nic do oglądania!”. Lewe skrzydło willi, to najwyższe, było zakończone ostro nachylonym jednospadowym dachem, który wbijał się w niebo jak betonowe ostrze. Dwa okna, wąskie niczym otwory strzelnicze w murze średniowiecznego zamku, na wskroś przebijały tę potężną budowlę. Do garażu prowadził w dół długi, stromy podjazd, który wydawał się ostatnią drogą skazańca siłą zaciąganego do ciemnego, zimnego lochu. Po prawej stronie biegła ścieżka wyłożona kamiennymi płytami. Wiodła do niżej położonej części posesji, ukrytej za kurtyną bujnej roślinności. Dwie figurki siedzących psów przecinały poziomą linię krytego łupkiem dachu, który sięgał aż do ziemi.

Pojawiła się Sophie...

— Tina! Chodź zobaczyć mój pokój!

Wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Biegiem pokonałyśmy schody. Zaprowadziła mnie do pomieszczenia wypełnionego kartonami prawie po sam sufit. Jakiś mężczyzna z ekipy przeprowadzkowej był zajęty składaniem łóżek piętrowych moich sióstr. Sophie tańczyła z radości jak szalona. Obie śmiałyśmy się do rozpuku. Steeve także koniecznie chciał mi pokazać swój pokój, który miał dzielić ze swoim młodszym bratem Samuelem. Wszyscy pobieглиśmy za nim, a dom wypełnił się wesołą wrzawą.

Otwieraliśmy i zamykaliśmy wszystkie drzwi, zaglądaliśmy do szaf, toalet i łazienek...

Dwuosobowe łóżko zajęło całe pomieszczenie na parterze. To był pokój rodziców. Trochę dalej odkryłam jeszcze jeden pokoik, ale jeszcze nieumeblowany. Weszłam do środka po cichu, jak do sanktuarium. To było ostatnie puste pomieszczenie. Przejęta pomyślałam, że właśnie tutaj będzie mój pokój.

Przez cały dzień trwało przesuwanie i ustawianie mebli, rozpakowywanie kartonów. Pomagałam układać sztućce, zastawy stołowe, pościel... Wieczorem od ciągłego przenoszenia i dźwigania różnych przedmiotów prawie nie czułam ramion. Moje nogi były jak z ołowiu od nieustannego biegania w tę i z powrotem. Najchętniej położyłabym się spać, jednak nie miałam gdzie, bo mój nowy pokój nie był urządzone. I nadal nie było w nim żadnych mebli. Szukałam po całym domu mojego łóżka, ale bez rezultatu.

- Dzisiaj prześpisz się w salonie, na kanapie - zakomunikowała Linda.

Tamtej nocy zasypiałam z myślą o nadchodzącym roku szkolnym. Jeszcze tylko kilka tygodni i nareszcie zacznę się uczyć. Śniłam o czarnych tablicach, zeszytach do nauki pisania, recytowaniu wierszy z pamięci, tabliczce mnożenia...

Nazajutrz pomieszczenie na parterze, które miało być moim pokojem, wypełniło się kartonami. Z niektórych, otwartych w pośpiechu wystawały rzeczy i ubrania Lindy. Były dosłownie wszędzie. Modne suknie obok tradycyjnych afrykańskich boubou i setki, tysiące par butów... Nie było nawet miejsca, żeby wstawić łóżko.

Nie śmiałam o cokolwiek pytać. Ogarnęło mnie jakieś potworne przeczucie. Czułam, że wydarzy się coś strasznego.

Nadeszła kolejna noc. Dzieciaki poszły spać, a ja zaniepokojona czekałam.

- Posprzątaj ze stołu i też się połóż - odezwała się Linda i dodała po chwili: - Rzeczywiście! Nie możesz cały czas spać w salonie! Pójdiesz na dół. Od dzisiaj tam będzie twoje miejsce.

„Dół” oznaczał piwnicę.

- Dobrze, mamó... - powiedziałam potulnie, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy.

Wzięłam swoje rzeczy i poszłam w stronę drzwi prowadzących na najniższy poziom. Za nimi znajdowały się schody. Miały trzynaście stopni... Trzynaście kroków pokonywanych jak w zwolnionym tempie, ze ściśniętym gardłem. Czułam się tak, jakbym schodziła pod ziemię, żeby już nigdy nie wrócić na powierzchnię.

Zawiedziona nadzieja

To było wilgotne i zimne pomieszczenie, z podłogą wyłożoną kamiennymi płytkami. Na ścianie zamontowano grzejnik elektryczny. Pod sufitem huśtała się nieosłonięta żarówka. Wszędzie leżały puste pudła, zepsute walizki, same niepotrzebne i bezużyteczne rzeczy, które wynosi się do piwnicy. Pośrodku tego przygnębiającego pobjowiska na gołej podłodze był rzucony materac, a na nim byle jak zwinięta kołdra. Plecak, w którym miałam cały swój dobytek, postawiłam na podłodze, a potem rozebrałam się do snu. Musiałam jeszcze zgasić światło, ale bałam się podejść do drzwi, bo później musiałabym po omacku wrócić na materac. Nie było jednak innej rady...

Z palcem na wyłączniku światła oceniałam, jak mam daleko do swojego posłania. Cztery kroki? A może pięć? Wzięłam głęboki oddech. Klik! Zrobiło się ciemno! Nieporadnie doczłapałam się do materaca. Usiadłam, ale nie miałam odwagi się położyć.

Nie docierały do mnie żadne dźwięki, a przynajmniej te wydawane przez ludzi. Tylko bulgotanie i dudnienie

w metalowych rurach. W jednej chwili opuścił mnie spokój i zabrakło ciepła bliskich osób.

Zawładnęła mną przygniatająca i beznadziejna samotność.

Tamtego wieczoru nie uklękłam przed łóżkiem. Nie zamknęłam oczu i nie wsparłam czoła na dłoniach złożonych do modlitwy. Pierwszy raz w życiu nie odmówiłam „Ojcze nasz”. Drżąc ze strachu, położyłam się. Pomyślałam o tacie, tym prawdziwym tacie, i o mamie. A potem o całej rodzinie, która została w dalekiej Afryce. Zastanawiałam się, dlaczego mnie zostawili, dlaczego oddali obcym ludziom. Czy wiedzieli, co może mnie spotkać? A może od początku ojciec z wujkiem mnie okłamywali?! Może chcieli się mnie pozbyć?

Naciągnęłam kołdrę na twarz, żeby nie czuć odoru piwnicznej pleśni. Zalewałam się łzami. W końcu zasnęłam.

Od samego rana Linda wydawała rozkazy. - Weź miotłę i chodź za mną!

Poszłyśmy na piętro. Wtedy powiedziała, czego ode mnie oczekuje. Miałam posprzątać pokoje, zaczynając od tego, który znajdował się najdalej. Pokazała, gdzie znajdę odkurzacz. Później czekało mnie zamiecenie i umycie schodów, a potem wypucowanie jej pokoju na dole, następnie wysprzątanie salonu i na końcu kuchni. Wzięłam się do pracy, nie doczekawszy się śniadania. Bałam się o nie upomnieć, choć byłam bardzo głodna.

Przez cały dzień Linda zawiadywała moją pracą. Kiedy skończyłam zamiatać, kazała mi pozmywać naczynia, potem wskazała stertę ubrań do uprasowania, następnie wysłała na zakupy, a później do kuchni. A jeśli chodzi o pranie... oficjalnie zabroniła mi korzystać z pralki.

- Jesteś na to zbyt głupia - orzekła. - Zniszczysz mi wszystkie ubrania.

W ten sposób minęły dwa miesiące wakacji. Każdego dnia pracowałam bez wytchnienia, od bladego świtu do późnego wieczoru. Jadłam, kiedy miałam chwilę... w kuchni. Sama. Myślałam, że oszaleję. Obsesyjnie uczepliłam się jednak jednej myśli. Każdy kolejny dzień przybliżał mnie do rozpoczęcia nauki.

Któregoś dnia Linda kupiła rzeczy potrzebne do szkoły. Rozdała swoim dzieciom plecaki, teczki, kredki, zeszyty, długopisy... Mnie nic nie dała.

- A ja nie idę do szkoły? - zapytałam.

- Ty? Ty chcesz iść do szkoły? - Wbiła we mnie lodowaty wzrok.

- Muszę - odpowiedziałam zdziwiona tym, że odważyłam się mieć swoje zdanie.

Linda wybuchnęła sarkastycznym śmiechem.

- A niby co chcesz tam robić? Przecież jesteś zerem! Takich zer jak ty nie biorą do szkoły!

Stałam jak porażona, słysząc te słowa. Zaczęły mi drżeć usta.

- Nadajesz się tylko do sprzątnia! A i tak cały czas trzeba ci patrzeć na ręce!

Podeszła bliżej z oburzoną miną. Wykrzywione usta i ten lekceważący wzrok świadczyły o tym, że mną gardzi.

- A poza tym śmierdzisz! Jak można tak obrzydliwie cuchnąć! Wydaje ci się, że ktoś przyjmie do szkoły takiego śmierdziucha?

Zrobiła *jeszcze*, jeden krok w moją stronę. Instynktownie skuliłam się i w odruchu obronnym zasłoniłam twarz rękoma.

— Od dzisiaj będziesz wstawiała wcześniej, żeby wziąć prysznic! Nie chcę więcej czuć od ciebie tego odrażającego odoru!

Nie byłam taka głupia, za jaką mnie brała Linda. Dobrze wiedziałam, że ta cała pogadanka o zapachu była tylko pretekstem...

Od tamtej pory moje dni zaczęły wyglądać całkiem *inaczej*. Po tym, jak Linda wykrzyczała mi w twarz, że śmierdzę, podarowała mi budzik, który był nastawiony na piątą rano. Musiałam zrywać się z łóżka bladym świtem. Wszyscy domownicy wciąż spali, a ja już byłam pod prysznicem. Następnie prasowałam mundurki szkolne dla dzieci i czyściłam ich buty, które każdego dnia musiały być lśniące. Sprawdzałam, czy w plecakach mają wszystko, czego potrzebują. Później szłam do kuchni i przygotowywałam śniadanie. Kubek gorącego mleka o smaku czekolady, kanapki, masło, konfitura, płatki śniadaniowe. Budziłam Sophie, Steevea i Sandy, pomagałam im w porannej toalecie, myłam ich, ubierałam i czesałam. Podczas gdy oni jedli śniadanie, ja przygotowywałam podwieczorek — sok owocowy i herbatniki — który wsuwałam im do plecaków.

Dzieci państwa Okparów wciąż chodziły do międzynarodowej szkoły w Vesinet, czyli do tego wielkiego, pięknego budynku z białego kamienia i z niebieskimi okiennicami. Z Chatou, gdzie mieszkaliśmy, dojście tam zajmowało trzy kwadranse. Gdy tylko odprowadziłam przyszywane rodzeństwo, szybko wracałam do domu, pchając przed sobą pusty, chyboczący się wózek Sandy.

„Lepiej już nie marudzić - myślałam - niż wysłuchiwać zrządzenia i wyrzutów Lindy".
W domu od razu brałam się za sprzątanie. Ścieliłam łóżka dzieci. Linda życzyła sobie, żebym dwa razy w tygodniu zmieniała pościel. Następnie robiłam pranie i rozwieszałam je do wyschnięcia. Nadchodziło południe. Na szczęście dzieci jadły obiad w stołówce szkolnej, więc nie musiałam jeszcze po nie iść. Wtedy zamiatałam schody. Zazwyczaj w tym momencie słyszałam wołanie.
- Tina!

Ten krzyk oznaczał, że Jej Wysokość Linda raczyła się obudzić i była głodna. Leniła się w łóżku jeszcze jakiś czas, po czym wstawiała, zarzucała na siebie peniuar lub afrykańskie boubou i rozciągała się na kanapie przed telewizorem.

- Tina! Czy masz zamiar podać to śniadanie jeszcze dzisiaj?

Przynosiłam tacę, na której układałam sztucce i talerz ze spaghetti polanym sosem pomidorowym z dodatkiem papryki, cebuli i owoców morza. Jej ulubione danie. Jednak ona w każdej chwili mogła się rozmyślić. Po jej minie od razu wiedziałam, czy odeśle mnie do kuchni, czy nie. Jeśli patrzyła z posepną miną i złością w oczach, wiedziałam, że za chwilę usłyszę:

- Co to ma być? I ja niby mam to zjeść?

Wtedy wracałam do kuchni, żeby przygotować coś nowego. Niekiedy mogłam *liczyć* na pomoc babuni. W tym czasie Linda rozparta na kanapie czekała na nowy posiłek. Gdy się podnosiła, na którejś z szafek zawsze znajdowała kurz i zarzucała mi, że nie posprzątałam. Wtedy wrzeszczała na mnie, podnosiła rękę, biła, po czym wychodziła na zakupy lub spacer.

Po południu odbierałam dzieciaki ze szkoły. Po powrocie do domu pilnowałam, żeby odrobiły lekcje. Po kolacji ubierałam je w piżamy i kładłam spać. Mój dzień się jednak nie kończył. Musiałam być do dyspozycji Lindy i Godwina, a także ich gości, jeśli się pojawili, Godwin często zapraszał kolegów z drużyny, a do Lindy na ploteczki wpadały przyjaciółki. Nieważne, czy była północ, czy jeszcze później. Ja zawsze musiałam być na ich zawołanie.

A śniadanie? Gdzie w tym wszystkim chwila dla siebie? Jeszcze o tym nie wspomniałam. Ponieważ śniadania dla mnie nie było! Jadłam wtedy, gdy mogłam. Na przykład kiedy Lindy nie było w domu lub gdy już naprawdę nie wytrzymałam z głodu. Jadłam na stojąco, nad kuchenką gazową lub cichutko w kącie. Nigdy nie był to gorący posiłek. Dla mnie pozostawały resztki.

To zadziwiające, że kilka tygodni takiego sposobu życia zmieniło mnie nie do poznania. Nałożyłam na siebie pewien rodzaj skorupy, twardego pancerza, który chronił mnie nie tylko przed uderzeniami, lecz także przed zniewagą, upokorzeniem i poniżeniem. Nauczyłam się nie odzywać, gdy ktoś nie pytał. Zresztą do mnie też niewiele się odzywano, raczej tylko słyszałam krzyki *i* rozkazy Lindy: „Zrób to!” „Zrób tamto!” Całą moją odpowiedź stanowiło ciche: „Dobrze, mamó”.

Jedynie, do czego nie mogłam się przyzwycząić, to zmęczenie. Brak snu dosłownie mnie zrujnował.

Bywały chwile, gdy oczy same mi się zamykały.

Mój stan zdawał się niepokoić Godwina.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał pewnego dnia.

— A co, tato?

— Powłóczysz nogami, snujesz się po domu jak żywy trup. Jakbyś cały czas była czymś przybita i zmęczona.

Co mogłam odpowiedzieć? Czy był aż tak ślepy, że nie widział, co działo się pod jego własnym dachem? Nie zauważył, jak mnie traktowano od rana do wieczora? Nie domyślał się, kto budzi jego dzieci, robi im śniadanie, myje, ubiera i odprowadza do szkoły? Nie zdawał sobie sprawy, kto sprząta w całym domu, pierze jego brudną bieliznę, zmienia pościel? Nigdy nie zastanawiał się nad tym, kto strzyże jego trawnik?

Na pewno wszystko doskonale wiedział! Pewnego dnia podjechał pod dom z bagażnikiem wypełnionym drewnem do kominka. Poprosił, żebym go rozładowała. Przez cały czas stał obok z założonymi rękami. Nie wykonał najdrobniejszego ruchu, żeby mi pomóc, ani razu się nie schylił. Po drugiej stronie płotu całej scenie przyglądała się sąsiadka. Widziała udręczoną dziewczynkę, a obok niej obojętnego mężczyznę. Zapewne była oburzona.

— Smutno mi, bo myślałam, że pójdę do szkoły — odezwałam się do Godwina.

— Znowu ta sama śpiewka!

— Obiecałeś...

— Porozmawiam z Lindą - odparł i nawet się uśmiechnął. — Daję ci słowo, że postaram się ją przekonać — dodał jeszcze.

Jednak wiedziałam, że mu się to nie uda. Godwin Okpara być może był świetnym piłkarzem, znakomitym obrońcą o międzynarodowej sławie, sprytniejszym zawodnikiem niż pozostali.

Napastnicy z przeciwnych drużyn nie robili na nim żadnego wrażenia. Nie bał się nikogo poza swoją żoną. Była od niego starsza o ponad siedem lat. Całkowicie go zdominowała. Fizycznie i psychicznie. Czasami cieszyłam się, że Godwin jest w pobliżu, bo kiedy był obok, Linda nie śmiała mnie uderzyć. Zamiast tego na moją głowę sypał się grad obelg. Gdy nie wytrzymała i podnosiła na mnie rękę, on się wtrącał.

— Zostaw ją — mówił łagodnie.

Linda, z trudem tłumiąc złość, poprzestawała wtedy na wyzwiskach.

— Dlaczego jej bronisz? Sypiacie ze sobą?

Godwin tylko wzruszał ramionami. Ja dyskretnie się usuwałam. Jednak za każdym razem, gdy udawało mi się uniknąć ciegów, wiedziałam, że Linda planuje odwet.

Dla niej każda okazja była dobra, żeby mnie poniżyć, zbesztać, upokorzyć. W ciągu jednego dnia setki razy mi powtarzała, że jestem idiotką, zerem, śmierdzielem, zwierzęciem.

Pewnego wieczoru, kiedy prasowałam, usłyszałam, że Linda wraca do domu. Skarżyła się babuni na tłok w sklepach. Mówiła, że umiera z głodu i ze zmęczenia,

bo całe popołudnie chodziła. Kipiała złością. Kilka chwil później wrzasnęła na mnie. Spodziewałam się tego. Rzuciłam wszystko i szybko poszłam do salonu. Linda leżała na kanapie. Włączyła telewizor i posłała mi spojrzenie pełne pogardy.

— Przynieś mi olejek do masażu — burknęła.

Kiedy wróciłam z flakonem, ona podniosła sukienkę, odsłaniając nogi do kolan.

— Wymasuj mnie! — rozkazała.

Posłusznie przy niej uklękłam. Nie wiedziałam, jak mam się do tego zabrać. Boże, te jej stopy... i wielkie łydki, których brzydziłam się dotknąć. Zaczęłam ugniatać w dłoniach jej stopy. Była tak zajęta oglądaniem filmu, że w ogóle się nie odzywała. Z każdą chwilą jej powieki robiły się coraz cięższe, a oczy zamykały. Masowałam ją jeszcze kilka minut, a później po cichutku się podniosłam.

— Kto ci pozwolił przestać?! - krzyknęła nagle, otwierając oczy.

Z powrotem padłam na kolana. Zażyczyła sobie także masażu łydek i ud. Te jej ogromne i zwaliste nogi były dla mnie odrażające, ale musiałam być posłuszna. Nie miałam wyboru. Zajmowałam się nią przez cały czas trwania filmu. Kiedy tylko na ekranie pojawiły się napisy końcowe, wstała i bez słowa wyszła z salonu.

W tym domu nigdy nikt mi nie podziękował. Niczego dla mnie nie było. Kiedy Linda wracała z zakupów, kazała mi je rozdzielać. Opróżniała torby, segregowała rzeczy i mówiła: „To jest dla dzieci, to dla Sophie, a to dla mnie”. Dzięki temu wiedziałam, gdzie je położyć.

Nigdy nie usłyszałam: „To dla ciebie, Tino”. Takie *zdunie* istniało jedynie w moich marzeniach. Chodziłam tylko w używanych ubraniach. Swoje rzeczy trzymałam w starych pudłach. Wszystko, co miałam, znalazłam na śmietniku, bo ludzie wyrzucali ubrania. Właśnie w ten sposób pewnego dnia w kontenerze znalazłam zeszyt. Miał spłowiata okładkę, brakowało mu kilku stron, ale dla mnie był to prawdziwy skarb. Przejęta wzięłam go, wsunęłam pod bluzkę i pobiegłam do piwnicy, żeby go schować na samym dnie kartonu, pod warstwą ubrań. Przez cały dzień myślałam tylko o tym cennym znalezisku. Nie mogłam się doczekać, aż wrócę do siebie na dół. Czułam się tak, jakby czekał na mnie bliski przyjaciel. Jeszcze tylko zabrałam długopis, ale to nie było skomplikowane. Wieczorem, kiedy byłam już wolna, zbiegłam do piwnicy i zaczęłam pisać. Pierwsze słowa dotyczyły Lindy: „Ona mnie nienawidzi. Traktuje jak zwierzę”. Miałam problem z płynnością stylu. Tysiące słów kłębiło się w mojej głowie, zanim przelałam je na papier. Chciałam opisać cały gniew, jaki we mnie narastał, nienawiść i samotność.

„Godzinami przesiaduje w toalecie. Słyszę, jak plotkuje z przyjaciółkami przez telefon. Nie wstyd jej? Nie! Ona niczego się nie wstydzi! Nawet nie spuszcza po sobie wody! Ja muszę robić to za nią, kiedy sprzątam pokoje”.

Pisanie dawało mi pewien rodzaj spokoju i odprężenia. Mimo potwornego zmęczenia zawsze znajdowałam siły, żeby w nocy napisać kilka słów w pamiętniku.

Bywały dni, kiedy zapisywałam całą stronę, a czasami tylko kilka linijek. Relacjonowałam wydarzenia z każdego dnia. W ten sposób mogłam odreagować całą złość, jaką czułam do Lindy, i koszmarny stres. Potem mój drogocenny dziennik, mojego jedyne go powiernika chowałam pod ubrania w tekturowym kartonie, mając nadzieję, że nikt go tam nie znajdzie.

Sekretny dziennik

Nigdy nie słyszałam, żeby Linda powiedziała do kogoś „kocham cię” nawet do swoich dzieci. Jedynym jej sposobem wyrażania uczuć było kupowanie im prezentów, najczęściej jakichś zabawek, lub zabieranie ich do McDonalda. Poza tym nie poświęcała im zbyt wiele uwagi.

— Idź do pokoju poczytać książkę!

Ile razy słyszałam te słowa! Dzieci nie powinny przeszkadzać, a przede wszystkim robić hałasu. Rzadko interesowała się ich nauką. Łapała wtedy jakiś przypadkowy zeszyt, rzucała okiem od niechcienia i zadawała jedno, dwa zdawkowe pytania. I zawsze kończyło się w ten sam sposób. Krzykiem. A to odpowiedziały nie po jej myśli, a to dostały zły stopień, a to nie nauczyły się wszystkiego. Nigdy nie usiadła z nimi, żeby pomóc im przy jakimś zadaniu. Nigdy nie poświęciła im czasu na wytłumaczenie trudniejszego zagadnienia. Musiały się uczyć same. A najlepiej, gdyby od razu wszystko wiedziały i rozumiały. Była niecierpliwa i pełna złości. Brakowało jej matczynej troski i czułości.

Było nas pięcioro. Dom powinien być wypełniony dziecięcym śmiechem, radosnymi okrzykami i harmiderem. Jednak słyhać było jedynie wrzaski i pokrzykiwania Lindy.

Dzieciaki w końcu zauważyły, że ich rodzice traktowali mnie gorzej. I zdaje się, że też cierpiały z tego powodu. Pewnego dnia, kiedy Linda zaczęła mnie bić, mała Sandy stanęła w mojej obronie. Kochane biedactwo! Z płaczem rzuciła mi się w ramiona, wykrzykiwała moje imię i błagała mamę, żeby przestała. Ale to nic nie dało. Linda nadal biła mnie jak oszalała. Wtedy chciałam już tylko chronić skuloną w moich ramionach Sandy, której też przypadkowo mogło się dostać.

Sophie także wzruszyła się moim losem. Nie mogła patrzeć na to, jak haruję całymi dniami. Gdy tylko nadarzała się okazja, starała mi się pomóc, żeby choć trochę mnie odciążyć. Rano koniecznie chciała sama się myć i ubierać, chociaż Linda nakazywała, żebym ja to robiła. Od czasu do czasu w wielkiej tajemnicy pomagała mi złożyć pościel albo wytrzeć naczynia. Wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby Linda przyłapała ją ze ścierką w dłoni!

- Sophie, zostaw to! To nie jest praca dla ciebie!

W takich momentach zawsze dostawałam w twarz. Któregoś dnia z palącym z bólu policzkiem zbiegłam do piwnicy. Sophie, zatroskana, pobiegła za mną. Wytłumaczyłam jej, że nie powinna czuć się winna. Siedziałyśmy kilka chwil i rozmawiałyśmy tak jak zwykle. Sophie lubiła mi się zwierzać. Opowiadała o szkole, swoich przyjaciółkach, chłopakach, którzy jej się podobają.

Słuchałam tego z zazdrością. Tak bardzo chciałam być taka jak inne dziewczynki.

W dniu, w którym plotkowałyśmy w najlepsze, nawet nie zwróciłam uwagi na to, że Sophie rzuciła okiem na moje rzeczy. Po chwili zmarszczyła czoło i sięgnęła do kartonu. Zanim zdążyłam zareagować, już miała w dłoni mój zeszyt. Otworzyła go i zaczęła czytać.

— Co to takiego? — zapytała.

Zaniemówiłam. Potrzebowałam kilku sekund, żeby zareagować. Kiedy wreszcie wyrwałam z jej rąk mój pamiętnik, było już za późno. W tym czasie zdążyła trochę przeczytać.

— Naprawdę napisałaś coś takiego o mojej mamie? — zapytała z niedowierzaniem.

Spojrzała na mnie zaskoczona i, jak mi się zdawało, z podziwem, po czym znowu się odezwała:

— Nie martw się. Nic nikomu nie powiem. Nikomu, Tego wieczoru pierwszy raz mogłam zapisać w dzienniczku dobrą wiadomość. Mieli do nas przyjechać na kilka dni Magda i Patryk! Wzięłam ołówek i zanotowałam: „To najcudowniejsi ludzie, jakich znam. Kiedy są u nas, moje życie jest bardziej znośne”.

Magda i Patryk mieszkali w Brukseli. Z rodziną Okparów znali się od początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to Godwin podpisał kontrakt i wyjechał do Belgii. W tamtym czasie udało mu się nawet zdobyć nagrodę Hebanowego Buta, czyli tytuł przyznawany najlepszemu piłkarzowi afrykańskiego pochodzenia. Kilka lat później Godwina przetransferowano do drużyny francuskiej, jednak Magda z Patrykiem nadal utrzymywali

znim kontakt. Regularnie do siebie dzwonili, a czasami, ku mojej wielkiej radości, przyjeżdżali do nas na tydzień ze swoimi dziećmi, które były w podobnym wieku.

Magda miała ciemne, krótko obcięte włosy, życzliwy uśmiech i łagodne spojrzenie. Była dzielną kobietą. Kiedy u nas mieszkała, moje życie stawało się lepsze. W jej obecności Linda nie mogła mnie upokarzać. Nie obarczała mnie nadmierną pracą, nie nękała. Powstrzymywała się od bicia i wyzwisk. Zaprzestawała uderzania mnie butem po głowie.

Magda bardzo lubiła gotować. Podczas pobytu u nas zajmowała się kuchnią, dzięki czemu miałam mniej pracy, a dom wypełniały cudowne zapachy. Linda oczywiście robiła wszystko, żebym nie siadała razem z nimi do stołu, jednak Magda zawsze zostawiała mi obiad w kuchence mikrofalowej. Wystarczyło tylko go podgrzać i ucza była gotowa. Od czasu do czasu wsuwała mi w dłoń monetę lub drobny banknot.

— Ciii — mówiła, kładąc palec na ustach. — To będzie nasza tajemnica.

Dzięki niej nie chodziłam głodna, ale najważniejsze, że byłam szczęśliwa. Kiedy odzywała się do mnie, czułam, że mnie lubi i szanuje, może nawet kocha. Niezależnie od wszystkiego widziała we mnie człowieka. Nie wierzę, że była naiwna. Na pewno zauważyła, że traktują mnie tu gorzej niż pozostałe dzieci.

— Źle ci z nowymi rodzicami? — zapytała któregoś dnia, kiedy znalazłyśmy się same w kuchni. Spuściłam wzrok. Magda zbliżyła się do mnie i ukucnęła. Spojrzała mi prosto w oczy. Powoli pokiwałam głową.

— Chciałabym stąd wyjechać jak najdalej.

— Posłuchaj. Nie znam zbyt dobrze francuskiego prawa. Nie wiem, w jakim wieku dziecko może opuścić rodzinę.

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Dokąd mogłabym pójść, gdyby udało mi się wyrwać z tego koszmaru? Nikogo nie znałam, do tego bardzo źle mówiłam po francusku, a kilkukrotne próby zaczepienia sąsiadki kończyły się porażką. Okazywało się, że nie jest w stanie niczego zrozumieć. Czułam się jak w pułapce.

Stałam na środku kuchni ze ściśniętym gardłem. W piersiach czułam ucisk, jakby ktoś chwycił mnie od środka za serce i mocno je zacisnął. Nie mogłam patrzeć, jak Magda cierpi. W jej oczach widziałam głęboki smutek, a nawet po jej policzku spłynęła łza. Płakała z mojego powodu. Z kieszeni wyciągnęła chusteczkę i przetarła oczy.

— Dowiem się, czego trzeba — stwierdziła. — To dość skomplikowane. Linda z Godwinem cię adoptowali. Nie można im tak po prostu ciebie odebrać.

Nazajutrz, kiedy wyjeżdżali, Magda przytuliła mnie i uścisnęła ze wszystkich sił.

— Bądź odważna i silna... — szepnęła mi do ucha. Wydawało mi się, że w jej oczach można było dostrzec

wahanie. Dała mi buziaka w czoło i powiedziała cichutko:

— Zawsze będę dla ciebie...

Kiedy Magda z Patrykiem pojechali, wróciło codzienne piekło.

Pewnego dnia pokłóciłam się z Sophie. Już dawno zapomniałam, o co poszło. Na pewno o jakiś drobiazg. Ot, zwykła dziecinna sprzeczka.

— Wszystko powiem mamie! - powiedziała nadąsana. Odwróciła się gwałtownie na pięcie i uciekła. Ja tylko wzruszyłam ramionami i krzyknęłam za nią, że nic mnie to nie obchodzi. Sama już dokładnie nie pamiętam. Złapałam za odkurzacza i wzięłam się do pracy.

Kilka chwil później domem wstrząsnął potężny krzyk.

— Tiiina!

Pobiegłam do salonu. Linda już na mnie czekała. Myślałam, że zabije mnie wzrokiem. Była potwornie rozzłoszczona. Za nią stała babunia i przyglądała mi się niezadowolona. Trzęsłam się jak zwierzę schwyte w pułapkę.

— To prawda, że masz jakiś zeszyt? - odezwała się Linda.

Wtedy zapragnęłam, żeby pod moimi stopami otworzyła się podłoga i pochłonęła mnie ziemia.

Chciałam zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu, umrzeć. Nic nie odpowiedziałam. Stałam w milczeniu i cicho płakałam.

— Pytam, czy to prawda, że masz jakiś zeszyt? -powtórzyła Linda, która aż kipiała ze złości.

— Tak...

— Idź po niego! Natychmiast!

Miałam wrażenie, że opuściły mnie wszystkie siły. Zeszłam do piwnicy. Sophie mnie wydała! I to przez głupią kłótnię! Przez zwykłą, szczeniacką zazdrość! Ona mnie wydała, a ja teraz umrę. Byłam pewna, że właśnie

tak się stanie. Wydawało mi się, że ostatni raz *patrzę* na *odrażającą*, suterene, która była moim pokojem, i ostatni raz czuję zapach zgnilizny. Wzięłam zeszyt i powoli wdrapałam się na schody, jakbym wkraczała na szafot.

Linda była moją władczynią. Każdy mój gest, ruch, zachowanie zależały tylko od jej woli. Była wszechmocna. A ja robiłam wszystko, czego zażądała. Byłam tym, kim kazała mi być. Gdyby przeczytała, co napisałam o niej w pamiętniku, zapragnęłaby mojej śmierci.

Kiedy wróciłam do salonu, podałam jej zeszyt. Wyrwała mi go z ręki i nerwowo zaczęła przeglądać kartki. Co chwilę, w miarę przerzucania kolejnych stron, wrzeszczała.

- Wiesz, co ona tu napisała?! - krzyknęła w furii do babuni, wymachując zeszytem nad głową. - Wiesz, co mogłoby się stać, gdyby ktoś się przypadkiem na to natknął?

Cisnęła pamiętnikiem w kąt.

- Gówniara! Chciała mnie wysłać do więzienia! Babunia podniosła zeszyt. Płakałam tak bardzo, że wszystko mi się rozmazywało. Ból rozsadzał mi czaszkę.

Linda uderzyła mnie swoją ulubioną bronią, czyli butem, a dokładnie białym pantoflem od Diora. Obcas rozciął mi skórę na głowie. Po chwili uderzyła jeszcze raz i krzyczała. Potem kazała mi się wynosić. Pobiegłam do piwnicy i rzuciłam się na materac.

Przeciągnęłam dłonią po włosach. Widok krwi doprowadził mnie niemal do obłędu. Bałam się. To bolało. Krwawiłam, a jednak nie krzyczałam. Nie wolno mi było robić hałasu. Ona nie mogła mnie usłyszeć.

Następnego dnia, kiedy o piątej rano jak zwykle zadzwonił budzik, zerwałam się i poszłam pod prysznic. Później weszłam na piętro i zaczęłam przetrząsać kosz na śmieci w nadziei na znalezienie mojego zeszytu. Najbardziej zależało mi na zdjęciach rodziców, które były między kartkami. Poprzedniego dnia byłam tak oszołomiona, że nie pomyślałam nawet o ich usunięciu i ukryciu przed Lindą. Przebrałam chyba wszystkie odpadki, ale nie znalazłam ani mojego pamiętnika, ani zdjęć mamy i taty. Tym lepiej! To oznaczało, że nikt ich nie zniszczył, czyli musiały gdzieś być! Przez cały dzień, sprząając pokoje, korzystałam z okazji i szperałam w szafkach w poszukiwaniu mojej zguby. I udało się! Zdjęcia znalazły się w szafie babuni. Były wetknięte pod stertę bielizny. Natomiast po zeszyt ślad zaginął. Jakby rozpułynał się w powietrzu.

Kilka tygodni później w śmietniku znalazłam skoroszyt ze spiralnym brzegiem. Był zużyty tylko do połowy. Zawahałam się przez chwilę, mając w pamięci gniew Lindy. Tak bardzo brakowało mi pisania! Miałam ogromną potrzebę przelania na papier tego, co czuję. Musiałam ulżyć swojemu cierpieniu i opisać rozpacz, jakiej doświadczyłam. Wzięłam skoroszyt, wyrwałam niepotrzebne kartki, a resztę wsunęłam pod bluzkę. Tym razem postanowiłam dobrze go ukryć. Wieczorem, przed pójściem spać, wyjęłam mój skarb. Wróciłam do pisania.

Natomiast przestałam się modlić. Nie dlatego, że zapomniałam o Bogu, tylko dlatego, że on zapomniał o mnie.

Przerwane dzieciństwo

Luty 2003 roku. Minęły dwa lata, odkąd stałam się niewolnicą w domu Okparów. Dwa lata morderczej pracy od rana do wieczora i spania w zatechłej piwnicy. Dwa lata przygotowywania posiłków dla nich i jedzenia samych resztek. Dwa lata zajmowania się ich dziećmi. Dwa lata sprzątania domu, prania, prasowania, składania pościeli. Dwa lata masowania tłustych łydek Lindy i spuszczenia po niej wody w toalecie... Dwa długie lata więzienia, wykorzystywania i upokorzeń. Teraz miałam piętnaście lat i nie czułam się człowiekiem. Byłam cieniem. Wszystko się we mnie wypaliło i wygasło. Oczy, głos, uśmiech... Stałam się kimś o spłoszonym spojrzeniu, udęconą, chwiejną, niepewną istotą, śmieszoną w swojej żalności. Chodziłam w starych, używanych, niemodnych, często zbyt dużych i nieświeżych ubraniach, które dostawałam od Lindy. Ciągły strach i stres doprowadziły mnie na skraj rozpacz. Udało mi się przeżyć tylko dzięki resztkom jedzenia i kilku chwilom snu łapanym przy okazji.

Byłam całkowicie osamotniona. Nigdy nie poszłam do szkoły. Nie miałam przyjaciół ani nikogo, komu mogłabym się wyzalić. Zresztą, gdzie i jak miałabym kogoś poznać i Przecież nie wychodziłam. Poza tym nie mówiłam po francusku!

Podczas sporadycznych wyjść znajdowałam się pod stałą obserwacją Lindy lub nieufnie spoglądającej na mnie babuni. Od kiedy nasz dom nawiedziły dwie misjonarki, regularnie zaczęliśmy chodzić do Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich¹ w Wersalu. Jeśli towarzyszyłam babuni, to tylko po to, żeby zajmować się dziećmi. Linda lub Godwin zawozili nas samochodem pod kościół, a po skończonym nabożeństwie po nas przyjeżdżali.

To pozwalało na chwilowe wyrwanie się z domu, krótką ucieczkę z piekła codzienności, posłuchanie opowieści o Bogu i przyjrzenie się nowym twarzom. Po mszy babunia wdawała się w pogawędki ze znajomymi i na moment traciła czujność. Pewnego dnia, gdy była zajęta rozmową, skorzystałam z okazji i trochę się oddaliłam. Dołączyłam do grupki dziewczyn mniej więcej w moim wieku. Ku mojemu zaskoczeniu wszystkie mówiły po angielsku i były mną bardzo zaciekawione. Jedna przez drugą zadawały mi pytania. Chciały wiedzieć, jak się nazywam, skąd jestem, do której szkoły chodzę...

¹ Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich to kościół chrześcijański założony przez Josepha Smitha w 1830 r. uznający, obok Biblii, Księgę Mormona, proroka żyjącego prawdopodobnie w latach 311—385 na kontynencie amerykańskim. Kościół mormoński na całym świecie liczy około 13 mln wyznawców.

Niestety nie *zdążyłam* im odpowiedzieć. Babunia, wyczuwając niebezpieczeństwo, wyrosła jak spod ziemi i w moim imieniu oznajmiła koleżankom:

- Ona nie chodzi do szkoły. Uczy się w domu. Ma prywatne lekcje.

Po czym odciągnęła mnie od grupy rówieśnic. Upewniwszy się, że nikt nas nie usłyszy, ostrzegła mnie:

- Nie wolno ci z nikim rozmawiać! Nikomu o niczym nie opowiadaj. Nigdy! Bo inaczej...

Jednak zdarzyło się, że członkowie kościoła mormoń-skiego prawie odkryli, w jakich warunkach żyję. I nawet nie musiałam im nic mówić.

Pewnego dnia babunia zaprosiła na herbatkę swoją przyjaciółkę z kościelnej ławy oraz jej córkę, Sonię, dziewczynkę w moim wieku. Nawet się nie zorientowałam, kiedy Sonia poszła za mną do piwnicy.

-Jak tu strasznie! - krzyknęła na widok sterty rupieci.

- Śmierdzi pleśnią! Stęchlizną jakąś!

Po chwili zobaczyła moje „łóżko”. Traf chciał, że akurat niedawno przytaszczyłam ze śmietnika stare drzwi, w których Linda z Godwinem zbili szybę w czasie jednej ze swoich awantur, i wsunęłam je pod materac, żeby odizolować się od wilgotnej i zimnej podłogi.

- Ty tutaj śpisz? - zdziwiła się Sonia.

- Tak, to mój pokój. Tutaj każą mi spać - odparłam.

- Ale jak tylko skończę osiemnaście lat, od razu stąd wyjadę i już nigdy mnie nie zobaczą.

- Masz rację. Z całego serca cię popieram.

Czy babunia domyśliła się, że Sonia złożyła mi wizytę w suterenie? Z pewnością tak, ponieważ od tamtej pory nigdy nas nie odwiedziły.

Linda mogła wrócić o każdej porze. Czy to w samo południe, czy też późno wieczorem. Sama lub w towarzystwie. Niezależnie od godziny zawsze musiałam być w gotowości. W jednej chwili rzucałam wszystko i zjawiałam się na jej zawołanie. Najczęstszym żądaniem było oczywiście przygotowanie jedzenia.

Któregoś ranka moja matka adopcyjna wpadła do domu jak trąba powietrzna. Towarzyszył jej mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Linda przedstawiła go babuni jako kolegę z dzieciństwa. Dzieciom kazała mówić do niego Tonton. Nie należał do rozmownych. Powiedziałabym, że nawet nas unikał.

Linda rozkazała, żebym zrobiła im coś do jedzenia, po czym zniknęła w swoim pokoju. Kiedy z niego wyszła, zamiast tradycyjnego boubou miała na sobie seksowną sukienkę, w której od razu rzucało się w oczy długie rozcięcie odsłaniające udo. To było tak nieprzyzwoite, że nawet nie miałam odwagi na nią patrzeć. Po śniadaniu Linda zaciągnęła swojego przyjaciela do pokoju gościnnego. Zamknęli się w środku i przebywali tam przez dłuższy czas. Kiedy stamtąd wyszli, było już popołudnie. Linda oznajmiła, że postanowili wybrać się na przechadzkę. Zniknęli tak samo nagle, jak się pojawili. Nadeszła noc, a Linda z Tontonom wciąż nie wracali. Umyłam dzieciaki i chciałam je położyć do łóżka, kiedy nagle zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę. Po drugiej stronie rozbrzmiał głos Godwina.

- Tino, daj mamę, proszę.

- Nie ma jej - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- A gdzie jest?

Coś mi podpowiadało, że lepiej zachować ostrożność.

- Nie wiem.

- Daj mi Sophie!

Zawołałam ją i przekazałam słuchawkę.

- Tata chce z tobą rozmawiać.

Cały czas stałam przy niej, obawiając się jakiegoś nieszczęścia. Słyszałam trzeszczący w słuchawce głos Godwina. Sophie dwa lub trzy razy powiedziała zdawkowe „tak” i „nie”. Chciałam, żeby jak najszybciej się rozłączyli. Na migi próbowałam jej pokazać, żeby nie wspominała o Tontonie.

W tym momencie z jej ust padły te nieszczęsne, złowróżbne słowa:

- Mama poszła na spacer z Tontonem.

Na próżno dawałam jej znaki, żeby się uciszyła. Byłam przekonana, że nie ma potrzeby tego rozpowiadać. Niestety było za późno. Usłyszałam, jak Godwin jej przerwał. Po chwili odpowiedziała mu całkiem niewinnie:

- Nie, nie wiem, kim jest ten pan. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Pierwszy raz był u nas w domu. Tak, jest bardzo miły.

Potem odłożyła słuchawkę.

Przez moment stałam nieruchomo i wpatrywałam się w telefon, jakby miał zaraz wybuchnąć. Na szczęście Godwin był wtedy w Belgii. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby był w Paryżu!

Kilka minut później wróciła Linda, *wciąż* w towarzystwie Tontona. Wyglądała na zadowoloną. Nawet wtedy, gdy dowiedziała się, że Sophie rozmawiała z ojcem, nie popsulo jej to humoru.

Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Znienacka otworzyły się drzwi, a w nich stanął mężczyzna o atletycznej budowie. Natychmiast go rozpoznałam. Godwin! Ale jakim cudem? Przecież miał być w Belgii! W ułamku sekundy wszystko zrozumiałam. Kiedy do nas dzwonił, właśnie wracał do domu. To była zasadzka.

Spodziewałam się najgorszego. Czekałam, aż posypią się gromy. Wiedziałam, że zaraz usłyszę krzyki, wrzaski, przekleństwa. A jednak nic takiego się nie wydarzyło. Lekko zakłopotana Linda przedstawiła mężowi swojego „przyjaciela z dzieciństwa”. Tonton wyciągnął drżącą rękę. Godwin zacisnął zęby, oczy nabiegły mu krwią, ale uścisnął dłoń mężczyzny.

Wieczór upłynął w ciężkiej i napiętej atmosferze. Tonton spędził noc w gościnnym pokoju, a rano zniknął.

Godwin rozkazał, żebym zabrała dzieci do małego salonu na piętrze.

— Niech nikt nie ośmieli się wychodzić bez mojego pozwolenia — uprzedził.

Zaprowadziłam Sophie, Steevea, Sandy i Samuela na górę i poprosiłam, żeby pod żadnym pozorem nie wychodzili z pokoju. Zresztą chyba nawet nie mieli takiego zamiaru. Z parteru dochodziły napawające grozą przekleństwa, wrzaski, pod wpływem których dom drżał w posadach. Słyszałam całą ich kłótnię.

Okazało się, że Godwin drobiazgowo przeszukał konta bankowe, dzięki czemu odkrył, że jego żona dokonała mnóstwo niezaplanowanych wydatków. Ale dlaczego? Godwin przeprowadził małe prywatne śledztwo. Linda od jakiegoś czasu utrzymywała relacje z innym mężczyzną. Przelewała mu nawet dość dużo pieniędzy, które on przeznaczal na wynajmowane mieszkanie. I wtedy oszalały z zazdrości Godwin wpadł na pomysł pojawienia się z nienacka i przyłapania niewiernej żony na gorącym uczynku.

Linda wszystkiemu zaprzeczała. Krzyczała. Domagała się, żeby z kolei on jej powiedział, co robi w Belgii podczas samotnych wieczorów.

- Ty skurwysynie! - darła się. - Koniec z nami! Koniec naszego małżeństwa!

Trzasnęła drzwi. Po chwili słycać było warkot silnika i pisk opon. Linda odjechała.

Potem w domu zapanowała ciężka i przytłaczająca cisza. Zdawało się, że wszyscy wstrzymali oddech. Zeszłam na parter i zaczęłam zbierać rzeczy, które leżały porozrzucane jak po jakiejś bitwie.

Ustawiłam poprzewracane krzesła, sprzątnęłam resztki po telefonie komórkowym roztrzaskanym o ścianę.

Godwin chyba zamknął się w swoim pokoju. Szybko dołączyła do mnie babunia. Z poważnym spojrzeniem i ponurą miną rozejrzała się wokół. Przypominała wtedy komisarza policji szukającego śladów zbrodni.

- Mamajuż dzisiaj nie wróci - odezwała się. - Możesz się przespać na kanapie w salonie, jeśli masz ochotę.

Niewiele myśląc, skorzystałam z okazji. Byłam zadowolona, że chociaż na jedną noc mogę wyrwać się z zimnej i wilgotnej piwnicy. Jednak wciąż czułam podskórny niepokój. Linda mogła przecież wrócić w każdej chwili. Nie miałam wątpliwości, że gdyby znalazła mnie śpiącą na kanapie, całą swoją złość wyładowałaby właśnie na mnie.

Zastanawiałam się, czy zdołam zasnąć. Już dawno odzwyczaiłam od takich luksusów. Jednak obawy okazały się bezpodstawne. Spałam jak niemowlę.

Aż obudził mnie jakiś hałas. Linda wróciła? Nie! W półmroku dostrzegłam sylwetkę Godwina. Stał przy kanapie i natarczywie we mnie się wpatrywał.

— Podnieś się i chodź za mną.

Która to mogła być godzina? Jak długo spałam? Co się w ogóle działo? Byłam tak zmęczona, że ledwo mogłam zebrać myśli. Podniosłam się i ruszyłam za nim. Poszliśmy w kierunku piwnicy. Godwin zszedł na dół. Ja w ślad za nim, stopień po stopniu. Zapalił światło. Zmrużyłam oczy od nagłej jasności.

— Wiesz, co tu się dzieje? - zapytał. Nie odpowiedziałam.

— Znasz tego mężczyznę, którego przyprowadziła mama?

-Nie.

— Wiesz, że to jej kochanek?

— Nie, nie wiem...

Chciałam wrócić na górę i położyć się spać. Nie rozumiałam, po co zaprowadził mnie aż do piwnicy, żeby ze mną porozmawiać. Byłam przecież jeszcze małą

dziewczynką i nie wiedziałam, dlaczego dorośli sami nie rozwiązują swoich problemów.

- Zastanawiałaś się już nad swoją przyszłością, nad tym, co chciałabyś robić w życiu? - zapytał zniechęcony.

Byłam zaskoczona. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Przyszłość? Czy w ogóle miałam jakąkolwiek przyszłość? W tej chwili bardzo chciało mi się spać, a nie rozmawiać o moim życiu.

- Nie chciałabyś wyjść za mąż za kogoś znanego? Na przykład za piłkarza? Takiego jak ja...?

Za mąż? Może jeszcze mieć dzieci? Nie śmiałam nawet myśleć o tym, że kiedykolwiek opuścę ten nieszczęsny dom, a co dopiero marzyć o spokojnym, normalnym życiu, poznaniu kogoś, z kim chciałabym założyć rodzinę.

- Może mógłbym ci w tym pomóc - zaproponował. - Poznałbym cię z jakimiś chłopcami. Ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić...

W tym momencie zobaczyłam, że wkłada rękę w spodnie. Kiedy uświadomiłam sobie, co robi, przeszedł mnie dreszcz i poczułam obrzydzenie. Cofnęłam się.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytałam.

- Pobawić się. Zobaczysz.

- Co masz na myśli?

- Że chcę się z tobą przespać! -Nie!

Chciałam krzyknąć, lecz Godwin nie dał mi czasu. Twardą jak stal ręką chwycił mnie za gardło. Dusił się, krztusił, zaczęłam płakać, błagałam, żeby przestał. Powiedziałam, że przecież może mieć każdą

dziewczyne, którą tylko *zechce*. Zaklinałam, żeby mnie puścił. Ostrzegłam, że jeśli Linda się dowie, wpadnie w furję. Żaden z moich argumentów go nie przekonał. Walczyłam rozpaczliwie i z ogromną energią. Na próżno. Siłą rozchylił mi nogi.

Zabrano mnie od rodziny! Pozbawiono dzieciństwa, edukacji, przyszłości! Nie chciałam upaść jeszcze niżej. Próbowałam go odepchnąć. Wiłam się we wszystkie strony, żeby tylko uwolnić się z jego uścisku, ale nie miałam najmniejszych szans w walce z tak silnym mężczyzną. Położył się na mnie, przygniół ciężarem swojego ciała. Nagle poczułam ból. Przeszywający. Rozrywający, Pałący. Jak długo trwała moja hańba? Ile czasu zajęło mu pozbawienie mnie niewinności? Nie obchodziło mnie to. Na chwilę wyłączyłam świadomość. Miałam wrażenie, że jestem poza tym wszystkim. Jednak było zupełnie inaczej...

Godwin się podniósł. Przez ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały. Miał pusty wzrok. W jego oczach nie dostrzegłam ani zażenowania, ani wyrzutów sumienia. A nawet satysfakcji z zaspokojenia żądz. Nic. Pustka. Kiedy się podniosłam, uszczypnął mnie w policzek. Ale nie jak ojciec, który bawi się ze swoją córką. Chciał sprawić mi ból. Ścisnął mnie mocno, a drugą ręką chwycił za gardło.

- Jeśli tylko *zechcę*, zamienię twoje życie w piekło -zagroził. — Nic nikomu nie powiesz...

Czułam jego mocny uścisk. Zaczęłam się dusić.

- Jeśli piśniesz choć słówko, zabiję cię! - ostrzegł, A potem puścił mnie i wrócił na górę.

Zostałam sama. Żarówka dawała blade światło. Byłam załamana, sponiewierana, zbrukana. Łzy powoli obsychały na mojej twarzy. Nie ruszałam się. Już nie cierpiałam fizycznie. Teraz miałam mętlik w głowie. Targały mną gwałtowne emocje. Oto przemoc, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Nienawiść. Pogarda. Obrzydzenie. Godwin Okpara najpierw mnie adoptował, później obiecał, że pójdę do szkoły, ale okazało się, że kłamał. Zostałam niewolnicą w jego domu. Publiczność płaciła, żeby zobaczyć go podczas meczu na stadionie. Był gwiazdą, pojawiał się w telewizji. Ludzie go kochali i podziwiali. Tylko ja jedna wiedziałam, kim naprawdę był. Łajdakiem i gwałcicielem!

Nie mogłam na niego donieść czy się poskarżyć. Nie miałam do kogo się zwrócić. U kogo miałabym szukać ratunku? U Lindy? Przecież ona była gotowa wydrapać mi oczy! Babunia? Też nie. Wszystko przekazałaby Lindzie i byłoby jeszcze gorzej...

Podniosłam się i podeszłam do kartonu. Wyciągnęłam zeszyt. Tylko jemu jednemu mogłam się zwierzyć. Przełać na papier całą moją rozpacz i wielkie cierpienie.

Położyłam się na materacu i zwinęłam w kłębek. Łzy ponownie napłynęły mi do oczu. Cierpkie jak ocet, który pali policzki. Pragnęłam, żeby moje cierpienie się skończyło, a łzy przestały spływać po twarzy. Chciałam, żeby wszystko się zatrzymało... Nawet życie.

Jestes brzydka!

Fata. To słowo zaczęło mi ciążyć jak nigdy wcześniej.

Po tym, co się wydarzyło, nie potrafiłam go wypowiedzieć. Za każdym razem, gdy natykałam się na Godwina, przypomiąłam sobie tamtą noc. Bolało mnie poranione ciało, ale dusza chyba jeszcze bardziej. Okłamał mnie. Zdradził. Nigdy nie miał zamiaru posłać mnie do szkoły. Łgał, kiedy obiecywał mojemu ojcu, że będę miała lepsze życie. Od samego początku wiedział, że zostanę jego służącą. Patrzył, jak dorastałam, i czekał na dzień, w którym w końcu będzie mógł mnie wykorzystać. Od tamtej pory żyłam w ciągłym lęku i obawiałam się, że jego atak się powtórzy. Gdy Linda wróciła do domu, miotałam się między narzuconym przez nią terrorem a strachem przed zostaniem sam na sam z Godwinem. Ten na szczęście większość czasu spędzał w Belgii.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Godwin mnie nie dotknął.

Nadeszło lato. Afrykańskie, parne, gorące. Francję ogarnęła fala niezdolnych upałów. W telewizji pokazywali

przerazające *zdjęcia*.. Tysiące starszych osób padło ofiarą żaru. Nasz dom zamienił się w wielki piekarnik, a w mojej piwnicy panowała obrzydliwa wilgoć. Ja jednak byłam tak przemęczona, że kiedy tylko kładłam się na materacu, natychmiast zasypiałam.

Nowy rok szkolny zaczął się bez Sophii. Nie zdała do następnej klasy ze względu na złe wyniki w nauce, co poskutkowało tym, że Linda zrobiła karczemną awanturę dyrektorce międzynarodowej szkoły i przeniosła córkę do internatu w Londynie. Dla mnie oznaczało to jedno łóżko mniej do ścielenia i mniej prania. Mimo wszystko trochę brakowało mi przybranej siostry.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Na całym świecie przygotowywano się do świąt. Na ten krótki okres ludzie przypomnieli sobie o takich wartościach jak miłość, dobroć, pokój, solidarność i braterstwo. Dzieci zasypiały, myśląc o Świętym Mikołaju, poczciwym i grubym panu w czerwonym płaszczu, który zakrada się nocą, żeby zostawić prezenty pod choinką. Ja dawno przestałam w niego wierzyć. Przypomniałam sobie swoje ostatnie święta w Nigerii, które spędziłam u wujka Bali po śmierci mamy. Tego dnia pozwolono mi założyć piękną sukienkę. Odkąd zamieszkałam we Francji, Boże Narodzenie przestało mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Jednak tym razem nadchodzące święta bardzo dobrze mnie nastrajały. Zawzięcie pracowałam w domu, a obelgi rzucane przez Lindę nie wydawały mi się tak bolesne. Nawet miałam ochotę pośpiewać. A wszystko dlatego, że któregoś dnia podsłuchałam rozmowę telefoniczną

Lindy. Okazało się, że na święta mieli przyjechać Magda, Patryk i ich dzieci!

Byłam pijana ze szczęścia. Bardzo się cieszyłam, że znów ich zobaczę. Kiedy jednak ich samochód zatrzymał się pod domem, coś mnie powstrzymało, żeby wybiec im na powitanie. Miałam wrażenie, że w moim spojrzeniu doskonale widać niedawną hańbę i wszystko mam wypisane na twarzy. Bałam się, że kiedy Magda weźmie mnie w ramiona, a potem pocałuje w policzek, pozna całą prawdę.

Postanowiłam być silna! Nie chciałam paść jej do nóg i histeryzować. Na szczęście Steeve, Sandy i Samuel w porę wybiegli z domu, gotując gościom radosne przywitania. To odwróciło uwagę wszystkich i pozwoliło mi się uspokoić. Wzięłam się w garść. Nic nie powiedziałam Magdzie.

Postanowiłam ukryć przed nią ten wstydlivy sekret. Jak zawsze w jej obecności moje życie nabierało jasnych barw.

Kilka dni przed Wigilią Magda z babunią gdzieś wyszły. Linda wezwała mnie do siebie. Była w kuchni. Kazała mi obrać warzywa.

- Tylko bez ociągania! - huknęła. Zostawiła mnie i poszła na piętro. Słyszałam jej kroki na schodach, później odgłos zatraskiwanych drzwi i dźwięk telewizora. To oznaczało, że rozłożyła się na kanapie i nie upłynie wiele czasu, aż zacznie chrapać jak drwal po ciężkiej pracy.

Po kilku minutach w kuchni pojawił się Godwin. Przez chwilę stał w progu i przyglądał mi się w milczeniu. Jego spojrzenie było tak ciężkie jakby ważyło co najmniej tonę. Nie uniosłam głowy, tylko skupiałam się na pracy. Wszedł do środka i zbliżył się do kuchenki.

— Trzeba uzupełnić zapas gazu — powiedział nagle. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

Zdziwiło

mnie jego nagle zainteresowanie domowymi sprawami. Od razu wydało mi się to podejrzane.

— Zapas gazu? Przecież butla była wymieniana dwa dni temu...

Dobrze wiedział, że mamy dodatkową.

— Właśnie! Trzeba napełnić tę zużytą.

— Magda była dziś rano na stacji i powiedzieli jej, że przez najbliższe dwa lub trzy dni nie będzie takiej możliwości.

Minęła dziewiętnasta. Za oknem było ciemno. Godwin nie dawał za wygraną. Intuicja mi podpowiadała, że to podstęp. Pułapka, w którą chce mnie złapać.

— Mama prosiła, żebym przygotowała warzywa. Będzie zła, jeśli tego nie zrobię.

— Mama teraz śpi. Skończysz później.

Nie miałam wyjścia. Wytarłam ręce w ścierkę, załadowałam pustą butlę do bagażnika i wsiadłam do samochodu. Kiedy jechałam z Lindą, nie wolno mi było siedzieć obok niej. Twierdziła, że mój potworny smród przeniesie się na siedzenia. Godwin z kolei wołał, żebym siedziała z przodu. W końcu wsiadł do samochodu, odpalił silnik i ruszyliśmy w kierunku Yesinet. Szybko dojechaliśmy do stacji serwisowej, w której pracownik tylko potwierdził chwilowe braki w magazynie i poradził, żebyśmy przyjechali za dwa lub trzy dni. Wtedy Godwin stwierdził, że pojedziemy gdzie indziej. Byłam przekonana, że coś knuje. Z całej siły wtuliłam się w drzwi, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od niego.

Jakiś czas jechaliśmy w ciemności. Próbowałam odgadnąć, gdzie jesteśmy, albo znaleźć jakiś punkt odniesienia. Powoli ogarniała mnie panika. Tak bardzo chciałam wrócić do domu. Nagle dostrzegłam oświetlony znak drogowy. Kierunek - Paryż. To oznaczało, że oddaliśmy się od domu. Pomyślałam o Lindzie. Co się stanie, kiedy się obudzi i zobaczy, że nie ma mnie w kuchni? Będę musiała się tłumaczyć. Ona i tak nie uwierzy w żadne słowo, wpadnie w furję i jak zwykle to wszystko będzie moja wina. Mogłam liczyć tylko na to, że w obecności Magdy nic mi się nie stanie. Jedynie ona mogłaby wybawić mnie z opresji.

Z każdą minutą czułam coraz większy strach. Powoli, lecz nieubłaganie przejmował nade mną kontrolę. Z całej siły walczyłam, żeby nie ulec panice. Nagle oniemiałam. Czyżbym śniła? Czy naprawdę zawróciliśmy? Nie mogłam uwierzyć, że wracamy do domu.

- Już późno, a mama prosiła, żebym obrała warzywa - próbowałam przerwać ciszę.

Godwin nie odpowiedział. Przynajmniej nie od razu. Po długim milczeniu w końcu się odezwał:

- Zaraz wrócimy. Nie martw się.

Tylko dlaczego mnie to nie uspokoiło? Dlaczego nagle chciałam krzyknąć z przerażenia? Byłam kłębkim nerwów. Wszystko mnie bolało. Miałam wrażenie, jakby ktoś intensywnie tarł moją skórę papierem ściernym. A jednak powoli zaczęłam rozpoznawać okolicę. Skrzyżowanie, zakręt... Tak! Wracaliśmy do Chatou! Byłam uratowana!

Kiedy dojeżdżaliśmy do parkingu dla ciężarówek, Godwin zwolnił, włączył kierunkowskaz i zjechał

na bok. Stały tam dwa wielkie tiry przypominające śpiące mamuty. Godwin zaparkował między nimi i wyłączył silnik. Nagle zgasił reflektory i zrobiło się całkiem ciemno.

— Przesiądź się do tyłu! — krzyknął.

Zmroziło mnie. Potwornie się bałam. Ten strach był paraliżujący i niewyobrażalny.

— Do tyłu, powiedziałem! — powtórzył. — Zrobimy to szybko i wracamy.

W jednej chwili wróciła pamięć tej koszmarnej nocy, a wraz z nią uczucie palącego, świdrującego i przeszywającego bólu. Nie chciałam, żeby wszystko się powtórzyło. Zaczęłam krzyczeć.

-Nie!

— Przesiądź się do tyłu!

Jego usta wykrzywiły się w odrażającym grymasie. Był wściekły. Wytrzymałam to gniewne spojrzenie. W jednej chwili przejrzałam jego zamiary. Linda była w domu, Magda z Patrykiem pewnie też. Nie odważyłby się zaryzykować niczego w ich obecności. Otworzyłam drzwi, wyszłam z samochodu i ruszyłam przed siebie. Szczęśliwie szybko udało mi się rozeznac w terenie, dlatego wiedziałam, że idę w stronę domu.

Byłam zdesperowana. Nie pozwoliłabym mu się dotknąć! Stukałam butami w rytm gwałtownych uderzeń serca. Do przodu! Do przodu! Z każdym krokiem oddalałam się od niedoszłego miejsca kaźni.

Usłyszałam za sobą trzaśnięcie drzwi. Zawarczał silnik. Godwin manewrował między dwoma tirami.

Nie biegłam, nie rzuciłam się histerycznie do ucieczki

na dźwięk zbliżającego się samochodu. Po prostu zdecydowanym krokiem szłam *przed* siebie. Światła reflektorów strzeliły mi w plecy tak, że widziałam długi cień mojej sylwetki. Samochód wyminął mnie, nie zwalniając. Ledwo zdołałam dostrzec siedzącego za kierownicą Godwina. Powiodłam oczami za znikającym w oddali pojazdem. Zostałam na ulicy sama w zimną noc i uparcie maszerowałam.

Próbowałam wyobrazić sobie dalszy ciąg wydarzeń. Czy w domu już się zastanawiali, co się ze mną stało? Czy zaczęli mnie szukać? Może Godwin dotarł do domu i Linda zapytała go, czy wie, gdzie się podziewam? A jeśli tak, co jej odpowiedział? Setki myśli krążyły po mojej głowie niczym rój brzęczących pszczoł. Nigdy nikomu nie powiedziałam o tym, co się stało w piwnicy tej nocy, kiedy Godwin pokłócił się ze swoją żoną. W myślach wykopałam głęboki dół i na zawsze zasypałam w nim tę okrutną tajemnicę. Płakałam w samotności na swoim materacu, żałując tak haniebnie pogrzebanej niewinności i dzieciństwa. W myślach przeklinałam tego, który mnie okłamał, zdradził, upokorzył... Ale nie pisnęłam słowa. Nikomu. Nigdy.

Zziębnięta dotarłam wreszcie do domu. Moja skóra miała teraz bladoniebieski kolor. Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy na progu zobaczyłam Lindę z babunią. Czekwały na mnie.

Zbliżyłam się, próbując wyczytać z ich twarzy, w jakim są nastroju. Spojrzenie Lindy było ostre i nieprzyjemne. Obok niej z założonymi rękami stała niczym niewzruszona babunia.

— Gdzie byłaś? Dlaczego wracasz na piechotę?

Ton Lindy był suchy i szorstki. Wyrzuciła z siebie słowa jakby strzelała z karabinu maszynowego.

— Byłam po gaz — wybełkotałam.

Linda przez chwilę przyglądała mi się uważnie, po czym odwróciła się i poszła w stronę ogrodu.

— Chodź — rzuciła krótko.

Ruszyłam za nią, a za mną szła babunia. Zatrzymałyśmy się przed szklanymi drzwiami pokoju gościnnego. Były otwarte i Linda weszła do środka. W jednej chwili zrozumiałam, o co chodzi. Chciała mnie przesłuchać, ale nie miała zamiaru, żeby Magda i Patryk cokolwiek zobaczyli lub usłyszeli. To dlatego znalazłyśmy się w miejscu, w którym nikt nas nie zauważy. Linda zamknęła drzwi do ogrodu.

— Dlaczego wracałaś na piechotę? — wycodziła przez zęby.

Czułam się jak na przesłuchaniu. To mnie osądzano, mnie podejrzewano, podczas gdy w rzeczywistości byłam ofiarą! Tego już było za wiele. Chciała wiedzieć? Proszę bardzo.

Opowiedziałam jej wszystko w kilku zdaniach.

O obieraniu warzyw w kuchni; o Godwinie, który przyszedł niby sprawdzić zapas gazu; o tym, jak razem pojechaliśmy na stację. To nie było łatwe. Słowa stawały mi w gardle, dostałam czkawki z nerwów i strachu, krztusiłam się własnymi łzami, a mimo to nie przestawałam. „Niech się dzieje, co chce” — pomyślałam. Opowiedziałam o samochodzie zaparkowanym na postoju dla tirów. i całą resztę.

— Co ty pleciesz?! — wrzasnęła Linda.

Wybałuszyła oczy.

Cofnęłam się, ale dalej ciągnęłam swoją opowieść.

- Powiedział: „Zrobimy to szybko i wracamy”.

- Co to znaczy: „Zrobimy to szybko”? Ty zdziro! Co to ma znaczyć?!

Wszystko, co mnie otaczało, nagle zniknęło. Czułam się jak porwana przez tornado albo wezbraną rzekę. Z całych sił próbowałam walczyć z unoszącym mnie prądem, utrzymać się na powierzchni, byle tylko przeżyć. Każde słowo, jakie wypowiadałam, mogło być ostatnie. Linda stała przede mną i była jak bomba, która w każdej chwili może eksplodować.

- Nie wiem, co to oznaczało, ale bardzo się bałam. To dlatego musiałam wrócić na piechotę.

To było żalosne wytłumaczenie. Strach, jaki wzbudzała we mnie Linda, nie pozwolił mi wyjawić całej prawdy.

- Nie wiem, nie wiem...

Tylko tyle potrafiłam z siebie wydobyć.

- Kłamiesz! - wrzasnęła Linda. - Za kogo ty się uważasz? Myślisz, że mój mąż chciałby się z tobą przespać? Co ty sobie wyobrażasz?

Skuliłam się i osłoniłam rękami. Byłam gotowa na przyjęcie ciosów, jakie mogły spaść na moją głowę.

Linda nie przestawała krzyczeć. Wrzeszczała tak, że aż się opluła.

- Co ty sobie myślisz, szmato?! Uważasz, że jesteś ładna?

Nie odważyłam się odpowiedzieć.

- Pytam, czy uważasz się za ładną?! -Nie.

— Mój mąż jest piłkarzem. Może mieć każdą kobietę, jaką tylko zechce! Rozumiesz to? Każdą! A ty myślałaś, że chce iść z tobą do łóżka!? Z taką śmierdzącą krową?

Co miałam powiedzieć? Moje słowa i tak nie miały żadnego znaczenia.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Godwin Okpara, mężczyzna, który mógł posiadać każdą kobietę, lecz wolał gwałcić w piwnicy swoją przybraną córkę.

— Czy ty wiesz, co ona o tobie opowiada? — Linda od razu zwróciła się do niego. — Mówi, że chciałaś się z nią przespać.

Godwin zmarszczył czoło. Na jego twarzy pojawiła się dezaprobata. Hipokryta!

— To prawda, że kazałem jej przesiąść się na tylne siedzenie — odpowiedział. — Ale tylko dlatego, że rozsiadła się z przodu. Pokazałem gówniarze, gdzie jest jej miejsce.

Linda znowu ryknęła. Z jej ust padły przekleństwa i obelgi, ale ja już ich nie słyszałam. Nagle przestałam myśleć. Wszystko stanęło w miejscu. Zorientowałam się tylko, że Godwin wyszedł z pokoju. Babunia przyglądała mi się uważnie, a Linda potrząsała mną jak kukłą.

— Zraniłaś swojego ojca! — wrzeszczała. — Natychmiast idź go przeprosić.

Czasami niesprawiedliwość jest tak druzgocąca, że pomaga jedynie milczenie. Nie można się bronić.

Czułam, jak upływają kolejne minuty, i pragnęłam, żeby wszystko się skończyło. Poszłam do salonu. Z każdym kolejnym krokiem miałam nadzieję, że spadnie na mnie grom i zniknę na zawsze. Godwin siedział na kanapie. Uklękałam przed nim z pochyloną głową.

— Tato, wybacz mi, proszę.

Serce mi krwawiło. Płakałam. Skąd miałam siłę na udźwignięcie tylu trosk? Skąd wzięły się łzy?

Czyżbym jeszcze się nie wypłakała?

Wieczorem przyszły do mnie Magda i jej córka. Słyszały krzyki i domyśliły się, że stało się coś złego. Magda ujęła moją dłoń. Poczułam ciepło. Spojrzałam jej w oczy. Dostrzegłam w nich wielką troskę i smutek.

— Tino, co się dzieje? — zapytała niepewnie. -Nic...

— Powiedz mi o wszystkim. O wszystkim — prosiła. Zawahałam się. Przecież Linda mi nie uwierzyła. Czy

zdołam przekonać Magdę? Przecież знаła Godwina od wielu lat. Byli przyjaciółmi. Wiedziała, że ma słabość do pięknych kobiet. Zawsze po meczu szedł zabawić się w towarzystwie dziewcząt. Czy uwierzy, że miał również ochotę na mnie? Czy będzie umiała sobie wyobrazić, że jej przyjaciel chciał się przespać z brzydką i śmierdzącą Tiną? Z Tiną, która jest zwierzęciem? Z Tiną, która jest zerem? Streściłam jej opowieść o wycieczce po butlę z gazem. Przytuliła mnie do siebie i pocałowała w czoło. W tym momencie dobiegł nas krzyk Lindy. Musiałam przerwać rozmowę. Najgorsze było to, że później już nie miałam okazji znaleźć się z Magdą sam na sam.

W świąteczny wieczór pod choinką czekała na mnie niespodzianka - koperta z moim imieniem.

Otworzyłam ją drżącymi dłońmi. W środku znajdowało się pięćdziesiąt euro. Co ciekawsze, nie była to sprawka Magdy, ale Lindy. Tego zupełnie się nie spodziewałam. To nie

było do niej niepodobne. Jednak nie robiłam sobie złudzeń. Wszystko dokładnie przemyślała; było to zagranie ze względu na obecność Magdy. Tylko jej powinienam dziękować za ten akt dobroci. Kilka dni później Magda i Patryk wraz z dziećmi wrócili do Belgii. Linda wysłała mnie do supermarketu na zakupy.

- Zapłacisz banknotem, który dostałaś pod choinkę

— oznajmiła stanowczo.

A jednak nic się nie zmieniło. Ten dom to największy koszmar mojego życia.

Chociaż... Pewnego dnia stało się coś dziwnego. Niby nic, a dla mnie miało wielkie znaczenie. Do piwnicy przyszła babunia. Wbiła we mnie wzrok. Dokładnie widziałam każdą zmarszczkę na jej twarzy.

— Ja ci wierzę, jeśli chodzi o Godwina. Ja ci wierzę...

— powiedziała.

Ucieczka

- Tina! Chodź tu! Natychmiast!

Kiedy Linda wołała mnie w ten sposób, rzucałam wszystko i natychmiast do niej biegłam. Odstawiłam żelazko i zesłam do salonu, gdzie na mnie czekała. W jej dłoni błysnęły nożyczki. Bez słowa chwyciła mnie za ramię i odwróciła.

- Za długie! Obrzydliwe!

Chodziło jej o moje włosy. Wiedziałam, co zaraz zrobi. Zrezygnowana uklękłam przed nią. A ona ze złością chwyciła moje potargane włosy i zaczęła je obcinać kępka po kępce... Ciach, ciach, ciach... Widziałam tylko, że spadają na podłogę. Zaledwie po dwóch minutach skończyła. Włosy odstawały we wszystkie strony, bo każdy kosmyk był innej długości. Gdzieniegdzie były ścięte do samej skóry, a w innym miejscu pozostawiła długie. To, co miałam na głowie, nie przypominało fryzury. Z zapłakanymi oczami podniosłam się i ze spuszczoną głową wróciłam do prasowania.

- Dziękuję, mamó - powiedziałam na odchodne.

Czułam się upokorzona, poniżona, zbesztana, przybita i smutna. Gdyby chociaż ten szkaradny wygląd odstraszył Godwina... Ech, pobożne życzenia! Mąż Lindy szybko wrócił do mojej nory. Którejś nocy rzucił się na mnie, a gdy próbowałam się bronić, uderzył mnie. I wszystko zaczęło się od początku, mimo że płakałam i krzyczałam. Od tej pory ta męka stała się codziennością.

Wraz z końcem sezonu w 2004 roku klub z Liège nie przedłużył kontraktu z Godwinem. Na jakiś czas został bez pracy. Dla Lindy, która cały czas kierowała jego karierą, była to okazja do rozpoczęcia czegoś nowego — załatwienia korzystnego transferu, zmiany barw klubowych i nowego kontraktu. Zamierzała wysłać swojego męża do Dubaju, gdzie z pewnością mógłby zarobić mnóstwo pieniędzy. Tymczasem Godwin snuł się po domu w poszukiwaniu zajęcia, a kiedy tylko zostawaliśmy sami, nie wahał się wykorzystać okazji. I tak było codziennie. Czasami nawet kilka razy w ciągu dnia. Na tyle często, że wkrótce straciłam rachubę.

Nie miałam już sił. Wtedy pomyślałam, że albo stamtąd ucieknę, albo umrę. Wiedziałam, że muszę to dokładnie zaplanować. Gdyby mnie złapali, odesłaliby mnie do Nigerii, a tam już czekałoby na mnie ich bogaci i wpływowi „przyjaciele”, którzy odpowiednio by się mną zajęli.

Wraz z początkiem lata miałam opracowany cały plan. Wystarczyło poczekać na odpowiedni moment. I ten dzień w końcu nadszedł. Był wtorek, 13 lipca 2004 roku. Linda mnie zawołała. Pobiełam i zastałam ją przy drzwiach. Była gotowa do wyjścia. Podała mi dwadzieścia euro.
- To na zakupy - oznajmiła z kwaśną miną i wyszła.

Kiedy drzwi się zamknęły, miałam wrażenie, że cały dom odetchnął z ulgą. A jednak nawet podczas jej nieobecności dało się odczuć dziwną, niepokojącą atmosferę, jaką wokół siebie roztaczała. Postrach, jaki siała wśród domowników, często doprowadzał do gwałtownych spięć. Nikt nikomu nie ufał. Każdy każdego o coś podejrzewał i pilnował, myśląc tylko o sobie. A ja w tym wszystkim w ogóle się nie liczyłam.

Najpierw sprawdziłam, gdzie są wszyscy. Godwin biegał. W oczekiwaniu na transfer do innego klubu starał się utrzymać dobrą kondycję. Babunia oglądała telewizję w salonie. Dzieciaki były w swoich pokojach. Zeszłam do piwnicy i upchnęłam wszystkie swoje rzeczy do malutkiej torby sportowej.

Przez jakiś czas stałam i patrzyłam na swój dobytek. Już za chwilę miało mnie tu nie być.

Zamierzałam uciec jak najdalej, tak, żeby nigdy mnie nie znaleźli. Sama w to nie wierzyłam. Czego jeszcze potrzebowałam? Oczywiście, najważniejszy był paszport! Ponieważ to ja robiłam porządki w całym domu, doskonale wiedziałam, gdzie znajdują się wszystkie dokumenty. Przypomniałam sobie o zdjęciach rodziców, które kiedyś mi zabrano. Poszłam do pokoju babuni i otworzyłam szafę. Moje serce biło jak szalone, ale przezornie wymyśliłam wymówkę na wypadek, gdyby przyłapano mnie na grzebaniu w cudzych rzeczach. Powiedziałabym, że sprzątam. Cenne pamiątki znalazłam w tym samym miejscu, w którym zostawiłam je ostatni

raz. Szybko schowałam je pod bluzkę i na paluszkach zesłam do kuchni. Wzięłam worek na śmieci. Wróciłam do piwnicy, włożyłam zdjęcia do torby, a tę z kolei zawinęłam w plastikowy worek. Po chwili, jak gdyby chodziło o zwykłe śmiecie, wystawiłam pakunek przed dom i wróciłam do swoich codziennych zajęć. Za wszelką cenę starałam się zachowywać normalnie. Bałam się, że zdradzi mnie jakiś drobnny gest, jakieś niespodziewane słowo, jakaś podejrzana mina. Poszłam do salonu.

— Wychodzę — odezwałam się do babuni. — Mama prosiła, żebym poszła do sklepu.

Nie doczekałam się odpowiedzi. Kiedy otwierałam drzwi, ogarnął mnie strach. A jak zaraz przywoła mnie swoim skrzeczącym głosem? Albo chwyci za bark starą, pomarszczoną dłonią i wciągnie z powrotem do środka? Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

Poszło tak łatwo, że trudno mi było w to uwierzyć. Spojrzałam w lewo, potem w prawo. Nikogo nie było. Otworzyłam worek na śmieci, ze środka wyciągnęłam torbę i nie tracąc czasu, ruszyłam w stronę dworca. Każdy krok oddalał mnie od tego domu, co znaczyło, że z każdym krokiem byłam bliżej wolności.

Znalazłam się na dworcu. Spojrzałam na wielki wyświetlacz. Zatrzymałam wzrok na nazwie Meaux. Nie miałam pojęcia, gdzie to jest, ale podeszłam do kasy i poprosiłam o bilet do tej miejscowości. Podpatrując innych pasażerów, skasowałam bilet i zajęłam miejsce w wagonie. Usadowiłam się przy oknie, a torbę położyłam na kolanach.

Nareszcie drzwi się zamknęły, a pociąg ruszył. Ludzie wokół mnie rozmawiali, czytali, inni zaczęli przysypiać. Dla nich była to zwykła podróż, banał, rutyna... A dla mnie — wielka ucieczka!

Pociąg mknął, W głowie miałam jedynie marzenia

o wolności. Przez okno umykał krajobraz. Domy, drogi, ludzie. Prawdziwy spektakl! Najpiękniejszy, jaki mogłam oglądać do tej pory. Pociąg zatrzymywał się na niektórych stacjach. Podróżni wysiadali, ich miejsca zajmowali nowi...

Stacja w Meaux, na której wysiadłam, opustoszała w ciągu kilku minut. Zostałam sama ze sportową torbą zawieszoną na ramieniu. Usiadłam na ławce, żeby pozbierać myśli. Miałam wrażenie, że jestem bardzo daleko od przekłętej willi w Chatou. Niemal na drugim końcu świata. Nie zdawałam sobie sprawy, że to jedynie sześćdziesiąt kilometrów, czyli niecała godzina jazdy samochodem.

Byłam ciekawa, co się dzieje w domu. Wyobraziłam sobie, jak mnie szukają. Być może zeszli do piwnicy

i odkryli, że moje rzeczy zniknęły. Linda na pewno krzyczała, przeklinała i wymachiwała rękami we wszystkie strony, grożąc, że jak tylko mnie dopadnie, połamie mi wszystkie kości. Ale przecież nic takiego się nie wydarzy, bo nie miałam zamiaru tam wracać!

Czas mijał, a ja powoli zaczęłam zdawać sobie sprawę, że znalazłam się w martwym punkcie. Nie mogłam zostać na dworcu, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Młodzi ludzie kręcący się w okolicy zerkali na mnie z ciekawością. Pewnie zastanawiali się, kim jestem i skąd się wzięłam.

Musiałam dziwnie wyglądać w tych staroświeckich ciuchach i nieumiejętnie ostrzyżonych włosach. W regularnych odstępach czasu na peron podjeżdżał pociąg. Wysypywał się z niego tłum pasażerów, a każdy z nich podążał swoją drogą. A gdybym poprosiła kogoś o pomoc? Najlepiej kobietę. Czarnoskórą. Naiwnie myślałam, że właśnie u nich najszybciej znalazłabym zrozumienie. Kilka z nich przeszło obok mnie obojętnie, chociaż delikatnie próbowałam je zaczepić. Z kolei inne nie rozumiały mojego bełkotu i też szybko odchodziły. W końcu jedna przystanęła. Powiedziałam jej, że się zgubiłam i nie mam dokąd pójść.

— Ale co tutaj robisz całkiem sama? — zdziwiła się.

— Uciekłam z domu. Rodzice znęcali się nade mną... Spojrzała na mnie długo i podejrzliwie.

— Nie mogę ci pomóc — odezwała się w końcu. — Żyję z córką sama w niewielkim mieszkaniu. Naprawdę mi przykro, ale nie mogę zabrać cię do siebie...

Po czym szybko odeszła, mruczając pod nosem „Nie mogę... Nie mogę...”, jakby sama siebie chciała przekonać. Nawet się nie obejrzała. Szybko dotarło do mnie, że nie mogę liczyć na niczyją pomoc. Mimo to nie wpadłam w panikę. Czułam się spokojna i wolna. Postanowiłam pospacerować po mieście. Wszystko było dla mnie nowością. Zwykła witryna sklepowa była magiczna. Wkrótce zaczęłam odczuwać zmęczenie. Torba zrobiła się dziwnie ciężka. Zupełnie bezwiednie znowu znalazłam się przy dworcu. Usiadłam na przystanku autobusowym pod wiatą. Powoli zaczynało się ściemniać. Zbliżała się noc. Rozwahałam pozostanie na dworcu i przeczekanie do rana na ławce. To było chyba najlepsze z możliwych rozwiązań.

Nagle zobaczyłam *zbliżający* się samochód. Na mój widok młody chłopak za kierownicą zwolnił i zatrzymał się przy wiacie, nie wyłączając silnika.

- Cześć - odezwał się. - Długo tak siedzisz?

Starłam się wymyślić coś na poczekaniu. Jednak problem polegał na tym, że chociaż trochę rozumiałam francuski, nie umiałam mówić w tym języku. Zmyśliłam jakąś historię i wydukałam ją trochę po angielsku, a trochę po francusku.

- Chciałam zrobić niespodziankę koleżance - starałam się wypaść najlepiej, jak potrafiłam. - Okazało się, że nie ma jej w domu, a ja zostałam na lodzie.

„Ciekawe, czy uwierzy w moje kłamstwo? Zrozumiał w ogóle, co miałam na myśli? Lepiej by było, żeby pojechał i nie zawracał mi głowy” - pomyślałam.

- Jeśli tu zostaniesz, możesz mieć kłopoty - ostrzegł.

- Kłopoty? — zdziwiłam się.

- Gliny. Mogą cię zamknąć.

Policja! Tylko nie to! Chłopak zastanawiał się przez chwilę, po czym oznajmił:

- Ja nie mogę cię przenocować, ale możemy pojechać do mojego kumpla.

Błyskawicznie rozważyłam jego propozycję. Jazda z nieznajomym do innego nieznajomego, żeby u niego spać... Jakoś mnie to nie uspokajało. Ale chłopak miał rację, jeśli chodzi o policję. A ja nie miałam najmniejszej ochoty na spędzenie pierwszej nocy na wolności w areszcie!

Podniosłam się z ławki. Chłopak wychylił się, żeby otworzyć mi drzwi.

— Jestem Kevin — przedstawił się.

Ruszyliśmy. Po kilku minutach jazdy zaparkował w pobliżu niewielkiego bloku. Zaprowadził mnie do mieszkania kolegi. Potem wyjaśnił kumpłowi, jaka jest sytuacja, a ten zgodził się, żebym została na noc.

Mieszkanie było małe. Tylko przedpokój, w którym mieściła się miniaturowa wnęka kuchenna, i jeden pokój. Widać było, że właściciel przywykł do przyjmowania dzikich lokatorów. W szafie ściennej w sprytny sposób usunął wszystkie półki, a na dole położył materac. Dzięki temu wzbogacił się o pokój gościnny!

We troje zjedliśmy kolację. Od rana nie miałam nic w ustach, a jednak nie byłam głodna. Ledwo skubnęłam kawałek kanapki. Okazało się, że kumpel Kevina mówi po angielsku tak jak ja po francusku. Nie przeszkodziło nam to jednak w prowadzeniu ożywionej dyskusji, która trwała nawet w nocy. Wszyscy mieszałyśmy znane nam języki, a głównie gestykulowaliśmy. To było niesamowite porozumienie między narodami. Kevin wydawał mi się coraz sympatyczniejszy. W pewnym momencie jego kolega wyciągnął jakiś tytoń, bibułę i zaczął ją skręcać. Kiedy zapalił, gryzący dym wypełnił pokój. Zaciągnął się trzykrotnie, po czym trzymając skręt między kciukiem a palcem wskazującym, podał go Kevinowi. Ten również głęboko się zaciągnął.

— Chcesz? — zapytał.

Odmówiłam. Nigdy w życiu nie zapaliłam papierosa, a co dopiero jakieś skręty!

Długo jeszcze rozmawialiśmy. Od kilku godzin była noc. W pokoju unosił się intensywny *zupach* haszyszu. Chłopcy dali mi do zrozumienia, że nie są naiwni. Nie uwierzyli w ani jedno słowo z mojej opowieści. Ja protestowałam i zarzekałam się, że to wszystko prawda. Oni zapewne wiedzieli swoje, ponieważ dłużej nie drążyli tematu. Było już bardzo późno, kiedy kładliśmy się spać. Kevin z przyjacielem w pokoju, ja w gościnnej szafie. Wkrótce usłyszałam spokojne, miarowe oddechy moich nowych znajomych.

Mimo potwornego zmęczenia nie mogłam usnąć. Kiedy tylko przymknęłam powieki, przed moimi oczami stanęli Godwin, Linda i babunia. W tym koszmarze wszyscy nabrali jeszcze większych rozmiarów niż w rzeczywistości. W pogoni za mną uparcie i z wściekłością wielkimi susami przemierzali miasta i wsie. Wiedziałam, że nie zawiadomili policji. Woleli sami mnie dopaść i po swojemu wymierzyć sprawiedliwość. Urządzili obławę. Byli coraz bliżej... Słyszałam ich za drzwiami!

Komistariat

Rano czułam się tak samo zmęczona jak wówczas, gdy kładłam się spać. Przez całą noc męczyły mnie koszmary. W towarzystwie Kevina i jego kolegi zjadłam śniadanie i wypiałam kawę. Nie wiem dlaczego, ale miałam ochotę powiedzieć im prawdę. A przynajmniej jej część. Przez to, że słabo mówiłam po francusku, nie było to wcale takie proste. Myliłam słowa i nie kończyłam zdań, dlatego niełatwo było mnie zrozumieć. Jednak chłopcy z uwagą mnie słuchali. Wyjaśniłam, że mieszkam u rodziców adopcyjnych, którzy sprowadzili mnie z Nigerii po śmierci mamy i obiecali mojemu ojcu, że będą się mną opiekować i zapewnią solidną edukację. Jednak rzeczywistość okazała się inna. Do szkoły nigdy nie poszłam, zmuszono mnie do ciągłej pracy w domu i spania w piwnicy.

- Czyli jesteś ich niewolnicą - podsumował dobitnie Kevin, — To okropne!

Jego oburzenie było szczere. Wraz z przyjacielem zaczęli zadawać mi mnóstwo pytań.

— O której godzinie wstajesz?

— O piątej rano!

— O której kładziesz się spać?

— To zależy od humoru matki.

— Jak wygląda twój dzień?

— Prasuję, piore, gotuję, sprzątam, dbam o dom... Masuję stopy matki i spuszczam po niej wodę w toalecie.

— A twój ojciec? — spytał Kevin.

Zamilkłam. Słowa uwięzły mi w gardle. To moja największa tajemnica.

— Ma wszystko gdzieś. To łajdak.

— Musisz się od nich uwolnić — stwierdził Kevin. Przecież właśnie to zrobiłam. Tylko co dalej? Nie miałam ani rodziny, ani przyjaciół. Nikogo. Nie mogłam przenieść się do szafy wnękowej nowo poznanego kolegi.

— Jest coś takiego jak telefon zaufania dla krzywdzonych *dzieci* — poradził Kevin. — Widziałem kiedyś w telewizji. Można zadzwonić do nich w każdej chwili, z każdej budki.

Kilka minut później wszyscy troje byliśmy na zewnątrz, żeby poszukać budki telefonicznej. Kevin miał rację. Znaleźliśmy tam informację, że linia działa całą dobę, siedem dni w tygodniu, i zawsze można skorzystać z pomocy. Wystarczyło tylko zrobić krok do przodu i wejść do budki, sięgnąć po słuchawkę i wystukać trzycyfrowy numer. Wybawienie było blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki. A jednak nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Po co miałabym podnosić słuchawkę i wybierać numer, kiedy wiedziałam, że osoba po drugiej stronie nic nie zrozumie? Bariera językowa okazała się

najpoważniejszym ograniczeniem. Linda z Godwinem dobrze wiedzieli, co robią, nie pozwalając mi na naukę francuskiego.

Kevin domyślił się, jaki mam problem.

- Chcesz, żebym to ja zadzwonił?

Nie czekał na moją odpowiedź. Wstrzymałam oddech, kiedy widziałam, jak jego palec przesuwają się po klawiaturze, naciskając poszczególne cyfry.

- Jest ze mną pewna dziewczynka, która ma poważne kłopoty - wyjaśnił. - To dość pilna sprawa.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem powtórzył wskazówki, jakie mu przekazano, i podszedł do mnie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Dostałem adres - oznajmił z radością. - To ośrodek, który się tobą zajmie.

A więc byłam uratowana! Chłopak, który spadł mi z nieba, ocalił mi życie. Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy. Zatrzymaliśmy się przy nowoczesnym, ale bezdusznym wyglądającym budynku. Kevin podprowadził mnie do samych drzwi.

- Tutaj się pożegnamy. Zadzwonię jutro, żeby się dowiedzieć, jak się masz.

Podziękowałam mu i weszłam do środka. W recepcji poinformowano mnie, że najpierw spotkam się z kobietą, której nazwisko od razu wyleciało mi z głowy. Po chwili przyszła. Uśmiechnęła się.

Weszliśmy do jej gabinetu. Prosiła, żebym usiadła.

Wstydziłam się spojrzeć jej w oczy. Moją uwagę zwróciły spódnica i buty na wysokich obcasach.

Była to bardzo elegancka kobieta o miłym, spokojnym głosie. Zadawała

mi pytania, robiła notatki. Imię. Nazwisko. Skąd pochodzę. Co mnie spotkało. Kiedy ze szczegółami zaczęłam opowiadać drogę przez mękę, jaką zgotowali mi przybrani rodzice, jej twarz powoli stawała się coraz smutniejsza. Widziałem, że cierpi razem ze mną. W pewnej chwili gwałtownym ruchem wzięła do ręki długopis.

— Przepraszam, ale zapomniałam zapytać o wiek — przerwała mi.

— Mam szesnaście lat — odpowiedziałam.

W tym momencie kobieta spojrzała na mnie przestraszona, jakbym właśnie rzuciła pod jej adresem najgorsze wyzwiska.

— Nie, nie, nie, nie, nie! — krzyknęła, wyrzucając z siebie słowa niczym karabin maszynowy.

Odłożyła długopis i zaczęła wymachiwać rękami. Nie wiedziałam, co się dzieje. Zaczęłam wpadać w panikę. Chciałam, żeby natychmiast przestała mnie bombardować serią „Nie, nie, nie, nie, nie!” i usiadła, jednak ona rzuciła się w stronę drzwi. Otworzyła je z impetem, a w progu jeszcze zdążyła się do mnie odwrócić. Była naprawdę wzburzona. Wyglądała, jakby dopiero teraz dostrzegła mój niechlujny ubiór, podkrążone ze zmęczenia oczy, a także sterczące we wszystkie strony, nierówno obcięte włosy.

— To jest ośrodek pomocy dorosłym! — wyrzuciła wreszcie z siebie. — Nie ruszaj się stąd! — dodała z surową miną i wycelowała palec w moją stronę. — Zostań na swoim miejscu, a ja zawiadomię...

— Tylko nie rodziców! Ja nie chcę do nich wrócić! — zalkałam.

— Ależ nie. Nie ich miałam na myśli.

— Tylko nie do domu...

— Nie denerwuj się - powiedziała. - Poszukam kogoś, kto będzie mógł się tobą zająć.

Po chwili się uspokoiłam. Nagła zmiana zachowania tej kobiety z początku mnie przerażała, ale wytłumaczyłam sobie, że przecież nie dzieje się nic złego. Po prostu przekażą mnie komuś innemu. Wszystko dobrze się ułoży.

Nie pamiętam, ile czasu tam spędziłam. Siedziałam na krześle, czekałam i myślałam o moich rodzicach adopcyjnych, którzy na pewno zauważyli moje zniknięcie. „Ciekawe, czy zgłosili to na policję?” - zastanawiałam się. Wydało mi się to nieprawdopodobne. Mieli na sumieniu zbyt wiele grzechów. Pójście na komisariat byłoby rzuceniem się w paszczę lwa.

Nagle drzwi się otworzyły, a w nich stanęła ta sama kobieta.

— To ona — rzuciła do kogoś z tyłu.

Do środka weszło dwóch mężczyzn. Mieli na sobie niebieskie mundury. Policja!

Pojechaliśmy na komisariat. Mężczyźni wskazali mi ławkę. Wokół mnie było pełno ludzi, w służbowych mundurach lub po cywilnemu, wszyscy biegali w tę i z powrotem, coś krzyczeli,..

Panowało ogólne poruszenie, a wśród zgiełku nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Siedziałam na ławce, trzymając torbę na kolanach. Po jakimś czasie podeszło dwóch mężczyzn. Poprosili, żebym z nimi poszła. Za chwilę znaleźliśmy się w niewielkim biurze.

— Jak się nazywasz? - zapytał jeden z nich.

Milczałam.

- Uciekłaś z domu? - zapytał drugi.

- Rodzice znęcali się nade mną, więc sobie poszłam...

- Kim oni są? Gdzie mieszkasz?

- W Chatou. Ale to nie są moi prawdziwi rodzice. Sposób, w jaki zadawali pytania, świadczył o ich poirytowaniu. Ci dwaj mężczyźni mieli do mnie dużo mniej cierpliwości niż Kevin. Najwyraźniej nie chcieli się wysilać, żeby mnie zrozumieć i tracić czas na brudną i źle ubraną uciekinierkę. Czy nie zauważyli, że przed nimi siedzi dziecko wykorzystywane seksualnie? Czy nie zdradzała tego moja twarz, moje zapłakane oczy?

- Powiedz, jak się nazywasz, inaczej to źle się skończy — zagroził jeden z nich.

Nie dałam się zastraszyć. W końcu ci dwaj byli na pewno mniej niebezpieczni niż Linda.

Wyobraziłam sobie, że jeśli podam im nazwisko i adres, natychmiast odwiozą mnie do rodziny.

Zawzięłam się, zrobiłam upartą minę i nie chciałam powiedzieć nic więcej.

Wreszcie przesłuchanie dobiegło końca. Policjanci wysłali mnie na korytarz. Znowu czekałam. Moja głowa była coraz cięższa. Próbowałam walczyć ze snem. Siedziałam na ławce pod ścianą, w tłumie mundurowych. Wreszcie poddałam się i głowa bezwładnie opadła mi na piersi.

Trudno powiedzieć, jak długo trwała moja drzemka. W każdym razie wystarczająco, żeby jeden z policjantów zdążył przeszukać moją torbę. Niczego nie poczułam. Kiedy się zorientowałam, zerwałam się na równe nogi, ale było już za późno. Mój bagaż był otwarty, a rzeczy porozsypywane. Znaleźli mój paszport! Przez uchylone

drzwi zobaczyłam dwóch mężczyzn. Tych samych, którzy mnie przesłuchiwali. Jeden z nich trzymał w dłoni moje dokumenty.

- Nazywa się Tina Okpara. Sprawdzimy, czy zostało wysłane zgłoszenie o zaginięciu.

- Okpara? Jak ten piłkarz z Paris Saint-Germain?

- Zdaje się, że tak.

Policjant, który miał mój paszport, usiadł przy biurku i zaczął stukać w klawiaturę.

- Mamy ją! - wykrzyknął. - Wczoraj jej rodzina zgłosiła ucieczkę. - Po kilku chwilach dorzucił

jeszcze: - To córka Godwina Okpary, tego piłkarza!

Kiedy wyszli na korytarz, mieli już całkiem inny wyraz twarzy. Z ciekawością zaczęli mi się przyglądać. Co ich tak dziwiło? To, że córka sławnego piłkarza jest tak źle ubrana? A może to, że chce uciec jak najdalej od bogatego i znanego ojca? A może ci dwaj to kibice Paris Saint-Germain?

Oglądają w telewizji każdy mecz ulubionej drużyny, czytają komentarze w prasie sportowej. Kochają Godwina Okparę miłością oddanego kibica. Kochają za to, jak gra i kiwa innych na boisku... A może powinnam im powiedzieć, co robi ze mną, kiedy odwiedza mnie w zatęchłej piwnicy?

Naraz poczułam się bardzo osłabiona, wręcz wyczerpana. W jednej chwili opuściły mnie wszystkie siły i ponownie zasnęłam.

- Chodź za mną - obudził mnie głos inspektora.

Mężczyzna stał nade mną i potrząsał za ramię. Podniosłam się i ruszyłam za nim długim korytarzem do miejsca, gdzie znajdowały się cele. Inspektor otworzył

jedną z nich i kazał mi wejść do środka. Była to podła klitka, ciasna i odrażająco brudna, z jedną, niewygodną pryczą. Ja jednak byłam tak zmęczona i zdesperowana, że położyłam się na niej i natychmiast zasnęłam. Spędziłam tam chyba całą wieczność. Wokół kręciło się mnóstwo podejrzanych typów: pijaczkowie, dilerzy, złodziejaszki... Nagle z otępienia wyrwał mnie znajomy głos.

- Tina, córeczko! Och! Moja mała córunia!

To babunia. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Złożyła ręce jak w modlitwie i biadoliła wniebogłosy. Kłamczyni! Zdrajczyni! Wzięła mnie w ramiona i mocno przytuliła, powtarzając moje imię oraz to, jak bardzo jest szczęśliwa i spokojna, że się odnalazłam. Tak bardzo się bała, że stało mi się coś złego. Napędziłam jej takiego strachu. Ach, jak rodzice się ucieszą!

Policjantom powiedziała, że moi opiekunowie wyjechali zagranicę. Przyszła odebrać mnie w towarzystwie przyjaciela rodziny, a dokładnie zagorzałego fana Godwina, który poznał go w czasie porannego joggingu. Od tamtej pory się przyjaźnili. Widziałam go wcześniej parę razy u nas w domu. Od czasu do czasu my także go odwiedzaliśmy.

Wkrótce opuściliśmy komisariat. Zdziwiło mnie, że na zewnątrz było już ciemno. W areszcie straciłam poczucie czasu. Bezwiednie wsiadłam do samochodu. Jeszcze nie wracaliśmy do Chatou. Najpierw trzeba było odebrać dzieci z domu przyjaciela Godwina. Kiedy tam przyjechaliśmy, było już późno, a dzieciaki dawno spały. Babunia postanowiła ich nie budzić, więc zostałyśmy na noc. Zresztą ja i tak się nie spieszyłam.

Następnego dnia wyruszyliśmy do domu, ale na miejscu nikogo nie zastałyśmy. Każda z nas zajęła się swoimi sprawami, ale moje myśli krążyły gdzie indziej. Czułam się jak na statku, na którym oczekuje się nadejścia huraganu. Huraganu o imieniu Linda. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Nie mogłam przegonić natrętnych obrazów i cały czas bolał mnie brzuch. Czy mnie pobije? Z pewnością tak. Roztrzaska wazon na mojej głowie albo uderzy mnie metalową chochłą. Będzie krzyczeć, wrzeszczeć, wyzywać, sponiewiera jak psa. Dzień mijał. Dostawałam drgawek, gdy tylko usłyszałam warkot silnika za oknem. Podskakiwałam z przerażenia, kiedy ktoś otwierał drzwi. Właśnie składałam pościel w jednym z pokoi, gdy przed domem rozległ się dźwięk klaksonu. Poczulałam, jakby ktoś mi wbił sztylet w klatkę piersiową. Jakby ktoś metalową pięścią chciał wyrwać moje serce. Otworzyły się drzwi i usłyszałam głosy Godwina i Lindy. Domyśliłam się, że przeszli do salonu i rozmawiali z babunią. Nie mogłam rozróżnić słów. Za chwilę przyszła po mnie babunia.

- Linda chce cię zobaczyć - oznajmiła. Zeszliśmy razem na parter. Linda siedziała w fotelu, Godwin stał przy drzwiach prowadzących do ogrodu. Bałam się wykonać jakikolwiek gest. Z trudem oddychałam. Linda obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem.

- Dlaczego uciekłaś z domu? - odezwała się stłumionym głosem, jakby próbowała powstrzymać wybuch furii.

Zwiesiłam głowę.

- Dlaczego uciekłaś, pytam?!

— Nie wiem...

— Zle ci tutaj?

— Nie...

— Chodzisz głodna?

— Nie...

I tak dalej. Zasypała mnie serią pytań. Czy jest wobec mnie niesprawiedliwa? Czy ktoś mnie tu krzywdzi? Czy nie daję z siebie wszystkiego, żeby było mi dobrze? I czy nie uważam, że powinnam dziękować Godwinowi za to, że zechciał mnie adoptować? Moje odpowiedzi ograniczały się do zdawkowych „tak”, „nie”, „tak”, „nie”. W zależności od tego, co chciała usłyszeć.

— A zatem dlaczego uciekłaś?

— Jakiś diabeł we mnie wstąpił.

To było wszystko, co w tamtej chwili przyszło mi do głowy. Nagle ścianami pokoju wstrząsnął gwałtowny potok wściekłych wrzasków.

— Wiesz co? Doprowadzasz mnie do szaleństwa! Jesteś jak ostatnia szmata, zdzira, jak zwierzę! Ty psie! Ty suko! Co ty sobie wyobrażasz? Ze uda ci się nas przechytryć?

Ten atak wściekłości trwał bardzo długo. Krzyki Lindy wypełniały całą moją głowę. Rozsadzały czaszkę. Płakałam.

— Co pomyśli twój rodzony ojciec, kiedy powiem mu, jak się zachowujesz? Uważasz, że będzie z ciebie dumny?

Na wspomnienie o ojcu poczułam się tak, jakby wbiła mi zatrutą strzałę w serce. Nic nie mogło zranić mnie bardziej niż myśl, że przeze mnie miałyby cierpieć. Świadomość, że mogłabym sprawić przykrość jemu i mamie

w niebie, wydała mi się nie do wytrzymania. Wtedy obiecałam, że się poprawię i więcej nie ucieknę. Linda rozkazała mi paść na kolana. Zrobiłam to i ze łzami w oczach błagałam o przebaczenie za wszystkie troski, których im przysporzyłam.

Pokoj tortur

Po każdej awanturze powtarzał się podobny scenariusz. Linda obrażała się i przez całe dni potrafiła nie odezwać się do mnie słowem. Kiedy chciała mi coś rozkazać lub powiedzieć, wyręczała się babunią. „Powiedz Tinie, że ma zrobić to...”, „Wyślij Tinę na zakupy”. Nie przeszkadzało jej to oczywiście w uderzeniu mnie w głowę i to zawsze wtedy, gdy najmniej się tego spodziewałam. Oczywiście nadal z przyjemnością mnie wyzywała. Według niej byłam brzydka, byłam zerem, zwierzęciem... To jedno z łagodniejszych określeń. Najbardziej jednak cierpiałam, kiedy wspominała o moim tacie. Wmawiała mi, że o mnie zapomniał, już mnie nie kocha, specjalnie mnie się pozbył. „Czy kiedykolwiek zadzwonił zapytać, co u ciebie słychać? Nigdy!” - ciągle to powtarzała z satysfakcją. Według niej byłam dla niego kulą u nogi. Na szczęście w porę ode mnie się uwolnił. A mimo wszystko i tak byłby bardzo niezadowolony i rozczarowany, gdyby dowiedział się, jaka krnąbrna i niewdzięczna jestem dla nowych rodziców.

To wszystko sprawiało mi wielki ból. I nawet gdyby prawdą była chociaż jedna z tych złośliwości, słuchanie ich stanowiło największą mękę. Nie chciałam pokazywać, jak bardzo dotykają mnie jej słowa. Ukrywałam łzy. Wszystko dusiłam w sobie i dawałam upust emocjom dopiero nocą w piwnicy. Niestety zachowanie Godwina wobec mnie pozostało bez zmian. Kiedy zostawaliśmy sami, często zmuszał mnie do wspólnego zejścia do piwnicy. Za każdym razem broniłam się, ale on był silniejszy. Odpychałam go od siebie, zaciskałam nogi, jednak moje wysiłki były daremne. Godwin miał nade mną przewagę.

Wtedy zaczynałam krzyczeć. Chciałam, żeby wiedział, że nie godzę się na to, co mi robi. Dalsza walka z nim była bezużyteczna. Fizycznie byłam pokonana, ale znalazłam inną metodę obrony. Kiedy rzucał mnie na materac, myślami ulatywałam gdzieś daleko. Tak jakbym na chwilę opuszczała swoje ciało, które było martwe, puste i bez czucia.

Gdyby tylko wiedział, jak bardzo się nim brzydziłam! Kiedy już było po wszystkim, podnosił się i zasapany podciągał spodnie. Tak bardzo go nienawidziłam, gdy rzucał mi banknot o nominale dziesięciu euro. Dziesięć euro! Na tyle wyceniał mnie i moje zniszczone dzieciństwo. Co on sobie wyobrażał? Ze sprzedaję swoje ciało jak prostytutka? Ze pieniędzmi wynagrodzi mi krzywdę?

Czasami bywał jeszcze bardziej podły i mówił z pogardą:

— Zapłaciłem ci ostatnim razem.

Gwałcił mnie, kiedy tylko miał na to ochotę. Bez żadnego zabezpieczenia. Któregoś dnia podeszłam do niego i chłodnym głosem oznajmiłam, że od dwóch tygodni spóźnia mi się okres. Myślałam, że ta wiadomość podziała na niego jak kubeł zimnej wody, jednak się pomyliłam.

- Zawiozę cię do lekarza - oświadczył sucho. Pojechaliliśmy samochodem do lekarza rodzinnego.

Tego samego, u którego regularnie leczyli się Sophie, Steeve, Sandy i Samuel. Widziałam go tylko raz, kiedy chorowałam na zapalenie oskrzeli.

Po drodze Godwin przekazał mi, co mam powiedzieć, żeby wytłumaczyć mój stan. Wszedł nawet ze mną do gabinetu, żeby mieć pewność, czy dobrze odgrywam wyuczoną rolę,

- Miałam stosunek seksualny ze swoim chłopakiem i chyba jestem w ciąży.

Lekarz z grubsza mnie zbadał, po czym wypisał skierowanie na badania. Godwin uregulował rachunek za konsultację, prosząc doktora, żeby ten niczego nie mówił Lindzie.

- Ona i tak niczego nie zrozumie - wyjaśnił. - Jest taka staroświecka.

Następnie pobrano mi krew. Godwin poprosił, żeby wyniki przesłano bezpośrednio do lekarza rodzinnego.

- Pod żadnym pozorem do domu! - podkreślił. Kilka dni później zadzwonił do mnie z Belgii.

- Właśnie rozmawiałem z lekarzem - oznajmił. - Wyniki testu są ujemne. Nie jesteś w ciąży.

Spóźniony okres może być skutkiem silnego stresu. Zresztą doktor miał wrażenie, że jesteś smutna i zmęczona.

I taki był finał tej historii. Godwin jakoś wygrzebał się z kłopotów, Linda o niczym się nie dowiedziała, a ja nadal mogłam być bezkarnie gwałcona.

Przestałam się uśmiechać. Straciłam radość życia i nadzieję na cokolwiek. Magda już do nas nie przyjeżdżała. Domyślałam się, że to przez Lindę, która musiała ją zniechęcić. Każdego dnia dochodziło do awantur i przemocy. Goście, którzy i tak rzadko nas odwiedzali, nigdy więcej się nie pojawiali. W końcu już nikt do nas nie zaglądał.

Linda miała pretensje do Magdy i Patryka o to, że byli przede wszystkim przyjaciółmi Godwina. Od kiedy ten opowiedział im historię z Tontonem i zwierzył się z niewierności żony, Linda wyraźnie dała im do zrozumienia, że nie są w jej domu mile widziani. Od tamtej pory żyłam w jeszcze większym odosobnieniu, w wielkiej samotności, która była trudna do zniesienia.

To było w lutym 2005 roku. Linda pojechała na jarmark afrykański do Chateau-Rouge w Paryżu. Dobrze znałam ten wielki targ. Uwielbiałam pełne afrykańskich różności stoiska, które zajmowały niemal całe chodniki, stragany uginające się pod ciężarem wędzonych ryb, ogromne kiście bananów, stosy egzotycznych owoców, intensywną woń przypraw korzennych. Oprócz tego było tam także mnóstwo stoisk z afrykańskimi opaskami i chustkami. Niektórzy spod lady sprzedawali nielegalne talizmany i amulety. W salonach piękności kobiety dopinały sobie sztuczne warkocze i zdobiły włosy pięknymi, kolorowymi koralikami. Większość ubrana była w tradycyjne, afrykańskie, wielobarwne boubou. Wszystko to przywodziło mi na myśl mój rodzinny kraj.

Tak bardzo chciałam, żeby Linda wzięła mnie ze sobą. Nawet jeśli miałabym dźwigać wszystkie jej torby z zakupami. Niestety w domu czekało mnie mnóstwo pracy, a przede wszystkim musiałam naprawić przeciekający kran w łazience. Linda pojechała z babunią. Dzieciaki były w szkole.

Zostałam w domu z Godwinem. Był u siebie w pokoju, podczas gdy ja na piętrze bawiłam się w hydraulika i wyginałam się pod umywalką, próbując coś odkręcić. Nagle usłyszałam donośny głos Godwina. Aż podskoczyłam ze strachu. - Tina, chodź tutaj!

Posłusznie zeszłam na dół. Czy znowu będę musiała mu się oddać i zapomnieć o własnym człowieczeństwie? Czy kolejny raz z bólem i obrzydzeniem będę przełykać gorzkie łzy? Niestety tak... Jego oczy jak zwykle były przepełnione dobrze mi znanym szaleństwem, obsesją i żądzą. Kazał mi iść za sobą do pokoju Sophie i Sandy. Pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy, to mój materac. Ten sam, na którym kładłam się każdej nocy w zatechłej piwnicy. Musiał zejść po niego na dół i przywlec do pokoju dziewczynek po to, żeby mnie zgwałcić.

Podły drań! Odrażający! Zaczęłam się z nim szarpać. Odepchnęłam go, kiedy próbował zaciągnąć mnie na materac. Broniałem się, ale jak zwykle on okazał się silniejszy. Po wyczerpującej i bezsensownej walce powalił mnie na podłogę. W jednej sekundzie przycisnął mnie swoim ciałem. Umierałam za każdym razem, gdy wbijał się we mnie. To było jak najokrutniejsza tortura. Jednak Godwin za nic miał moje łzy i cierpienie. Myślał tylko o własnej przyjemności.

Nie usłyszał zatrzymującego się przed domem samochodu, trzaśnięcia drzwi ani stukotu obcasów, mimo że

drzwi od pokoju były otwarte. I nagle pojawiła się w nich Linda. Zawyla i ze *zwierzęcym* okrzykiem rzuciła się na Godwina. Chwyliła go za włosy i gwałtownie odepchnęła. Wściekłość dodała jej sił. Potem skoczyła na mnie. Zachowywała się jak lwica, która dopadła swoją ofiarę. Myślałam, że wydrapie mi oczy, rozszarpie twarz. W furii okładała mnie pięściami. - Ty zdiro! Ty dziwko! Godwin próbował ją odciągnąć, ale ona go odepchnęła. Chciałam uciekać, ale zablokowała mi przejście. Cały czas bez opamiętania biła mnie w głowę, uderzała w ramiona. Wszędzie, gdzie się dało. Przestała tylko dlatego, że Godwinowi wreszcie udało się złapać ją za rękę. Linda odwróciła się w jego stronę i wtedy oni zaczęli się bić. Jak obłąkana wymachiwała rękami. On chwycił ją za nadgarstki i je wykręcił. Ryknęła. Najpierw po angielsku, a następnie w języku joruba. Korzystając z okazji, wymknęłam się z pokoju, zbiegłam ze schodów, przemknęłam przez salon i otworzyłam drzwi do ogrodu.

Na zewnątrz lało jak z cebra. Bez wahania wybiegłam z domu. Nawet nie zdążyłam włożyć butów. Przeszłam przez ogród po mokrej od deszczu trawie i przeskoczyłam przez ogrodzenie do sąsiadki, Marii. Tam ukryłam się w królikarni. Wkrótce mnie znalazła, odziała w prowizoryczny płaszcz przeciwdeszczowy wykonany z worka na śmieci i odesłała. Przez jakiś czas włóczyłam się bez celu, po czym spotkałam kobietę, która zlitowała się nade mną, zaprowadziła do siebie i podarowała suchy sweter.

Od niej zadzwoniłam do domu. Godwin zapewniał, że już wszystko w porządku. Jak to możliwe? Coś *mi* mówiło, że trzeba stamtąd uciekać jak najdalej. Ale dokąd miałabym wtedy pójść? Przypomniała mi się moja poprzednia ucieczka. W myślach ponownie zobaczyłam komisariat, tamtejszych policjantów i ich reakcję, kiedy dowiedzieli się, że jestem adoptowaną córką znanego piłkarza z ich ulubionej drużyny. Jemu we wszystko by uwierzyli. Mnie — nigdy.

Postanowiłam wrócić do domu. Kiedy stanęłam w progu, Godwin otworzył mi drzwi. Wewnątrz nie było nikogo. Cisza. Linda znowu gdzieś wyszła. Od razu zabrałam się do pracy. Cóż innego miałabym zrobić? Tak mnie wyszkolili. To był mój obowiązek. Godwin chodził za mną krok w krok. Gdzie ja, tam on. Jak cień. Chyba chciał mieć pewność, że nie ucieknę kolejny raz.

Po pewnym czasie wróciły Linda z babunią oraz dzieci, które odebrały ze szkoły. Linda kazała im pobawić się w salonie i pod żadnym pozorem nie wychodzić, dopóki nie dostaną pozwolenia.

Następnie zamknęła się z Godwinem w swoim pokoju. Słyszałam podniesione głosy, krzyki, kłótnię. Babunia poprosiła, żebym do niej przyszła.

— Tino, co tu się właściwie stało? — zapytała.

— Ja tylko próbowałam się bronić — odparłam. Wzięła głęboki oddech i z surową miną, jakbym to ja była wszystkiemu winna, odrzekła:

— Jak mogłaś zrobić coś takiego? Jak mogłaś przespać się z mężem Lindy?

Próbowałam jej wytłumaczyć, ale ona nawet nie chciała mnie słuchać. Ona już miała swoją wersję wydarzeń i może dlatego nic do niej nie docierało. Naszą rozmowę przerwała Linda, która zawołała babunię.

- Zostań tutaj i nie rób niczego głupiego! - poleciła mi stara.

Siedziałam sama w pokoju. To Godwin zamknął z trzaskiem drzwi wejściowe, a potem odjechał.

Tchórz! Drań! Gdyby został i powiedział, że na mnie się rzucił, stanąłby w mojej obronie, to nie oberwałabym tak bardzo. Wtedy zrozumiałam, że to, co mówił przez telefon, było nieprawdą i tylko chciał mnie wpędzić w jeszcze większe kłopoty. Kłamał, że wszystko się wyjaśniło, żeby zwabić mnie z powrotem do domu. Potem pilnował, żebym nie uciekła. A kiedy jego żona była na miejscu, po prostu odjechał! Zostawił mnie całkiem samą!

„To już koniec. To koniec...” - myślałam. Te słowa dudniły w mojej głowie. Chciałam umrzeć. Byłam pewna, że to nastąpi. Nie mogło być inaczej.

Nagle ktoś otworzył drzwi do pokoju. Zobaczyłam babunię.

- Mama chce cię widzieć w kuchni - oznajmiła. Zeszłam. Stara kroczyła za mną.

- Na kolana! - rozkazała Linda, kiedy przekroczyłam próg kuchni.

Zrobiłam, co mi kazała. Ogarnął mnie paraliżujący strach.

- Dobrze ci było i Lubisz to, prawda? — spytała. Milczałam.

- Jesteś zwykłą zdzirą, która lubi się pieprzyć! - ciągnęła. - Dam ci taką lekcję, że zapamiętasz ją do końca życia! Za każdym razem, gdy najdzie cię ochota na mężczyznę, przypomnisz sobie o mnie! Do końca swoich dni będziesz nosić to piętno!

Przerażona zobaczyłam, że zapala ogień pod garnkiem z sosem paprykowym. Później naląła sobie duży kieliszek wódki, którą wypła jednym haustem.

- A teraz marsz na górę do pokoju dziewczynek! Tam, gdzie uwiodłaś mojego męża! - ryknęła. Podniosłam się z kolan. Nogi mi drżały. Pijana strachem zatoczyłam się po schodach na górę. Babunia jak cień szła za mną. Weszliśmy do pokoju. Zaczęłam ją błagać, żeby stanęła w mojej obronie.

- Uspokój ją, proszę - wyszeptałam, składając dłonie jak do modlitwy. - To nie moja wina! To on mnie zgwałcił! To on!

Czyżby już zapomniała, jak pewnego dnia, kiedy udało mi się uciec przed Godwinem z samochodu, przyszła do mnie i powiedziała: „Ja ci wierzę”?

- Niech zrobi, co do niej należy - odparła sucho. - Musi dać upust swojej złości.

Nagle w drzwiach pojawiła się Linda. Papieros żarzył się w kąciku jej ust. W jednej dłoni miała kieliszek i butelkę wódki, a w drugiej nożyczki. Spojrzała na mnie z wściekłością.

- Rozbieraj się! - huknęła. - Do naga, zdziro!

Było mi zimno. Bałam się. Drżącymi rękami zdjęłam z siebie ubranie. Najbardziej ze wszystkiego bałam się bólu i cierpienia. Bałam się tak bardzo, że pragnęłam tylko śmierci. Natychmiast. Szybko! Szybko! Byle tylko to się skończyło. Pragnęłam jej jak niczego innego. Błagałam o śmierć z całego serca.

Linda podeszła do mnie. Wyjęła papieros z ust i dmuchnęła mi dymem w twarz.

- Za każdym razem, gdy rozbierzesz się przed mężczyzną, on będzie pytał, skąd te blizny. A wtedy wspomnisz mnie i moją naukę!

Zgasiła papieros na mojej twarzy.

- Na kolana! - ryknęła.

Padłam na podłogę. Złapała nożyczki i ze złością zaczęła ścinać mi włosy. Ostrza uderzały o moją czaszkę, kalecząc skórę głowy. Włosy spadały na podłogę. A w ślad za nimi - moje łzy. Płakałam z przerażenia i bezsilności. Wraz ze łzami uciekało ze mnie życie. Naga i trzęsąca się z zimna klęczałam na środku pokoju wśród ściętych włosów.

- Przypilnuj jej. Ja zaraz wrócę - rzuciła do babuni. Gdy znowu znalazła się w pokoju, miała w dłoni dobrze mi znany przedmiot. Używałam go często, kiedy opiekowałam się dziećmi podczas choroby. Była to plastikowa strzykawka. Linda napełniła ją jakimś czerwonym i gorącym płynem. Zdałam sobie sprawę, że to sos paprykowy! Wypiła kolejny kieliszek wódki. Czyżby musiała się napić, żeby znaleźć w sobie odwagę do tortur? Nienawiść, wściekłość i szaleństwo nie wystarczyły, żeby się nade mną znęcać?

Jednym szturchnięciem powaliła mnie na podłogę, po czym rzuciła się na mnie z krzykiem.

Wrzeszczała, rzucała przekleństwa i groźby. Z przerażeniem poczułam, jak wsadza mi strzykawkę między nogi. Z satysfakcją nacisnęła tłok. Wstrzykując w moje ciało palący płyn, wydała okrzyk radości. Zawylam z bólu. Moje wnętrze płonęło. Linda z całej siły uderzyła mnie w twarz i podniosła się, znowu chwytając butelkę wódki i kieliszek.

Podczas gdy ja z bólu wiałam się na podłodze, Linda *wzięła* kolejny łyk. Podeszła do mnie. Jej oczy błyszczały z wściekłości. Resztką wódki chlusnęła mi w twarz. W ułamku sekundy znowu znalazła się na mnie. Wrzasnęłam wniebogłosy, kiedy między nogami poczułam zimne szkło butelki.

- Lubisz to?! - krzyczała. - Dobrze ci teraz?! Gwałtownym pchnięciem wbiła mi do środka butelkę. Potem wstała i jednym kopnięciem dokończyła dzieła. Niemal rozsadziło mi brzuch. Ból był przenikliwy, nie do wytrzymania. Miałam wrażenie, że całe moje ciało rozrywa się na strzępy. Wszystko wokół zawirowało, a potem zrobiło się czarne. Znalazłam się w samym środku bezgwiazdnej nocy. I w tej ciemności dostrzegłam błyskające ostrze. To żyłetka, którą Linda trzymała w dłoni.

- Zostawię ci pamiątkę na całe życie! - wrzasnęła. Przypominała czarownicę z filmów grozy.

Przystawiła

ostrze do mojego krocza i jednym pociągnięciem mnie okaleczyła, znacząc głęboką ranę. Krew trysnęła i popłynęła po moich nogach. Kolejny raz krzyknęłam.

Linda wyprostowała się i zostawiła mnie na podłodze. Czy to widok krwi tak na nią podziałał? Czy uznała, że wystarczająco się nacierpiałam? A może zabrakło jej sił?

- Mam nadzieję, że tym razem czegoś się nauczyłaś - odburknęła, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. - Aha, i nie chcę widzieć żadnej krwi na dywanie! Posprzątaj to!

Podniosłam się. Brzuch płonął mi z bólu, po udach ciekła krew. Dłoń zwiniętą w pięść przystawiłam

do krocza, jakbym chciała zatamować krew. Obok stała babunia. Utkwiła we mnie surowy wzrok.

- Niech to będzie dla ciebie pouczająca lekcja - powiedziała i wyszła.

Doczłapałam do toalety. Każdy krok, jaki stawiałam, powodował potworny ból. Usiadłam na sedesie.

Nie pamiętam, jak długo tam zostałam. Wszystko wokół mnie wirowało i było pozbawione kolorów.

Wzrok mi się rozmazywał. Oczy zachodziły mgłą. „Mamo, chcę umrzeć! Mamo, idę do ciebie...”.

Nie wiem, ile czasu spędziłam tak w oczekiwaniu na śmierć. W końcu podniosłam się i pokuśtykałam

do łazienki. To było zaledwie kilka metrów do pokonania. Nadludzkim wysiłkiem dotarłam na

miejsce. Zwinęłam się w kłębek na zimnej podłodze, nie mogąc wykonać kolejnego ruchu. Dyszałam.

Na szczęście krew przestała cieknąć.

Po jakimś czasie przyszła babunia. Przyniosła kompresy i buteleczkę wody utlenionej. W milczeniu

przemyła moje rany. Piekło niemiłosiernie, ale na szczęście krew już nie płynęła. Byłam w stanie

poruszać się tylko z szeroko rozstawionymi nogami.

Zeszłam do kuchni i nalałam wody do wiadra. Dodałam nieco płynu do czyszczenia dywanów i

wdrapałam się po schodach do pokoju tortur. Zabrałam się za zmywanie śladów krwi z dywanu.

Własnej krwi.

Wyzwolenie!

Rany goiły się bardzo długo i były potwornie bolesne. Wszystko mnie piekło i paliło, gdy chodziłam, siadałam czy kładłam się spać. A największy ból pojawiał się, kiedy musiałam zrobić siusiu. Ból był tak intensywny, że za każdym razem, gdy szłam do toalety, byłam bliska omdlenia. Dwa lub trzy razy babunia pomogła mi zdezynfekować rany. Później zostawiła mi wodę utlenioną. Od tamtej pory musiałam radzić sobie sama.

Linda zaczęła się dąsać jak nigdy wcześniej. Nie odzywała się do mnie, a kiedy wchodziła do pomieszczenia, w którym akurat byłam, musiałam natychmiast je opuścić. Z pogardą mówiła, że nie jest w stanie oddychać tym samym powietrzem co ja. Babunia poradziła, żebym napisała do niej list z przeprosinami, bo według niej to złagodziłoby jej gniew. Byłam pewna, że to był pomysł Lindy. W końcu zacisnęłam zęby, wzięłam kartkę i długopis, i napisałam:

„Mamo, jest mi bardzo przykro. Nigdy więcej to się nie powtórzy. Obiecuję, że jeśli kolejny raz zrobię coś

podobnego lub jeśli od kogoś innego dowiesz się, że coś takiego zaszło, będziesz mogła zrobić ze mną, co tylko zechcesz. Obiecuję ci również, że już nigdy więcej nie ucieknę z domu ani nie będę kłamać i zawsze będę posłuszna. Zawsze będę słuchać twoich poleceń i robić, co tylko rozkażesz. Obiecuję z całego serca, że dotrzymam danego słowa. Tina".

Babunia doręczyła list Lindzie. Przekazała mi, że pod żadnym pozorem nie mogę nikomu powiedzieć o tym, co ona mi zrobiła. Nawet Godwinowi. A jeśli kiedykolwiek Linda się dowie, że komuś się poskarżyłam albo zwierzyłam, natychmiast odeśle mnie do Nigerii. A tam na pewno jej znajomi odpowiednio się mną zajmą. Wyobraziłam sobie bandę morderców. Ludzi gotowych na wszystko. I ogarnął mnie paniczny lęk.

Prześladowała mnie myśl, że Godwin znowu się do mnie dobierze. Starłam się robić wszystko, dosłownie wszystko, żeby nigdy, przenigdy nie zostać z nim w domu sam na sam. Miałam szczęście, bo przez kilka kolejnych tygodni nie było okazji, żeby mógł się do mnie zbliżyć. Zaczęłam nawet wierzyć, że dzięki przyłapaniu go na gorącym uczynku zaprzestanie swoich niecznych działań.

Minęło kilka miesięcy, a on nie zdradził się nawet jednym gestem, ukradkowym spojrzeniem. Nie na długo. Trzynastego sierpnia 2005 roku to dzień, który na zawsze zapamiętam...

Byłam w domu. Pracowałam. Słońce przepięknie oświetlało ogród. Wokół panował błogi spokój. Nagle podskoczyłam. Usłyszałam, jak ktoś krzyczy moje imię.

— Tina!

To Godwin. Od razu rozpoznałam ten ton, tę charakterystyczną barwę głosu. Zawsze wołał mnie w ten sposób, kiedy chciał, żebym zeszła razem z nim do piwnicy. Stałam jak wryta. Nie mogłam zrobić kroku. Dlaczego uwierzyłam, że ten człowiek zostawił mnie w spokoju? Przecież to niemożliwe! To diabeł wcielony! Zło w czystej postaci. Wmówił mi, że adoptował mnie dla mojego dobra, żebym już zawsze była szczęśliwa. A ja nawet nigdy nie poszłam do szkoły! Obiecywał, że będzie kochał mnie jak rodzony ojciec, a tymczasem gwałcił! Wykorzystał swoją pozycję i popularność tylko po to, żeby zastawić na mnie pułapkę. A kiedy został zdemaskowany, kłamał. Powiedział, że już wszystko będzie dobrze, a tak naprawdę chciał mnie zwabić z powrotem do domu. W ten sposób dostałam się w szpony przeklętej tygrysicy!

- Tina! Głucha jesteś?!

W drzwiach zarysowała się masywna sylwetka Godwina. Od razu poznałam ten złowieszczy wzrok. Pełen fałszu i zepsucia. Zacisnęłam dłonie.

- Przyjdzie dzień, w którym pożałujesz wszystkiego — powiedziałam.

To nie odwaga dała mi siłę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy i wypowiedzieć te słowa, tylko desperacja. Wiedziałam, że kiedy znowu zaczną mnie gwałcić, jego żona w końcu się o tym dowie, a ja jak zwykle będę wszystkiemu winna. To mnie będzie torturować. Sam Bóg raczy wiedzieć, czy przeżyję te męczarnie. Nie mogłam nawet powiedzieć Godwinowi, jaki koszmar zgotowała mi jego żona ostatnim razem. Gdybym pisnęła słówko, wysłałaby

mnie do Nigerii prosto w ręce morderców. Dlatego miałam odwagę wykrzyknąć mu całą prawdę prosto w twarz.

Tak, ja, Tina kocmołuch. Tina niewolnica. Tina zwierzę. Ta, która sprząta i spuszcza wodę w toalecie, kiedy jaśnie pani załatwi swoje potrzeby. Ta, która rozkłada nogi, kiedy jaśnie pan nabierze ochoty na zaspokojenie swoich samczych żądz. Stałam na wprost i powiedziałam:

— Pożałujesz tego! Na razie jestem nieletnia i niewiele mogę. Łatwo jest wyrzucić krzywdę bezbronnej osobie. Ale przyjdzie taki dzień, kiedy spotkasz mnie na ulicy i spłoniesz ze wstydu za to, co mi zrobiłeś.

— Co ty sobie wyobrażasz?! — wybuchnął. - Gdybym tylko chciał, mógłbym cię zabić.

— Aresztują cię i pójdiesz do więzienia.

— Nic podobnego! Powiedziałem Lindzie, że idę pobiegać. Wszyscy myślą, że jestem teraz w lesie i trenuję. Znajdą twoje ciało i pomyślą, że morderca włamał się do środka. Ja jestem znany, jestem piłkarzem. Nikt nie będzie mnie o nic podejrzewał.

Uderzył mnie w twarz z taką siłą, że myślałam, iż złamie mi kark. Poczułam, że pęka mi głowa i płyną mi łzy. Wściekłość paliła mnie od środka. Godwin stał przez chwilę nieruchomo, patrząc na mnie z pogardą. Nagle odwrócił się i poszedł w stronę łazienki.

Co planował? Czego szukał? Tego nie wiem i nigdy się nie dowiem, ponieważ właśnie wtedy, nie zastanawiając się, rzuciłam się do ucieczki. Zbiegłam ze schodów, wielkimi susami przebiegłam przez salon i wypadłam do ogrodu. Tak jak ostatnio przeskoczyłam ogrodzenie i znalazłam się u sąsiadów.

Tym razem jednak nie miałam zamiaru ukrywać się w królikarni. Bez zatrzymywania się przemknęłam przez trawnik. Dobiegłam do ogrodzenia i przeskoczyłam do kolejnego ogrodu, a potem jeszcze do następnego. Nie zatrzymałam się ani na chwilę, ani razu nie spojrzałam za siebie. W ten sposób przeskakiwałam kolejne płoty i murki. Bez chwili wytchnienia. Nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się na ulicy. Rozejrzałam się dookoła. Wiedziałam, gdzie jestem. Niedaleko spotkałam kobietę, która podarowała mi biały, ciepły sweter. Tysiące myśli krążyło mi po głowie. Ta kobieta powiedziała, że zawsze wtedy, gdy będzie działo się coś złego, mogę poprosić ją o pomoc. Być może była u siebie? Postanowiłam spróbować szczęścia.

Ruszyłam ulicą i po chwili spotkałam jakąś młodą kobietę. Podeszłam do niej. Miała jasne, kręcone włosy.

— Czy mówi pani po angielsku?

- Tak, trochę. Sporo rozumiem.

Zakiełkowała we mnie nadzieja. Postanowiłam jej zaufać i zadałam pytanie, które od jakiegoś czasu mnie dręczyło.

- Czy wie pani, w jakim wieku dziecko może opuścić swoją rodzinę?

— Kiedy skończy osiemnaście lat, chyba że... Ręką wykonała gest, jakby uderzała się po głowie.

— Ma pani na myśli znęcanie się nad dziećmi?

- Tak, jeśli ktoś cię bije. To poważna sprawa.

Powoli skinęłam głową. Wybełkotałam jakieś podziękowanie i poszłam dalej. Wszystko się we mnie kotłowało. Czyli miałam prawo opuścić rodzinę, jeśli byłam maltretowana... Miałam takie prawo.

Tylko jak to

zrobić? Nie uszłam nawet kilku metrów, kiedy za plecami usłyszałam głos.

— Zaczekaj!

Zatrzymałam się. Kobieta podeszła do mnie. Miała spokojny głos. Palcem wskazała pobliski dom.

— Człowiek, który tam mieszka, jest lekarzem — powiedziała po angielsku. — Jest bardzo miły.

Myślę, że będzie mógł ci pomóc. Na pewno bardziej niż ja.

Zawahałam się.

— On naprawdę może ci pomóc — nalegała.

Młoda kobieta przedstawiła się jako Nathalie. Zapytała też, jak ja mam na imię i zaprowadziła do lekarza. Zastałyśmy go w ogródku przed domem. Razem z żoną przycinali róże. Oboje byli w dość podeszłym wieku. Nathalie w kilku słowach wyjaśniła im zaistniałą sytuację. Powiedziała, że rodzice mnie biją i potrzebuję pomocy. Od czasu do czasu zadawała mi jakieś pytanie po angielsku, a potem tłumaczyła im wszystko po francusku.

Znowu zaczęły mi płynąć łzy. Wiedziałam, że żałośnie wyglądam, ale to było silniejsze ode mnie. W ogrodzie pełnym róż stałam ubrana w stare szmaty, do tego z brudnymi, skołtunionymi włosami.

Lekarz i jego żona zmierzili mnie wzrokiem, co było dla mnie upokarzające. Co wtedy pomyśleli?

— Zdaje się, że nie możemy jej tak zostawić — zawyrokował doktor.

— Trzeba zawiadomić policję — odezwała się jego żona.

— Tylko nie policję! — zaprotestowałam. Ostatnim razem, gdy trafiłam na komisariat, policjanci odesłali mnie do domu. Nie obchodzi mnie, czy

Linda i Godwin zostaną aresztowani. Wszystko, czego pragnęłam, to znaleźć się jak najdalej od nich. I żeby mnie więcej nie bili. I żebym nie była gwałcona. Chciałam, aby to wreszcie się skończyło. Wszystko. Żeby zabrali mnie w inne miejsce. Lekarz i jego żona chyba nie mieli innego pomysłu poza zawiadomieniem policji, dlatego straciłam nadzieję.

- Może jednak wrócę do domu. Chyba tak będzie lepiej — oznajmiłam.

Zapanowała przenikliwa cisza.

- W takim razie zapiszę ci mój numer telefonu - odezwała się w końcu żona doktora. - Obiecuj, że do mnie zadzwonisz, jeśli zaczniesz się dziać coś niedobrego. Zgoda?

Pokiwałam głową, a kobieta weszła do domu poszukać czegoś do pisania. Czekaliśmy. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu wróciła i wręczyła mi kawałek papieru.

- Obiecuj mi tylko, że jeśli coś się wydarzy... - powtórzyła.

Zapewniłam, że tak zrobię, i cofnęłam się do furtki.

- Mówiłaś, że pochodzisz z Nigerii? - usłyszałam jej głos.

- Tak, z Lagosu - odpowiedziałam.

- A ludzie, którzy znęcają się nad tobą, nie są twoimi prawdziwymi rodzicami?

- Zgadza się. Oni mnie adoptowali.

- Ile lat wtedy miałaś?

- Dwanaście, proszę pani.

Zacząła zadawać mi pytanie za pytaniem. Nie wiedziałam, do czego zmierza. Kilkukrotnie prosiła, żebym

powtórzyła coś, co opowiedziałam zaledwie przed chwilą. Wszystko się wyjaśniło, kiedy od strony ulicy dało się słyszeć wycie syreny.

— Zawiadomiła pani policję!

— Tak — przyznała. — Ale nie powinnaś się bać.

Nie powinnam się bać? Miałam poczucie, że kolejny raz zostałam zdradzona, a łzy same napłynęły mi do oczu. Przekłęte łzy. Czy kiedyś przestanę płakać? Mamo, czy wydałaś mnie na świat tylko po to? Tylko dla łez i cierpienia?

— Nie chcę, nie chcę! — krzyczałam ze wszystkich sił, ale było już za późno.

Na ulicy przed domem zatrzymał się samochód. Wsiadło z niego trzech umundurowanych mężczyzn. Znalazłam się w pułapce. Zona doktora poprosiła, żebyśmy wszyscy weszli do środka, gdzie będą lepsze warunki do rozmowy. Czułam się samotna, stojąc pośrodku salonu wśród obcych ludzi, z których połowa miała przy sobie broń. Pani doktorowa zaproponowała, żebym coś zjadła i się napiła. Poprosiłam o szklanekę wody.

— Jak się nazywasz? — zapytał jeden z policjantów. Nie odpowiedziałam.

— Wiemy tylko, jak ma na imię — wyjaśniła Nathalie. — To Tina.

— Musimy poznać twoją tożsamość — tłumaczył mężczyzna. — Inaczej trudno nam będzie ci pomóc.

— Ja nie chcę! — krzyknęłam przez łzy.

To była cała odpowiedź, na jaką się zdobyłam. Jeden z policjantów, który do tej pory stał z boku i milczał, podszedł bliżej i poważnie na mnie spojrzał.

- Jesteśmy tu dla ciebie - oznajmił. - Chcemy ci pomóc. To nasza praca i nasz obowiązek. Nigdy nie pozwolimy, żebyś wróciła do ludzi, którzy robią ci krzywdę. Nigdy. Rozumiesz?

Czy to ton jego głosu, determinacja, z jaką do mnie mówił, a może spojrzenie sprawiło, że dałam się przekonać? W każdym razie wydawało mi się, że tym razem jestem lepiej rozumiana niż podczas ostatniej wizyty na komisariacie.

- Mój ojciec... - wyjąkałam, szlochając. - On... on mnie gwałci.

Pierwszy raz odważyłam się użyć słowa „gwałcić”. Pierwszy raz powiedziałam komuś o zbrodni. Na zebranych zrobiło to piorunujące wrażenie. W salonie zapadła cisza.

- Masz jakieś dokumenty? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Nie, mój paszport został w domu.

- Więc musimy tam pójść.

- Nie! Nie chcę ich więcej widzieć! Policjanci zawahali się.

- Wiesz, gdzie on jest?

- W mojej torbie w pokoju... W piwnicy. Mężczyźni szybko się naradzili. Ustalili, że dwóch pojedzie do willi Okparów po mój paszport, a trzeci zostanie ze mną. Wyszli, a po chwili dało się słyszeć pisk opon. Po pewnym czasie wrócili z niczym.

- Twój ojciec nie wpuścił nas do domu - wyjaśnił policjant. - Poza tym twierdzi, że kłamiesz, i nigdy nie byłaś maltretowana. Powiedział, że nic z tego wszystkiego nie rozumie.

- W tej sytuacji, Tino, widzę tylko takie rozwiązanie - oznajmił jeden z mężczyzn. - Musisz pojechać tam z nami. Wejdziemy razem do twojego domu i zabierzemy paszport. Nie bój się. Nikt nawet cię nie dotknie.

Bardzo się bałam, ale policjanci sprawiali wrażenie, że dobrze wiedzą, co robią. Pomyślałam, że na pewno mają duże doświadczenie, i wsiadłam z nimi do samochodu. Kiedy zatrzymaliśmy się przed willą, Godwin stanął w progu.

- Co znowu? - zamamrotał.

- Tym razem przyjechaliśmy w towarzystwie pańskiej córki, która chciałaby zabrać swój paszport - oznajmił jeden z mundurowych.

- To jakieś żarty?

- Bynajmniej. Oskarża pana o znęcanie się nad nią i gwałt - odparł stanowczo policjant.

Bez słowa, nie patrząc nawet na swojego przybranego ojca, weszłam do środka i ruszyłam schodami prowadzącymi do piwnicy. Towarzyszył mi jeden z mężczyzn. Zabrałam swoje dokumenty i zaczęliśmy wspinać się na górę. W połowie drogi usłyszałam krzyki.

- To moja córka! Nie macie prawa! Jest niepełnoletnia! Sparaliżowana strachem nie mogłam wspiąć się na kolejny stopień.

- No, dalej. Nie masz się czego obawiać - dodawał mi otuchy. - Cokolwiek się wydarzy, jesteśmy tu po to, żeby cię chronić.

Kiedy znaleźliśmy się przy Godwinie, ten kipiał złością. Zaimponowała mi spokojna postawa policjanta

kontrastująca z agresywnym zachowaniem mojego przybranego ojca.

— Jeśli twierdzi pan, że nie mamy racji, panie Okpara, zapraszam z nami na komisariat, gdzie złożę pan stosowne wyjaśnienia.

W końcu ktoś miał odwagę sprzeciwić się temu potworowi! Policjant nie tylko nie spuścił wzroku, lecz nawet nie cofnął się, kiedy Godwin z groźną miną zrobił dwa kroki w naszą stronę. Jednak musiał ustąpić i odsunął się na bok, robiąc przejście. Miałam nadzieję, że już nigdy nie wrócę do tego domu. Kiedy dotarliśmy na komisariat, zostałam poprowadzona do niewielkiego pokoju na piętrze. Jeden z mężczyzn, którzy przyjechali do domu doktora, został ze mną. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Szukamy dla ciebie jakiegoś schronienia — odezwał się. Nie chciałam zdradzić się przed nim, że nie mam

pojęcia, o jakim schronieniu mówi. Wyobrażałam sobie jakieś tajemnicze miejsce, w którym przebywają ludzie z podobnymi problemami. Do tej pory byłam przekonana, że jestem sama na świecie i nie ma drugiej takiej Tyny, która cierpi podobne katusze. Uświadomiłam sobie jednak, że jest inaczej. Dlatego wszystko tak długo trwało! Nie mogli znaleźć dla mnie miejsca!

— Dzisiaj jest mój ostatni dzień w pracy przed wakacjami — mówił policjant. — Już dawno powinno mnie tu nie być. To miała być moja ostatnia interwencja.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

— Głowa do góry! — dodał po chwili. — Nie wyjdę stąd, dopóki nie upewnię się, że jesteś bezpieczna.

Szeroko otworzyłam oczy. Na zawsze chciałam zapamiętać tę twarz! Twarz dobrego człowieka, którego nie spotkałam od lat.

Siedziałam skulona na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach. Na próżno próbowałam się uspokoić, pozbierać myśli. Minęły cztery lata, odkąd trafiłam do domu Okparów. Cztery lata. Tysiąc czterysta sześćdziesiąt dni. Każdy z nich był okupiony morderczą pracą, wyzwiskami, biciem, cierpieniem. I wreszcie wszystko miało się skończyć. Już niedługo. To było zbyt piękne, żebym mogła w to uwierzyć. Tak wiele razy mnie okłamywano, wykorzystywano, że czekałam z lękiem na zakończenie tego koszmaru.

Siedziałam na komisariacie w niewielkim pokoju, a obok mnie policjant w cywilnym ubraniu.

Zdawało mi się, że jest szefem, jakimś wysoko postawionym komisarzem, może komendantem.

Wskazywał na to jego wiek, a także sposób, w jaki zwracali się do niego inni policjanci. Przestałam płakać. Czekałam. Jeśli los znowu ze mnie zakpi, to będzie mój koniec. Potem już tylko śmierć.

— Znasz tych ludzi?

Głos policjanta wyrwał mnie z zamyślenia. Stał twarzą do dużego okna.

— Podejź. Nic ci się nie stanie.

Zbliżyłam się niepewnym krokiem. Zerknęłam przez szybę i od razu się cofnęłam. Linda z babunią! Obie tam były! Przyszły po mnie. A więc nie myliłam się! Nie ma dla mnie żadnego ratunku. Moje życie było przegrane i nic więcej nie mogłam zrobić. Spodziewałam się, co będzie dalej. Policjant odprowadzi mnie na dół, po czym tak jak poprzednim razem rozegra się farsa. „Och, Tino, ale się bałyśmy o ciebie! Jakie to *szczęście*, że w końcu się odnalazłaś!”. I znowu trafię w ich ręce. A w domu te dwie lwice z pewnością mnie rozszarpia. Trudno. A może właśnie tym lepiej. Będę mogła spotkać się z mamą w niebie. Razem pójdziemy do raju. Bo chyba trafia się do raju, kiedy za życia tak bardzo się cierpiało?

- To twoi rodzice adopcyjni? - zapytał policjant.

— Tak...

— Chcesz się z nimi zobaczyć?

- Nigdy!

— Jesteś pewna?

- Tak! Tak! Tak! Nigdy więcej!

Popatrzył na mnie uważnie. Z wyrazu jego twarzy starałam się odgadnąć, o czym myśli. Tymczasem on bez słowa odwrócił się, skierował w stronę drzwi i opuścił pokój. Jeszcze raz ostrożnie podeszłam do przeszklonej ściany i spojrzałam w dół, w każdej chwili gotowa odskoczyć, gdyby Linda uniosła głowę.

Policjant podszedł do nich i zaczął coś mówić. Niestety nic nie słyszałam. Linda jak zawsze wymachiwała rękami. Pewnie się spierała. Czyżby czemuś się sprzeciwiała? Czyżby domagała się oddania jej córki? Tego już się nie dowiedziałam, bo za chwilę wybiegła z komisariatu, a w ślad z nią podreptała babunia. A ja... Ja zostałam!

Wreszcie mogłam się pożegnać z przeklętym, parszywym losem. Może w końcu uda mi się być szczęśliwą? Tym razem to ja wygrałam!

Była już noc, kiedy ruszyliśmy samochodem spod posterunku. Długo jechaliśmy. A może tylko tak mi się

wydawało. Uspokajała mnie myśl, że im dalej od rodziny Okparów, tym jestem bezpieczniejsza. Auto zatrzymało się przed dużym budynkiem. Wcześniej mignął mi znak drogowy z nazwą miejscowości Bois-d'Arcy.

Jakaś kobieta od razu wyszła nam na spotkanie. Po krótkiej rozmowie z policjantem i przekazaniu dokumentów zaprosiła mnie do środka i zaprowadziła do przestronnej sali. Tam, w rzędach, były ustawione stoły, a na drugim końcu pod ścianą stał włączony telewizor. Kilka kobiet wpatrywało się w ekran.

— Pewnie jesteś głodna — raczej stwierdziła, niż zapytała kobieta.

To prawda. Czułam, że burczy mi w brzuchu. Zostałam posadzona przy stole, na którym postawiono talerz i sztućce. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego posiłku na wolności. Przede mną leżał talerz z makaronem i wielkim kotлетem. Wreszcie gorące jedzenie! Z początku nie śmiałam tknąć tego królewskiego dania, ale niesamowity zapach kusił i łaskotał podniebienie. Nie, to nie mogła być prawda! To zbyt piękne! Pewnie nikt ze znajdujących się tutaj nie zdawał sobie sprawy z tego, co przeżyłam. Przez te wszystkie lata niewoli nie miałam okazji zjeść mięsa. Ukroiłam kawałek i podniosłam widelec do ust. To było cudowne uczucie. Zwykły kotlet smakował wprost nadzwyczajnie. I chyba zawsze będzie mi się kojarzył z wolnością.

Raz na wozie...

Kiedy skończyłam jeść, opiekunka zaprowadziła mnie do pokoju, który zajmowały dwie dziewczyny.

- Przedstawiam wam Tinę - oznajmiła kobieta. -Spędzi z nami trochę czasu.

Onieśmielona weszłam do środka. W pomieszczeniu znajdowały się trzy łóżka. Jedno piętrowe, a drugie pojedyncze. Spanie w jednym pokoju z dwiema dziewczynami w moim wieku wydało mi się zabawne. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś podobnego. Jednak po tak wyczerpującym dniu nie zdążyłam z nimi nawet porozmawiać. Zasnęłam niemal natychmiast. Nazajutrz, kiedy tylko przetałam oczy po przebudzeniu, długo nie mogłam oswoić się z myślą, że nie jestem już w willi Okparów. Przez okno zobaczyłam słońce. Która mogła być godzina? Jak długo spałam? Leżałam na łóżku, nie mogąc wstać z wrażenia.

- Czy wszystko w porządku? - zwróciła się do mnie jedna ze współlokatorek. Pokiwałam głową.

W ciągu kolejnych dni zorientowałam się, że każda z mieszkanek tego domu dźwiga własny bagaż nieszczęść. I wszystkie wzajemnie się szanowały. Słuchały uważnie, kiedy któraś chciała się z czegoś zwierzyć. Pocieszały, gdy któraś płakała, i nigdy nie zadawały żadnych pytań. Nigdy.

Przyniesiono mi czyste ubrania i podstawowe środki higieny. Po śniadaniu, co stanowiło dla mnie kolejną nowość, opiekunka zaprowadziła mnie do gabinetu dyrektorki. Ta wyjaśniła mi, jak od tej pory ma wyglądać moje nowe życie w ośrodku pomocy dla kobiet w Bois-d'Arcy. Czekają na mnie wiele dni wypełnionych spotkaniami z prawnikami i lekarzami. „Nie będę się nudzić” -pomyślałam.

Trzy dni później pojechałam na komisariat, gdzie mogłam złożyć zeznania. Przesłuchiwała mnie młoda kobieta. Na początku rozmowy przeprosiła mnie za trudne i niedyskretne pytania, jakie musiała mi zadać. Sprawiedliwość wymagało dokładności. Samo słowo „gwałt” nie wystarczyło. Musiałam być rzeczowa i precyzyjna. Jak, ile razy, jak głęboko... Penetracja, seks oralny, ejakulacja - te słowa mnie przerażały. Mojemu oprawcy kojarzyły się z rozkoszą, a mnie - z bólem i hańbą. Mimo to udzielałam odpowiedzi na wszystkie pytania i znowu płakałam. Starłam się dobrać odpowiednie słowa, mieszałam angielskie słowa z francuskimi. Czułam się żałośnie, jak typowa ofiara, która nawet nie potrafi odpowiednio wyrazić tego, co przeżyła. Byłam przekonana, że wszystko mi się pomyli. Mimo to cierpliwa policjantka skrzętnie notowała każde moje słowo.

Później zaprowadzono mnie na konsultację ginekologiczną. Kolejny raz znalazłam się w szpitalu w

Wersalu, gdzie zrobiono mi prześwietlenie i zbadano stan uzębienia. W ten sposób lekarze dość precyzyjnie mogli określić mój wiek. Dziwiłam się, dlaczego po prostu nie chcieli uwierzyć, że mam siedemnaście lat, tak jak zeznałam.

Regularnie zaczęłam odwiedzać gabinet psychologiczny. Przyjmowała mnie wysoka kobieta o rudych włosach. Jej ciepły, łagodny głos, a także umiejętność wyjaśnienia wielu skomplikowanych problemów prostym językiem budziły moje zaufanie. Jej gabinet mieścił się w tym samym budynku co schronisko. Główne miejsce zajmowały w nim dwa duże i wygodne fotele ustawione naprzeciwko siebie. Między nimi stał niski stolik. Na półce pod blatem zawsze można było znaleźć chusteczki higieniczne. Wylewało się tam naprawdę wiele łez...

Kobieta zaczynała rozmowę, rzucała jeden temat, zadawała kilka pytań, po czym pozwalała mi mówić. Mówiłam i mówiłam... Opowiadałam. Zwierzałam się z tego, co przeżyłam, wracały trudne wspomnienia. Najczęściej już po kilku zdaniach musiałam sięgnąć po chusteczkę.

Te spotkania mnie wyczerpywały, szarpały duszę, ale kiedy już było po wszystkim, czułam ogromną ulgę i z gabinetu wychodziłam lżejsza, jakbym pozbyła się wielu problemów. Ta kobieta potrafiła mnie słuchać bez osądzania i krytykowania tego, co mówiłam. Doskonale umiała wyjaśniać, dlaczego targają mną takie emocje i co oznaczają. Jej obecność działała na mnie kojąco.

A co najważniejsze, od niepamiętnych czasów pierwszy raz byłam dla kogoś pełnowartościowym człowiekiem. Takim jak wszyscy.

Kiedy miałam wolne, uwielbiałam spacerować po ogrodzie lub czytać książki w cieniu drzew owocowych. Bywało, że litery rozmazywały mi się przed oczami. Kiedy opiekunka dostrzegła moje zmartwienie, zawsze próbowała mnie pocieszyć.

- Dlaczego płaczesz, Tino? Ich już tu nie ma. Nigdy więcej cię nie skrzywdzą. Teraz nikt nie zrobi ci niczego złego.

Wytarłam łzy rękawem, powtarzając w myślach: „Jestem wolna, jestem wolna, jestem wolna!”.

Któregoś ranka do pokoju weszła Martine, kierowniczka ośrodka. Była bardzo poważna.

- Mam ci coś ważnego do powiedzenia - zaczęła. -Twoi rodzice zostali zatrzymani. Mówili o tym w telewizji wczoraj wieczorem.

Tego dnia także gazety pisały o aresztowaniu Godwina i Lindy Okparów. W jednej z nich znalazłam artykuł ze zdjęciem mojego ojca adopcyjnego w stroju piłkarskim w barwach klubowych Paris Saint-Germain. Dziennikarze informowali, że został przesłuchany w związku z podejrzeniem stosowania przemocy wobec osoby nieletniej, a także molestowania seksualnego i gwałtu. Lindę natomiast zatrzymano pod zarzutem stosowania przemocy wobec osoby nieletniej oraz tortur i kar cielesnych. Oboje zostali osadzeni w areszcie.

Linda i Godwin w więzieniu! To wydawało się takie nierzeczywiste! Niemożliwe. Najdziwniejsze było to,

że po tej informacji nie poczułam najmniejszej ulgi. Wręcz przeciwnie, nie chciałam, żeby Godwin popadł w tarapaty. Był sławny, bogaty, ludzie kochali go za to, jakim był znakomitym piłkarzem. I dobrze! Tym lepiej dla niego. Ja tylko chciałam zacząć zupełnie nowe życie. Po prostu być szczęśliwa. I przede wszystkim bardzo niepokoiłam się o moją rodzinę w Lagosie. Bałam się, że moi najbliżsi, ojciec i bracia przeze mnie staną się ofiarami przemocy, prześladowań i represji.

Minęły trzy tygodnie. Właśnie zaczęłam przyzwyczajać się do nowych warunków panujących w ośrodku i zachowywać się jak zwykły człowiek, kiedy Martine oznajmiła, że muszę opuścić schronisko. Wychowawczynie doszły do wniosku, że jestem już na tyle silna i gotowa, że na pewno poradzę sobie bez ich pomocy. Miałam zamieszkać w Fontenay razem z trzema innymi młodymi dziewczynami.

Byłam zaniepokojona tym, że opuszczę bezpieczny i przytulny ośrodek. Na szczęście kolejne wieści od Martine rozwiały wszelkie wątpliwości. Od początku września miałam rozpocząć edukację! Postanowiłam dać z siebie wszystko i uczyć się jak najpilniej i intensywnie, żeby nadrobić stracone lata.

Mieszkanie w Fontenay znajdowało się w niczym niewyróżniającym się bloku. Sąsiedzi też byli „normalnymi” ludźmi. To znaczy nie należeli do wychowanków żadnego domu opieki ani pomocy społecznej. W środku były kuchnia, duży salon i korytarz, z którego prowadziły drzwi do jeszcze dwóch pokoi. W każdym spałyśmy po dwie. Było jeszcze jedno pomieszczenie,

na samym końcu korytarza po lewej stronie. Ono zostało zaadaptowane na biuro dla wychowawców z naszego ośrodka, którzy nas pilnowali — kobiety i mężczyźni odgrywających role rodziców. Kiedy tylko chcieli, mogli przyjść i rzucić okiem, jak sobie radzimy, a od czasu do czasu nawet zostać na noc.

Dwa lub trzy dni po wprowadzeniu się do nowego mieszkania mogłam nareszcie pójść do centrum edukacyjnego. Moimi nauczycielami byli Julie, Ludovic i Daniel. Od samego rana mieliśmy lekcje francuskiego, matematyki i historii. Wszystko było tak jak w prawdziwej szkole. Czułam ogromną radość, że mogę siedzieć w ławce, mając przed sobą zeszyt i podręcznik. Raz w tygodniu odbywały się zajęcia sportowe. W tym okresie byłam chyba najszczęśliwszą uczennicą na świecie!

Popołudnia spędzałam w warsztacie. To duże pomieszczenie, w którym pracowało kilka osób. Z radia sączyła się muzyka. Pierwszego dnia Daniel przywitał mnie czarującym uśmiechem i wskazał miejsce, które mogłam zająć. Wyjaśnił, że powstaje tu biżuteria, która następnie jest wysyłana na targi i wystawy w różne zakątki świata. Pokazał mi kilka projektów i zapytał, który najbardziej mi się podoba. Wskazałam kolbę z czarnych, pobłyskujących pereł.

Daniel dał mi niezbędne materiały, a ja mogłam zabrać się do pracy. Sprawiało mi to niesamowitą przyjemność. Nie miało to nic wspólnego z harówką w willi Okparów. Z początku byłam trochę nieporadna, ale dzięki wskazówkom Julie, która od czasu do czasu rzucała okiem na moje dłonie, szybko się uczyłam. W końcu udało mi się wykonać kolbę, a kiedy wszystkie perły znalazły się na swoim miejscu, nie potrafiłam ukryć dumy.

- I jaki Podoba ci się? - zapytała Julie.

Prawie nie umiałam wyrazić tego, co czuję. Byłam wniebowzięta! Nie mogłam uwierzyć, że własnymi rękami wykonałam coś tak pięknego.

- Możesz ją zatrzymać - powiedziała Julie. - To taka nasza tradycja. Każdy dostaje na własność pierwszą rzecz, którą samodzielnie zrobi. To pamiątka.

Młoda dziewczyna, z którą dzieliłam pokój, wyprowadziła się z mieszkania krótko po moim przybyciu. Jej miejsce natychmiast zajęła inna. Okazało się, że na świecie nie brakuje dziewczyn z podobnie tragiczną przeszłością.

Ona także pochodziła z Afryki. Nosiła imię egipskiej królowej Nefertiti, chociaż sama była z Republiki Środkowoafrykańskiej. Bardzo szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Byłyśmy dla siebie jak dwie rodzone siostry. Słuchałyśmy tej samej muzyki, lubiłyśmy takie same ubrania, a nawet podobali nam się ci sami chłopcy.

Szesnastego października pierwszy raz od wielu lat świętowałam swoje urodziny. Wychowawca wręczył mi prezent. Nefertiti śmiała się wniebogłose, kiedy zrywałam ozdobny papier. Otworzyłam pudełko i zobaczyłam wieżę stereo, na której od tej pory mogłam słuchać ulubionej muzyki! Była tylko dla mnie! Nie mogłam w to uwierzyć.

Zajęcia w szkole, praca w warsztacie, życie w mieszkaniu, przyjaźń z Nefertiti były dla mnie pełnią

szczęścia. Oczywiście nie wszystko było jak w bajce. Bolesne wspomnienia dawały o sobie znać przy każdej nadarzającej się okazji. Najczęściej nocą. Często budziłam się złana potem, zapłakana i roztrzęsiona. Z trudem, jak po przebiegnięciu maratonu, łapałam oddech. Później długo siedziałam na łóżku z szeroko otwartymi oczami, nasłuchując spokojnego oddechu pogrążonej w głębokim śnie Nefertiti.

Potem kładłam się z powrotem, modląc się, żeby koszmar nie wrócił. Jednak to na nic. Tragiczne wspomnienia znowu się pojawiały jak bumerang. Dzień po dniu, noc w noc. Nie mogłam wymazać z pamięci czterech lat bólu i cierpienia. Nic nie było w stanie zmyć ze mnie brudu i upokorzenia, jakich zaznałam od trzynastego roku życia.

Nieustannie chodziłam do psychologa. Spotkania z lekarzem z ośrodka miały na mnie zbawienny wpływ, ale wizyty w gabinecie psychologicznym zaczęły wydawać mi się niepotrzebne. Ostatni ze specjalistów, z którym rozmawiałam, mężczyzna o siwych włosach i zmęczonej twarzy, spał w najlepsze, gdy ja deklamowałam mu całą litanię dramatycznych przeżyć, jakie mnie spotkały. W pewnym momencie wyrwał się ze snu, podskoczył na fotelu i skwitował:

— A czego oczekiwałaś? Takie jest życie!

Roześmiałam się, bo co innego mogłam zrobić. Ten człowiek bez wątpienia był już znudzony wszystkimi historiami, jakich wysłuchiwał podczas swojej wieloletniej praktyki psychologicznej. A ja nabrałam wątpliwości, czy te wizyty są mi potrzebne.

Wymyśliłam dla siebie inną terapię. Wydawało mi się, że najlepiej mi zrobi, gdy usłyszę cokolwiek o mojej rodzinie. Kiedy powiedziałam o tym wychowawczyni, ta spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Ależ, Tino. Telefon jest tutaj. Możesz przecież zadzwonić do taty.

Nieszczęście u progu

Musiałam wyglądać idiotycznie, kiedy tak stałam jak posąg ze słuchawką przy uchu. Prawda była taka, że panicznie bałam się wystukać numer do swojego ojca. W końcu wzięłam głęboki oddech i... niech się dzieje, co chce! Przycisnęłam mocniej słuchawkę i wsłuchiwałam się w płynący z daleka sygnał. Jeden. Drugi. I nagle - klik! Tysiące kilometrów od Fontenay, w którym się znajdowałam, ktoś odebrał telefon.

— Słucham?

Rozpoznałam głos Simona Ornaku!

— Tata?

— Tina?

W jednej chwili zdałam sobie sprawę, że mam mu do powiedzenia milion rzeczy! Tylko nie wiedziałam, od czego zacząć. Słowa uwięzły mi w gardle. Po drugiej stronie słyszałam uradowanego tatę, który nieustannie powtarzał moje imię. Oboje jednocześnie śmialiśmy się i płakaliśmy. Minęły dwie lub trzy minuty, zanim zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

To, czego się dowiedziałam, zważyło mnie z nóg. Okazało się, że kilka razy udało mu się zobaczyć z Lindą podczas jej przyjazdów do Nigerii. A kiedy pytał, co u mnie słychać, odpowiadała, że chodzę do szkoły, bardzo dobrze się uczę i tak dalej... Mówiła, że mam ambitne plany na przyszłość i zapewne bez żadnych problemów dostanę się na uniwersytet.

— Zapłacą za to, co ci zrobili — stwierdził.

Na dźwięk jego głosu zrobiło mi się ciepło na sercu. Ulżyło mi, kiedy przekonałam się, że całkowicie mi ufa. Wiedział przecież, że jestem porządną dziewczyną. Bardzo pragnęłam go wtedy zobaczyć i przytulić!

W połowie października wychowawca przyniósł mi kartkę, na której była lista nazwisk. Wyjaśnił, że muszę wybrać adwokata, który będzie mnie reprezentował podczas procesu. Rzuciłam okiem na spis. Wszystkie nazwiska były mi obce. Na chybił trafił wskazałam palcem drugie w kolejności.

Szczyście wylosowałam panią Martine Peron, przed którą stało trudne zadanie obronienia mnie i skonfrontowania z Godwinem i Lindą Okparami w sądzie.

Kilka dni później jedna z wychowawczyń zawiozła mnie do biura pani adwokat, które mieściło się w królewskiej miejscowości Wersal, niedaleko pięknego pałacu Ludwika XIV zwanego Królem Słońce. Z moim francuskim było znacznie lepiej, jednak wciąż obawiałam się, czy przed obliczem sądu zdołam wszystko zrozumieć i sama zostanę należycie odebrana. Ludzie często zapominali, że moim językiem ojczystym jest angielski. Kiedy zaczynali mówić zbyt szybko lub używali zbyt skomplikowanych słów, nie zawsze ich rozumiałam. Musiałam bardzo się skupić, żeby złapać sens.

Jednak tego dnia los był dla mnie łaskawy. Asystentka pani Peron, która nas przyjęła, była żoną Brytyjczyka i znakomicie mówiła po angielsku. Wprost spadła mi z nieba. Zaczęłyśmy rozmawiać, a pogawędka w ojczystym języku zupełnie mnie rozluźniła.

W końcu weszła pani Peron. Nieśmiało uścisnęłam jej dłoń i poszłam za nią do gabinetu. Miała piękne, błyszczące i pełne szczerości oczy oraz jasne włosy. Usiadłam naprzeciwko niej i wysłuchałam, co ma do powiedzenia. Jej głos był ciepły, spokojny i wyważony. Poświęciła mi dużo czasu; dokładnie wszystko wyjaśniła i opisała poszczególne etapy, jakie będę musiała przejść, zanim rozpocznie się proces. Często upewniała się, czy dobrze zrozumiałam, i mówiła dalej. Byłam pod wrażeniem jej inteligencji, profesjonalizmu i poświęcenia. Kiedy wyszłyśmy z gabinetu, poczułam ulgę. Byłam pewna, że moja przyszłość jest w dobrych rękach. Poczułam, że nie zostanę sama podczas tej walki.

Już po spotkaniu zapytałam wychowawców, czy mogę zadzwonić do Belgii. Nie byłam pewna, czy dobrze robię, ale postanowiłam spróbować.

- Magda? Mówi Tina...

Bałam się, że za chwilę usłyszę trzask odkładanej słuchawki albo pretensje, że wsadziłam rodziców do więzienia. Obawiałam się, że Magda wyprze się znajomości ze mną i weźmie stronę Godwina, z którym się przyjaźni. Po prostu mnie znienawidzi. Długo się wahałam, zanim z nią się skontaktowałam. W pewnym momencie nawet

chciałam zrezygnować, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Ona musiała poznać prawdę.

Pragnęłam, aby to właśnie z moich ust usłyszała, że dłużej nie mogłam wytrzymać.

— Tina! Jakże jestem szczęśliwa, że cię słyszę! Mówiliśmy równocześnie. Cieszyłam się, że znowu mogę usłyszeć jej głos. Po chwili zamilkłyśmy. Zapadła głęboka cisza.

— Jestem z tobą, Tino — zapewniła. — Mój dom jest zawsze dla ciebie otwarty. Możesz przyjechać, kiedy tylko zechcesz.

Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. Magda, moja kochana Magda! Gdyby tylko wiedziała, jak w tym momencie pomogła mi swoimi ciepłymi słowami. Nie odrzuciła mnie, nie zapomniała, nie wzgardziła. Wprost przeciwnie — szeroko otworzyła przede mną ramiona. Rozmawiałyśmy jeszcze przez chwilę. Była ciekawa, co u mnie słyszeć, jak się miewam, co porabiam. Opowiedziałam jej o schronisku, kursach i warsztacie. Pytała, czy wszyscy są dla mnie mili. Oczywiście, że tak! A wychowawcy krzyczą na mnie tylko wtedy, gdy przyłapią na czytaniu kolejnej powieści Danielle Steel po angielsku. Koniecznie chcą, żebym czytała książki po francusku.

— Niedługo święta — napomknęła Magda. — Może przyjechałabyś do nas na kilka dni i

Boże Narodzenie u Magdy w Belgii! To było jak sen. I ten sen wkrótce miał się urzeczywistnić.

Był siarczysty mróz, kiedy wsiadałam do pociągu na Dworcu Północnym w Paryżu. Przyklejona do szyby obserwowałam uciekający mi sprzed nosa biały krajobraz.

Później zasnąłam i obudziłam się dopiero wtedy, gdy pociąg zatrzymał się na dworcu w Brukseli. Na peronie kłębił się tłum podróżnych. Wśród nich próbowałam wypatrzyć Magdę. W końcu ją dostrzegłam! Przyszła po mnie ze swoją córką. Obie do mnie machały.

Mój pobyt u nich był jak senne marzenie pełne ciepła i miłości. Poszliśmy na mecz, w którym grał ich syn Peter, później towarzyszyłam ich córce Sophie w rozgrywkach tenisowych. Jak dwie najlepsze przyjaciółki spacerowałyśmy po mieście. Wystawy sklepowe były świątecznie ozdobione, a ulice udekorowane. Wszystko takie piękne... Magda wzięła mnie na zakupy. Jak oczarowana oglądałam ubrania, kosmetyki, książki. Koniecznie chciała mi podarować pizamę w barwach klubu piłkarskiego Anderlech. Cały czas było miło. Żadnych zgryzot, tylko same przyjemności.

Któregoś dnia Patryk zabrał mnie do parku rozrywki. Cały dzień spędziłam na karuzelach, w wagonikach śmierci, na młyńskich kołach i w tunelach strachu. W jednej chwili świat wydał mi się taki piękny, cudowny i zadziwiający. Magda wpadła na pomysł, żebyśmy zjedli obiad nad brzegiem morza, Kiedy spojrzałam w kartę dań i zerknęłam na ceny, zakręciło mi się w głowie, Magda zauważyła moje zakłopotanie i uśmiechnęła się ciepło. Wyjaśniła, że nie muszę się przejmować, bo jestem ich gościem.

Po powrocie do domu Peter zapragnął zapoznać mnie z muzyką. Wyciągnął stos płyt CD i po kolei zaznajamiał mnie ze swoimi ulubionymi wykonawcami i utworami. Nie znałam ani jednego. A kiedy coś mi się spodobało, od razu wręczał mi płytę!

Do swojego mieszkania w Fontenay wróciłam bogatsza o najcenniejsze skarby — moje pierwsze prawdziwe święta i magiczne wspomnienia.

Na początku marca zadzwonił wujek Bala.

— Twój ojciec jest chory — oznajmił. - Leży w szpitalu.

Szpital! Natychmiast przypomniała mi się sytuacja z mamą. Przecież ona także znalazła się w szpitalu i umarła.

— Co się stało? Czy to coś poważnego? — dopytywałam przestraszona.

— Nie wiadomo — odpowiedział wujek. — Nagle zaczął go mocno boleć brzuch.

Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej, ale on nie znał szczegółów. Trzeba było czekać, co powiedzą lekarze, którzy starali się zdiagnozować chorobę u taty.

Mijały dni. Na każdy sygnał dzwonka telefonu podskakiwałam ze strachu. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, czekając na wieści o stanie zdrowia mojego ojca.

W końcu zadzwonił telefon.

— Tino, teraz jesteś już dorosłą kobietą — odezwał się wujek Bala.

Już sam ton jego głosu wróżył coś niedobrego.

— Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego... Widzisz, jest tak, że ludzie rozpoczynają swoje życie, zajmują się wieloma różnymi rzeczami, a potem odchodzą. Taki jest los. To czeka każdego z nas.

Od razu wszystko zrozumiałam! Jakże mogłabym nie zrozumieć. Tylko nie chciałam w to uwierzyć! To było niemożliwe! I takie niesprawiedliwe.

— Musisz być silna, Tino — próbował mnie pocieszyć.

Jego słowa dudniły w głowie. Mój ojciec nie żyje. Śmierć. Grób. Koniec. Wieczność.

- Ale dokładnie co się stało? - wybełkotałam. Wujek wyjaśnił, że brzuch mojego ojca zrobił się nagle bardzo nabrzmiały. Lekarze przeprowadzili operację, która w rezultacie nic nie dała. Chirurdzy nie mieli pojęcia, co dolega tacie. Nie umieli mu pomóc.

- Nawet nie sprawdzili, czy Simon nie został otruty -oznajmił wujek.

Przez chwilę pomyślałam, że mogli w tym maczać palce miłośnicy piłkarskiego talentu Godwina. To by oznaczało, że tata umarł przeze mnie.

- Po operacji twój ojciec wciąż bardzo źle się czuł -opowiadał wujek. - Lekarze wezwali twojego brata, żeby wyjaśnić mu sytuację. Albo jeszcze raz spróbują zoperować ojca, albo pozwolą mu odejść. Emmanuel stanął przed najważniejszą decyzją swojego życia. Podeszedł do waszego taty i przekazał mu to, co usłyszał od lekarzy. Simon uniósł głowę i powiedział: „Pozwól mi odejść...”. Umarł 25 marca. W ostatnich chwilach życia myślał o tobie, Tino. W pamięci miał całe zło, jakie ci wyrządzono, całą krzywdę. On cierpiał razem z tobą... Jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie udało mi się zobaczyć córki”.

Jeszcze długo po tym, jak wujek się rozłączył, stałam bez ruchu, oniemiała i zapłakana. Jeden z wychowawców, Francis, podeszedł do mnie i odwiesił słuchawkę.

- Mój ojciec nie żyje.

- Jeśli chcesz, możesz pojechać do Lagosu na jego pogrzeb.

Pokręciłam głową.

— *Już* po wszystkim. Pochowali go niedługo po śmierci. Wszystko skończone. Teraz to bez znaczenia. Na początku czerwca 2006 roku mecenas Peron poinformowała mnie, że zostałam wezwana na serię konfrontacji. Dokładnie mi wyjaśniła, jak to będzie przebiegać. Miałam się znaleźć w jakimś pomieszczeniu w towarzystwie sędziego. Policjanci po kolei będą przyprawiać z aresztu wszystkich oskarżonych. Sędzia będzie nam zadawał pytania, żeby porównać nasze odpowiedzi. Pani adwokat próbowała mnie uspokoić i przekonać, że nie mam się czego obawiać. Nikt mnie już nie skrzywdzi. Powinnam tylko udzielać odpowiedzi sędziemu, czyli po prostu potwierdzić to, co już kiedyś opowiadałam policjantom podczas śledztwa.

— Pamiętaj, że będę przy tobie — dodawała mi otuchy. — Żeby było ci łatwiej, poproszę sędziego, aby na początek przyprowadzili panią Campbell.

Babunia. Miałam ją potraktować jak rozgrzewkę przed krwawym starciem. Świadomość, że mecenas Peron miała taką władzę, iż dowolnie mogła wybierać kolejność osób, dała mi poczucie bezpieczeństwa, dzięki czemu poczułam się bardziej pewna siebie. Wydawało mi się, że jestem panią losu.

Piętnastego czerwca 2006 roku w towarzystwie pani adwokat weszłam do pokoju sędziego, a raczej sędziny, która wskazała nam krzesła naprzeciwko biurka. Z mojej lewej strony usiadła mecenas Peron. Dwa krzesła z prawej były puste. Wiedziałam, że za chwilę zajmą je babunia i jej adwokat.

Miejsce przed maszyną do pisania zajmowała stenotypistka. Drzwi do gabinetu za moimi plecami pozostały otwarte. Usłyszałam czyjeś kroki. Odwróciłam się instynktownie. To, co zobaczyłam, zmroziło mi krew w żyłach.

Konfrontacje

W drzwiach, w których spodziewałam się ujrzeć babunię, zobaczyłam Lindę! Eskortowana przez dwóch policjantów szła pewnym krokiem, ale jej twarz zdradzała napięcie. Poza tym dostrzegłam w jej oczach pogardę i chęć zemsty. Zdawało się, że przed nikim nie chce pochylić głowy w poddańczym geście.

Myślałam, że zwariuję. Przecież miało być całkiem inaczej! Pani Peron była chyba tak samo zaskoczona.

— Czy to nie pani Campbell miała pojawić się tutaj jako pierwsza? — zapytała sędzinę.

— Nie zawsze wszystko jest tak, jakbyśmy chcieli — odpowiedziała filozoficznie przedstawicielka wymiaru sprawiedliwości.

Moja adwokat odwróciła się do mnie.

— Przynajmniej najgorsze będziesz miała za sobą — szepnęła.

Linda weszła do pokoju i wyciągnęła przed siebie ręce skute kajdankami. Usiadła z prawej strony, zaledwie kilka metrów ode mnie.

Sędzina zerknęła na *zegarek*. Najwidoczniej gdzieś jej się spieszyło.

— Jest za pięć trzecia — stwierdziła. — Pani Cotta nie przyszła? Trudno, musimy zacząć bez niej. Odkąd Linda weszła do pomieszczenia, czułam się jak sparaliżowana. W innych okolicznościach pewnie wyskoczyłabym przez okno, żeby tylko uniknąć spotkania z nią, ale teraz ze wzrokiem utkwionym w podłogę próbowałam uspokoić oddech. Niewidoczny ciężar miażdżył mi piersi, nie mogłam złapać tchu. Czułam całą nienawiść, jaką wobec mnie żywiła ta diablica. Próbowałam zrobić wszystko, żeby tylko nie odwrócić głowy w jej stronę, żeby tylko nasze oczy się nie spotkały! Gdyby tak się stało, załamałabym się, a wtedy Linda znowu miałaby nade mną przewagę.

Z kolei pani Péron była niczym niewzruszona. Patrzyła Lindzie prosto w twarz. Imponowały mi jej spokój i odwaga.

Sędzina poprosiła stenotypistkę o przeczytanie zeznań, jakie złożyłam na posterunku policji. Kiedy rozpoczęła, znowu przed oczami stanął mi komisariat i kobieta, która zadawała mi setki pytań. Nadal widzę jej twarz. Nie zapomniałam także jej imienia - Virginie. Wtedy niemal przeproszała mnie za to, że musi wypytywać o tyle intymnych szczegółów. I tym razem nie mogłam powstrzymać łez.

Przyjście adwokata Lindy zakłóciło odczytywanie zeznań. Przez chwilę odważyłam się spojrzeć na moją matkę adopcyjną. Zmierzyła mnie piorunującym wzrokiem. Tymczasem stenotypistka skończyła czytać moje zeznania. Sędzina poprosiła mnie o potwierdzenie, że wszystko się zgadza.

— To prawda. Było tak jak w opisie — przyznałam. Następnie zostały odczytane zeznania, jakie złożyła

Linda. Okazało się, że wszystkiemu zaprzeczyła. Oznajmiła, że w żaden sposób mnie nie maltretowała, nie biła ani nie zmuszała do ciężkiej pracy. Ponadto moje rzekome niepobieranie nauki skwitowała tym, że owszem, chodziłam na zajęcia, jednak były to kursy zdalne, prowadzone z domu przez internet. Po odczytaniu zeznań Linda podtrzymała wszystko, co wtedy powiedziała, a my dopiero usłyszałyśmy. Ta kobieta miała niewiarygodny tupet!

Wtedy mecenas Peron przeszła do ataku, a każde z jej pytań było jak pocisk raketowy wymierzony prosto w oskarżoną.

Nie przestawałam trząść się ze strachu. Myślałam, że za chwilę Linda zerwie się z miejsca i zdemoluje całe pomieszczenie.

— Czy często była pani w podróży, pani Okpara? — zaczęła adwokat. — Kto zajmował się domem podczas pani nieobecności?

— Moja ciotka, pani Campbell, mnie wyręczała! — odparowała Linda.

— Czy Tina musiała jej pomagać?

— A skąd mam to wiedzieć? Przecież nie było mnie w domu! Jeśli ktokolwiek zmuszał ją do pracy, to na pewno nie ja. Nie śledziłam dokładnie tego, co dzieje się w domu, kiedy wyjeżdżałam.

To był prawdziwy pojedynek między dwiema silnymi kobietami. Walczyły ze sobą nie tylko na słowa. Liczyło

się *każcie* spojrzenie, a nawet ton głosu. Pani Peron ani na chwilę nie dawała za wygraną. „Kto zajmował się praniem pościeli? Kto robił zakupy? A kto prasował?” - zasypywała Lindę pytaniami. „Babunia! Babunia! Babunia!” - odpowiedź zawsze brzmiała tak samo. Gdybym tylko mogła, podeszłabym do niej i kazała się zamknąć! Kłamczucha! Jednak paraliżujący strach przywiązał mnie do krzesła i nie pozwalał na wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Nawet nie byłam w stanie mówić. Dotarło do mnie, że tak naprawdę Linda już dawno temu wygrała ten pojedynek. Udało jej się mnie zmiażdżyć i złamać.

- Czy była pani Tinę? - zapytała mecenas Peron.

- Nie - odparła Linda. - Nigdy nie podniosłam na nią ręki.

- Nawet wtedy, gdy czegoś nie zrozumiała albo nie posłuchała pani prośby?

- Ona zawsze była trudnym dzieckiem - brzmiała odpowiedź Lindy.

I znowu poczułam na sobie jej wzrok. Tym razem jeszcze bardziej świdrujący.

- Kiedy byłam w Lagosie, jej ojciec spotkał się ze mną. Narzekał, że nie daje sobie z nią rady. Córka sprawiała mu wiele kłopotów. Była skłócona ze wszystkimi, których znała.

Miarowy stukot maszyny do pisania, która rejestrowała jej słowa, wbijał mi się w serce, a każde naciśnięcie klawisza rozrywało je na jeszcze mniejsze kawałki. Mój ojciec na pewno nie mógłby powiedzieć czegoś podobnego!

- Poprosił, żebym zabrała Tinę do siebie - ciągnęła Linda. - Wręcz błagał mnie o to. Powiedział, że tylko

ja będę w stanie wychować ją na porządnego człowieka. Do tej upadłej dziewczuchy trzeba było wyciągnąć pomocną dłoń. Miała wtedy zaledwie dziesięć lat, a wiecie, co powiedział jej ojciec? Że to największa latawica w całej okolicy! Podobno spała ze wszystkimi mężczyznami w Lagosie!

Po tych słowach nastąpiła cisza. Chciałabym potrafić czytać w myślach pani adwokat i sędziny. To inteligentne kobiety. Obie skończyły studia. Czy mogłyby uwierzyć w te brednie? Miały tylko moje słowo przeciwko słowu Lindy. Której z nas zaufają? Dziecku czy dorosłej kobiecie? Młodej sierocie przybyłej z Nigerii czy żonie znanego piłkarza?

Byłam wstrząśnięta. Moja adwokat musiała to zauważyć, ponieważ próbowała mnie uspokoić. Zapewniła, że nie mam się czego bać; że jestem w dobrych rękach. Takie deklaracje słyszałam już wielokrotnie. To jednak w niczym nie zmniejszyło lęku, który zagnieździł się w moim mózgu jak pasożyt.

Podczas weekendu miałam trochę czasu, żeby ochłonąć, jednak w poniedziałek popołudniu znowu znalazłam się w gabinecie sędziowskim. Tym razem czekało mnie spotkanie z Godwinem. Ten także do niczego się nie przyznał i zarzucił mi kłamstwo. W odróżnieniu od swojej żony nie krzyczał, nie rzucał wyzwiskami, nie przeklinał. Mimo wszystko jego sposób obrony nie odbiegał od tego, który prezentowała Linda. Stale byłam oczerniana i zniesławiana. Ja, ich ofiara!

W kwestiach domowych tłumaczenia Godwina były dość mgliste. Twierdził, że nigdy nie zajmował się

kobiecymi sprawami. W głowie była mu tylko piłka nożna, więc nie wiedział, co dzieje się w domu. Mecenas Peron zadała mu te same pytania, jakie kilka dni wcześniej usłyszała Linda, czyli kto zajmował się sprzątaniami, zmywaniem, prasowaniem. Odpowiedź Godwina była niezmienna: „Nie wiem”. Adwokat jednak nie ustępowała.

— A kto opiekował się dziećmi? — naciskała.

— Przez większość czasu babunia — odparł.

— Czy nie sądzi pan, że tyle obowiązków to trochę za dużo jak na sześćdziesięcioletnią osobę, panie Okpara?

— Skąd mam to wiedzieć?

— Pana zarobki są wyższe niż przeciętne. Czy nigdy nie pomyślał pan o zatrudnieniu kogoś do pomocy?

On tylko wzruszył ramionami. Następnie sędzina poprosiła go o opisanie ze swojej perspektywy gwałtów,

o które go oskarżyłam. Ten spojrzał na mnie kątem oka

i oznajmił, że nigdy w życiu mnie dotknął.

— Tymczasem zdarzyło się, że któregoś dnia pańska żona przyłapała pana na kontaktach seksualnych z córką — przypomniała sędzina.

— To Tina zastawiła na mnie pułapkę — odparł bez mrugnięcia okiem. — Pamiętam, że tego dnia byłem wyczerpany po intensywnym treningu, do tego wieczorem napiłem się wódki. Marzyłem tylko o tym, żeby rzucić się na łóżko. Kiedy już leżałem, do pokoju weszła Tina i zaczęła się do mnie dobierać. Chciałem ją odsunąć, ale właśnie wtedy nakryła nas moja żona.

Każde z jego słów było jak walec, który powoli mnie rozjeżdżał i z potężną siłą wgniatał w ziemię. Najpierw Linda, teraz on. Obojgu udało się mnie przytłoczyć. Dwoje dorosłych ludzi przeciwko dziecku. Dwie bogate i wpływowe osoby przeciwko biednemu żywemu trupowi. Nie miałam szans wyjść zwycięsko z tej walki. Mecenas Peron próbowała podnieść mnie na duchu, ale ja widziałam wszystko w ciemnych barwach. Miałam wrażenie, że nad moją głową zebrały się gęste, czarne chmury, a burza, która za chwilę mogła nadejść, będzie dla mnie śmiertelnym ciosem. Została jeszcze jedna szansa. Być może ostatnia. Babunia. To właśnie z nią następnego dnia miałam spotkać się w gabinecie sędziny. Z dala od wpływu Lindy i jej gróźb być może odważy się powiedzieć, jak było naprawdę, i uratuje mnie przed ostatecznym końcem. To była dziwna konfrontacja. Zaczęła się 20 czerwca 2006 roku o godzinie czternastej czterdzieści pięć. Siedziałam jak podczas poprzednich spotkań naprzeciwko przedstawiciela najwyższego wymiaru sprawiedliwości. Z lewej strony zajęła miejsce mecenas Peron. Babunia przybyła w towarzystwie swojego obrońcy i tłumacza. Twierdziła, że nie mówi ani po angielsku, ani po francusku. Trzeba było przetłumaczyć wszystko na język joruba. To dłużyło się bez końca. Całe spotkanie rwało się, szarpało i chyba było najbardziej uciążliwe ze wszystkich. Babunia dużo narzekała i stawiała się w pozycji ofiary. A jeśli chodziło o zajęcia domowe i tortury, jakim mnie poddawano, utrzymywała, że nic o tym nie wiedziała. Było dla mnie jasne, że ona także nie ma zamiaru powiedzieć prawdy.

Kiedy konfrontacja się skończyła, odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej miałam to za sobą. Wiedziałam, co jeszcze mnie czeka. Proces przed ławą przysięgłych. Poza tym kolejny raz miałam stanąć twarzą w twarz ze swoimi oprawcami. Jednak tym razem wszyscy troje zasiądą na ławie oskarżonych. I znowu z ich ust usłyszę stek bzdur na swój temat. Odwróciłam się do pani adwokat. W myślach zadawałam sobie tylko jedno pytanie: „Czy proces będzie tak samo straszny jak konfrontacje?”.

Ostatnie starcie

Wtorek, 29 maja 2007 roku. Spojrzałam na budynek, w którym miał się rozegrać ostatni akt mojej tragedii. Sąd w Wersalu. To właśnie tam, w ogromnej sali, której ściany zostały obite mahoniem, a podłoga pokryta białym marmurem, mieli zostać osądzeni moi rodzice adopcyjni. Proces zaplanowano na cztery dni.

Zajęłam miejsce w pierwszym rzędzie obok mojej pani adwokat. Naprzeciwko mnie siedziała przewodnicząca składu sędziowskiego, pani Foncelle, kobieta po pięćdziesiątce, ubrana w długą czerwoną togę i, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, z bardzo krótko obciętymi włosami. Być może pod wpływem obejrzanych filmów spodziewałam się kogoś w śmiesznej białej peruce na głowie, podobnej do tych, jakie nosiło się na dworze Ludwika XIV. Zgodnie z moimi wyobrażeniami sędzia powinien trzymać w dłoni młotek, którym zaprowadza ciszę, i mówić, kiedy należy wstać. Odwróciłam głowę w stronę sali. Ławki powoli zapełniały się ludźmi. W tłumie próbowałam wypatrzeć

Nefertiti. Moja przyjaciółka z pokoju obiecała, że *przyjdzie* na proces, żeby wesprzeć mnie na duchu. Dwoje wychowawców z ośrodka, Sylvia i Francis, także mnie nie zawiodło. Ich obecność trochę mnie uspokajała. Tego ranka nawet nie wiedziałam, jak mam się ubrać, idąc na rozprawę. Sylvia poradziła, że powinnam czuć się jak najbardziej swobodnie i naturalnie. Dlatego założyłam dzinsy, białą koszulę i czarną marynarkę. Byłam mile zaskoczona ilością osób przybyłych do sądu. Gmach szybko wypełnił się fotografami i dziennikarzami, których przyciągnęło nazwisko głównego oskarżonego. Były zawodnik drużyny Paris Saint-Germain sądzony za gwałt na nieletniej - to nie zdarzało się co dzień! Gdy podszedł do mnie operator telewizyjny, żeby sfilmować mnie z bliska, a za nim reporter, który chciał zamienić ze mną kilka słów, odmówiłam. Wszyscy czekali na mnie przed wejściem do budynku, żeby tylko zrobić mi zdjęcie z ukrycia, kiedy będę najbardziej naturalna. Ja jednak miałam ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się grupą żądnych sensacji dziennikarzy. Miejsca dla oskarżonych wciąż były puste. W równym rzędzie zasiadali właśnie adwokaci w czarnych togach. Pierwszy z nich, mężczyzna o okrągłej i nie do końca ogolonej twarzy, był obrońcą babuni. Mecenas Péron wyjaśniła mi, że dwoje pozostałych, łysy mężczyzna i czarnoskóra kobieta, to znani i doświadczeni adwokaci.

- Są lepsi od pani? - zapytałam z niepokojem.

- W każdym razie na pewno bardziej znani — odparła Z uśmiechem.

Nagle przez salę rozpraw przeszedł szmer. Drzwi dla oskarżonych otworzyły się, a w nich pojawił się policjant. Tuż za nim kroczył Godwin. Miał na sobie białą koszulkę polo. Za nim weszła Linda. Miała zaplecione włosy, a na ramionach skórzaną marynarkę. Wyglądała bardzo elegancko. Zmierzyła

wzrokiem zebranych. Wyglądało to tak, jakby kogoś szukała. Zatrzymała się na chwilę, gdy mnie dostrzegła, a na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. Czułam, że zaczynam się trząść, jednak na próżno próbowałam się uspokoić. Pomyślałam o wskazówkach, jakie dała mi Sylvia przed wyjściem na rozprawę.

- Jeśli będziesz się ich bała, pamiętaj, że nikt ci nie każe na nich patrzeć — radziła.

Szybko odwróciłam wzrok w stronę przewodniczącej składu sędziowskiego, która siedziała naprzeciwko. Staralam się skupić uwagę na tym, co robiła. Obserwowałam jej każdy ruch. Obok niej siedział sędzia i wpatrywał się we mnie gniewnym wzrokiem. Wyglądał na zdenerwowanego.

Potem weszła babunia. W odróżnieniu od moich rodziców adopcyjnych nie została osadzona w areszcie i mogła swobodnie się poruszać. Po wejściu na salę sądową wydawała się trochę zagubiona.

Jeden z policjantów pomógł jej i wskazał ławkę, na której usiadła tuż przed głównymi oskarżonymi.

Przewodnicząca poprawiła okulary na nosie i oznajmiła, że zostanie odczytany akt oskarżenia.

— To taki dokument, w którym spisane są wszystkie zarzuty, jakie postawiono twoim rodzicom, czyli

oskarżonym — wyjaśniła mi mecenas Peron. — A oprócz tego jeszcze streszczenie z dochodzenia, a nawet ekspertyzy psychiatryczne.

Ze spuszczoną głową słuchałam tej okropnej historii, która była moim własnym życiem. Nie miałam odwagi podnieść wzroku. Byłam przekonana, że wszyscy patrzą tylko na mnie.

Kiedy nareszcie akt oskarżenia został odczytany, a sąd wezwał pierwszych świadków, czułam się jak bokser po przegranej walce. Ledwo zapamiętałam początek samego procesu. Wszystko było jak za mgłą. Do stanowiska świadków podchodzili jacyś ludzie, stawali kilka metrów ode mnie za szklaną szybką osadzoną na chromowanej barierce. Wysoki sąd zadawał pytania, oni odpowiadali, a potem odchodzili. Nawet nie miałam szans zapamiętać ich twarzy, a także przypomnieć sobie, kim są i jaką rolę odegrali w mojej historii. Nagle jedna z twarzy wydała mi się znajoma. Kim był ten człowiek? Przebiegałam myślą w pamięci, rozgrzebywałam wspomnienia. Na pewno kojarzyłam go z czymś dobrym. Nareszcie! Przypomniałam sobie! Człowiek zeznający przed obliczem sądu to policjant, który opóźnił swój wyjazd na wakacje tylko dlatego, że bardzo chciał mi pomóc. Jako świadek opowiadał o okolicznościach, w jakich wraz ze swoimi kolegami ratował mnie z opresji. Kiedy skończył, rzucił mi serdeczne spojrzenie i wrócił na swoje miejsce wśród publiczności. Dopiero wtedy zorientowałam się, że nawet nie znam jego imienia. Później zeznawali inni policjanci. Mówili głównie o tym, w jaki sposób doszło do zatrzymania Godwina.

- Pojawiliśmy się przed jego domem w Chatou -wyjaśniał jeden ze śledczych. - Pan Okpara otworzył nam drzwi. Kiedy oznajmiliśmy, że przyjechaliśmy w celu przesłuchania, natychmiast odwrócił się do dzieci i krzyknął po angielsku: „Say nothing! Answer nobody!”¹.

Kolejnego świadka rozpoznałam natomiast bez najmniejszego trudu, ponieważ do stanowiska podeszła Sonia, córka znajomych babuni.

- W jakich okolicznościach poznała pani rodzinę Okparów? - padło pytanie.

- Spotkaliśmy się w kościele mormonów - odpowiedziała Sonia. - Moja mama była koleżanką pani Campbell, babci...

- Czy zdawała sobie pani sprawę z tego, w jakich warunkach żyła Tina Okpara?

- Wiedziałam, że mieszka w piwnicy, ponieważ kiedyś poszłam tam za nią.

- Jak była ubrana? - dopytywał sąd,

- Staroświecko.

- Staroświecko? Co pani ma na myśli? Sonia nie odpowiadała.

Sędzina opisała swoje spodnie do biegania i biały podkoszulek.

- A pani? Jak przedstawiłaby pani swój dzisiejszy strój? - zachęcała dziewczynę.

- Mój strój? - Sonia powtórzyła pytanie. - Modny! Jej naiwna odpowiedź wywołała lekki śmiech na widowni. Nawet ja delikatnie uniosłam kąciki ust.

¹ Z ang. „Nic nie mówcie! Do nikogo się nie odzywajcie!” (przyp. tłum.).

Najważniejsze, że i tak wszyscy zrozumieli, co miała na myśli. *Jeszcze* ważniejsze, że dzięki niej choć troszeczkę się rozluźniłam.

Przewodnicząca zerknęła w dokumenty *leżące* przed nią na stole i po krótkim namyśle wezwała kolejnego świadka. Kiedy usłyszałam jego nazwisko, serce podskoczyło mi do gardła.

Drzwi się otworzyły, a ja poczułam, jakby wszystko wokół mnie w jednej chwili zniknęło. Wysoki sąd, publiczność, ława przysięgłych, adwokaci, a nawet sami oskarżeni. Rzeczywistość rozplynęła się w mglistej otchłani, a ja widziałam tylko ją. Magda szła powoli, jakby bała się stanąć przy barierce dla świadków, między mną a Godwinem.

Przedstawiła się i rozpoczęło się przesłuchanie. Opowiedziała o okolicznościach, w jakich zaprzyjaźniła się z małżeństwem Okparów. Nawiazali znajomość dzięki piłce nożnej. Przyjaźnili się, dopóki Godwin nie został przeniesiony do francuskiego klubu. Kolejne pytania skupiły się na mnie.

— Czy wiedziała pani, że Tina jest maltretowana przez swoich rodziców adopcyjnych? - zapytała przewodnicząca.

— Zauważyłam, że była traktowana inaczej niż inne dzieci — odpowiedziała Magda.

— Co ma pani na myśli, mówiąc „inaczej”? — dopytywała sędzina.

— Pracowała niemal bez przerwy, od rana do wieczora. A jej matka nieustannie na nią krzyczała.

— Fałszywa krowa! - Linda poderwała się z ławy oskarżonych i wymierzyła palec w kierunku Magdy.

- Byłaś u nas tylko gościem! Przyjmowałam cię w domu jak rodzinę! Wykorzystywałeś nas! - krzyczała wzburzona.

Jej obrońca próbował ją uspokoić.

- Pani Okpara! Przywołuję panią do porządku! -zainterweniowała przewodnicząca. - Proszę usiąść i spokojnie wysłuchać, co świadek ma do powiedzenia.

- Nazywałaś się moją przyjaciółką! - Linda nie dawała za wygraną. - A teraz mnie oczerniasz! Kłamczucha! Zdrajczyni!

Policjanci złapali ją i siłą posadzili miejscu. Jej twarz była wykrzywiona z wściekłości. Obok z twarzą ukrytą w dłoniach siedział Godwin.

W końcu nadeszła pora przesłuchania Lindy.

- W jakich okolicznościach adoptowała pani Tinę? -padło pierwsze pytanie.

- Tina była córką jednego z naszych przyjaciół w Lagosie, stolicy Nigerii - zaczęła Linda. - Gdy zmarła jej matka, ojciec nie wiedział, co z nią zrobić. Tina prowadziła bardzo rozwiązły tryb życia. Sypiała ze wszystkimi mężczyznami, nawet ze swoim bratem. Uprawiała prostytutkę już w wieku dziewięciu lat. Jej ojciec błagał, Żeby ją stamtąd zabrała. Twierdził, że jestem jedyną osobą, dzięki której ta ladaczniczka wyjdzie na prostą drogę.

- Czy pani kupiła to dziecko? - padło kolejne pytanie.

Kupiła? Do głowy mi nie przyszło, że mogło mnie spotkać coś podobnego! Kim wobec tego byłam? Rzeczą? Niewolnikiem?

- Nie - odpowiedziała Linda.

Przewodnicząca przejrzała teczkę z dokumentami dotyczącymi sprawy i wyciągnęła jakąś kartkę, po czym zwróciła się do Godwina.

— Podczas przesłuchania powiedział pan, że zapłacił ojcu Tiny trzydzieści tysięcy naira, czyli równowartość trzystu siedemdziesięciu pięciu euro, w dwóch ratach,

— Wszystko po to, żeby mu pomóc — bronił się Godwin. - Dałem mu te pieniądze, ponieważ bardzo go lubię. Mówił, że chce sobie kupić motor.

Okparowie kontynuowali składanie zeznań przed sądem. Mnie było już wszystko jedno. Pytania, odpowiedzi, zapewnienia, deklaracje jednej czy drugiej strony... Wszystko straciło sens. W głowie miałam tylko jedno. Słowa, które odebrały mi człowieczeństwo i nagle unicestwiły: „Zostałam kupiona! Sprzedano mnie!”. Trzysta siedemdziesiąt pięć euro! Jak mój ojciec mógł zrobić coś takiego?

Ledwo zdałam sobie sprawę, że publiczność podniosła się z miejsc i ruszyła do wyjścia. Nefertiti, Sylvia i Francis podeszli do mnie i ciasno otoczyli. Mówili coś, ale ich nie słyszałam. Nawet na nich nie patrzyłam. W głowie miałam szum. Myślałam tylko o jednym: „Trzydzieści tysięcy naira. Trzysta siedemdziesiąt pięć euro. Dla nich tyle byłam warta. Taka była cena mojego życia...”.

Proces wznowiono. Kolejna część zaczęła się od wyemitowania nagrania z przesłuchania mnie w pokoju sędziny. obrońcy oskarżonych wnieśli sprzeciw, który został odrzucony.

— To część materiału dowodowego — tłumaczyła mecenas Peron, ani na moment nie podnosząc głosu.

To właśnie ona dostarczyła nagranie, a przewodnicząca składu sędziowskiego, pani Foncelle, wyraziła zgodę na jego publiczne odtworzenie. Byłam tak rozbita, że miałam problemy z rozpoznaniem samej siebie na ekranie. Mój głos płynący z głośników sprawił, że nie wytrzymałam i ponownie się rozkleiłam. Płakałam podwójnie - na ekranie telewizora i w sali sądowej.

Emisja została zakończona i nastąpił moment, którego najbardziej się obawiałam. Przewodnicząca wezwała na świadka pannę Tinę Okparę. Poczułam na sobie wzrok Lindy, podobnie jak podczas konfrontacji.

— Czy mogłabyś nam opisać, jak wyglądał twój dzień w willi w Chatou? - zaczęła sędzina.

Mówiła spokojnie, powoli i wyraźnie. Wiedziałam, że nie chce mnie stresować. Odpowiadałam ze ściśniętym gardłem, głosem drżącym z emocji.

- Wstawałam o piątej rano. Przygotowywałam ubrania i jedzenie dla dzieci, następnie je budziłam, podawałam śniadanie i odprowadzałam do szkoły. Pędem wracałam do domu, bo drobne opóźnienie mogłoby rozgniewać moją matkę adopcyjną. Chwytałam za odkurzacz, potem za szmatę do podłóg, a następnie szykowałam śniadanie dla Lindy. Popołudniu przychodził czas na pranie. Ubrania, bielizna, pościel. Prałam ręcznie, ponieważ nie miałam prawa korzystać z pralki.

— Dlaczego? — zdziwiła się przewodnicząca.

- Matka twierdziła, że jestem zbyt głupia... Potem prasowałam, gotowałam, zajmowałam się ogrodem. Nigdy nie kładłam się przed północą.

— Czy rodzice cię bili?

— Babcia mnie policzkowała. Pan Okpara także mnie bił, jednak najczęściej to jego żona podnosiła na mnie rękę. Waliła mnie po głowie czym popadło: narzędziami ogrodniczymi, garnkami, butami...

— To kłamstwo! Wszystko, co mówi ta dziewczyna, to bzdury! Traktowałam ją na równi z pozostałymi dziećmi. Żyła tak jak one! Jadła razem z nimi! — Linda kolejny raz nie wytrzymała napięcia i podniosła się z krzykiem.

— Spójrz mi w oczy! — wrzeszczała w moim kierunku. — Spójrz na mnie, ty obrzydliwa kłamczucho, i powtórz to, co przed chwilą powiedziałaś!

Odwróciłam się w jej stronę. Wiedziałam, że stamtąd mnie nie dosięgnie. Już nie mieszkałam z nią pod jednym dachem. To dodało mi odwagi.

— Już się ciebie nie boję — powiedziałam, patrząc jej prosto w oczy.

— Czy prawdą jest, że nigdy nie poszłaś do szkoły? — pytała dalej sędzina.

— To prawda — odparłam. — I to było najgorsze. Kiedy wyjeżdżałam z Nigerii, obiecywano mi, że będę się uczyć, tymczasem...

— Pani Okpara! — Przewodnicząca zwróciła się w stronę oskarżonej. - Dlaczego nie posłała pani swojej adopcyjnej córki do szkoły?

— Była na to za głupia — odparowała Linda. — Miała zbyt niski poziom. Nauka nie była jej do niczego potrzebna.

Przewodnicząca znowu na mnie spojrzała.

- Opowiedz o tym, co się zdarzyło między tobą a Godwinem Okparą - zniżyła głos.
- Kolejny raz byłam zmuszona uzewnętrznić najgorsze chwile mojego życia. Zawstydzona i upokorzona zaczęłam opowiadać, jak Godwin zaprowadził mnie do piwnicy. Powiedziałam o Bożym Narodzeniu i zdarzeniu z butlą gazową, a także o wszystkich pozostałych gwałtach...
- Czy przyznaje się pan do relacji seksualnych ze swoją córką adopcyjną? - spytała przewodnicząca.
- To zdarzyło się tylko raz — odparł Godwin. — W owym czasie odszedłem z klubu Paris Saint-Germain, a drużyna Standardu nie przedłużyła ze mną kontraktu. Nie miałem gdzie się podziać, obawiałem się o swoją przyszłość...
- Nie interesuje nas pana kariera zawodowa, panie Okpara - przerwała mu przewodnicząca. - Pytałam, czy miał pan stosunki seksualne ze swoją córką.
- Tego dnia wypilem chyba trzy butelki wódki - ciągnął Godwin. — Ja, który nie nawykłem do nadużywania alkoholu. Poczulem się źle, więc poszedłem się położyć. Potem do mojego pokoju weszła Tina. Ja do niczego jej nie zmuszałem. Prawda jest taka, że nie przespałem się z nią. To ona przespała się ze mną. To było wtedy, gdy nakryła nas moja żona.
- Co się wydarzyło, kiedy przyłapała was pani Okpara? — To pytanie zostało skierowane do mnie. Wciąż płakałam, trzymając się kurczowo poręczy na miejscu dla świadków.
- Musiałam się ratować. Wybiegłam z domu, ale nie wiedziałam, dokąd pójść, więc... wróciłam do domu.

Linda zaprowadziła mnie do pokoju i rozkazała, żebym rozebrała się do naga. Ogoliła mi głowę. Później poszła do kuchni i przyniosła strzykawkę wypełnioną gorącym sosem paprykowym. Ciągnęłam opowieść. Z sali zaczęły dochodzić stłumione pojękiwania i westchnienia. Kilka osób zaczęło popłakiwać. A ja mówiłam, mówiłam, mówiłam... Streszczałam swoje tragiczne życie w willi Okparów.

- Linda poszła po żyletkę. Za jej pomocą wykonała dwa głębokie nacięcia w moim podbrzuszu. Potem kazała uważać na dywan, którego nie miałam prawa zachłapać krwią, i wyszła.

Skończyłam. To był punkt kulminacyjny okrucieństwa, jakiego doznałam od rodziców adopcyjnych. Ponownie zajęłam miejsce obok mecenasa Peron. W sali sądowej emocje były wręcz namacalne. Zaległa grobowa cisza. Długa i ciężka cisza. Nikt nie śmiał odezwać się pierwszy. W końcu głos zabrała przewodnicząca składu.

- Czy wciąż pani wszystkiemu zaprzecza? - zwróciła się do Lindy.

- Jestem niewinna! Ona kłamie!

- Pani Campbell, tego dnia była pani w domu. Co ma pani do powiedzenia? - zwróciła się przewodnicząca do babuni.

- Nie wiem - zaczęła marudnym tonem. - Linda powiedziała, że Tina uwodziła swojego ojca. Poszłam ją zobaczyć. Płakała, więc ją przytuliłam, żeby pocieszyć,

- To nieprawda! Wszystko widziałaś, ale nic nie zrobiłaś! - Tym razem to mnie za bardzo poniosło.

Sama zdziwiłam się tym zachowaniem. Zanim rozpoczął się proces, byłam zupełnie przerażona, a teraz w obliczu wspierającej mnie publiczności czułam, jak wzbierają we mnie siły do obrony.

— Zawsze powtarzałaś, że jesteś wierząca. Osoby wierzące nie kłamią! Nadszedł dzień, w którym trzeba powiedzieć prawdę. Byłaś tam wtedy ze mną i mówiłaś, że muszę cierpliwie poczekać, aż Lindzie minie złość.

— Nic takiego sobie nie przypominam — oznajmiła babunia. — Przysięgam na Pismo Święte, że nic nie widziałam.

W piątek, 1 czerwca, proces się zakończył.

Podczas tych czterech dni wylałam nieprawdopodobną ilość łez. Doświadczyłam tak wielu silnych emocji, że czułam się zupełnie zmiażdżona. Mecenas Peron kolejny raz cierpliwie mi wyjaśniła, co może się wydarzyć. Jako pierwsza miała przemówić pani Chapelle, prokurator generalna. Występując w imieniu społeczeństwa, powinna zaproponować najbardziej słuszną karę.

— Tina została uwięziona — rozpoczęła prokurator. — Co gorsza, ta młoda dziewczyna była zmuszana do zaspokajania seksualnych żądz pana domu, który gwałcił ją — swoją córkę! — przez dwa lata. Kiedy sprawa się wydała, jego żona, Linda Okpara, dała przykład niesłuchanego wręcz sadyzmu. Dla obojga żądam zatem kary od dziesięciu do dwunastu lat pozbawienia wolności. Jeśli zaś chodzi o panią Badejoko Campbell, która wszystko widziała i mogła przyjść z pomocą Tinie, lecz tego nie uczyniła, żądam trzech lat więzienia w zawieszeniu na trzydzieści miesięcy.

Z miejsca podniosła się mecenas Peron. Była bardzo spokojna.

— W Nigerii trzy czwarte ludności żyje za mniej niż jednego dolara dziennie — mówiła ciepłym głosem, a każde jej słowo było wyważone. — Tina pochodzi ze skromnej rodziny. Jej biologiczni rodzice starali się, żeby zapewnić dzieciom godne życie. Dzięki temu nigdy nie narzekali na biedę, a na talerzach zawsze było jedzenie. Jednak kiedy zmarła matka Tiny, zaczęły się napięcia między teściową a jej ojcem. Wtedy pojawili się Godwin i Linda Okparowie, którzy zaproponowali adopcję dziewczynki. Możliwe, że próbowali wywrzeć presję. Pamiętajmy, że to dzięki pomocy Godwina ojciec Tiny miał pracę i dach nad głową. Wiemy jednak na pewno, że z ich ust padło wiele obietnic. Tina miała zdobyć wykształcenie i dostać szansę na lepszą przyszłość. Nie zabrakło także wsparcia finansowego. Tina nie została sprzedana przez własnego ojca. Ona została kupiona przez państwa Okparów, którzy postanowili wykorzystać ją jako służącą.

Na sali sądowej zapadła cisza. Nawet Linda umilkła.

— Kim jest Linda Okpara? — kontynuowała pani mecenas. — Bez wątpienia kobietą inteligentną, energiczną, błyskotliwą, a jednak całkowicie pozbawioną matczynej miłości. Nie potrafi kochać i myśli tylko o jednym: sukcesie finansowym. Zgromadziła zresztą niemałą fortunę. Cztery domy w Nigerii, piąty w budowie, apartament w Nowym Jorku, willa w Chatou. I to bez zaciągania żadnych długów! To również kobieta dominująca, apodyktyczna i despotyczna, twardą ręką

sprawująca *władzę* nad swoim mężem, dziećmi i domem. Najmniejsze przewinienie lub sprzeciw doprowadzały ją do bezgranicznej furii.

Mecenas Peron odwróciła się w stronę ławy oskarżonych.

Linda patrzyła na nią wściekłym wzrokiem.

- Zresztą przykład napadu szału w wykonaniu pani Okpary mieliśmy okazję oglądać niedawno na tej sali -dodała adwokat, po czym przeszła do ataku na Godwina. - Dobrze wiedział, że Tina spała w piwnicy. Traktował ją wyjątkowo bezwzględnie, kazał wyładowywać ciężkie drewno i rąbać je na mniejsze szczapy. Podczas gdy Tina to robiła z wysiłkiem, on stał obok z rękami w kieszeniach.

Później zaczął ją gwałcić, z czasem coraz częściej. Do tego doszło bicie, zastraszanie...

Wykorzystywał ją do tego, czego nie mógł osiągnąć z własną żoną. Tina była zdana na jego łaskę, o czym ten dobrze wiedział. Teraz wszystkiemu zaprzecza. Nie ma nawet odwagi przyznać się do błędu i przeprosić za krzywdy wyrządzone temu dziecku.

Nadeszła kolej na babunię.

- Ta kobieta mogła być dla Tiny ratunkiem, jednak wolała pozostać narzędziem w rękach Lindy.

Mecenas Peron zakończyła swoje przemówienie i na chwilę zamilkła.

- Wszyscy są winni — powiedziała wreszcie. - Winni wywiezienia dziecka z ojczyzny i skazania go na życie w nieludzkich warunkach, z dala od rodziny, przyjaciół, bez możliwości uczęszczania do szkoły tylko po to, żeby uczynić je całkowicie poddanym i zależnym od innych

w obcym kraju. We francuskiej terminologii prawniczej słowo „niewolnictwo" nie istnieje. Uznają to zatem za zbrodnię przeciwko ludzkości.

Na koniec zwróciła się do sędziów z żądaniem dwudziestu lat pozbawienia wolności dla Godwina, dziesięciu lat dla babuni, dla Lindy natomiast... dożywocia!

Następnie głos zabrał obrońca Godwina, łysy adwokat w okularach o cienkich oprawkach, Joseph Cohen-Sabban. Aby jakoś wesprzeć swój wywód, nieustannie wykonywał przerysowane gesty. Kiedy szeroko rozkładał ręce, wyglądał jak potężny czarny ptak. Trzeba przyznać, że robiło to wrażenie.

Przywoływał trudne dzieciństwo Godwina. Nazywał go dzieckiem o złotych nogach. Tłumaczył, że sława, pieniądze i sukces, jakie zbyt szybko przyszły, doprowadziły do chwilowego zagubienia.

— Ze względu na ogromną karierę piłkarską, człowiek ten — tu wskazał na Godwina — nie zdążył dojrzeć psychicznie. Pan Okpara jest wyjątkowym sportowcem, jednak czasami jego psychika funkcjonuje jak u dwunastoletniego chłopca. Jego żona jest osobą dominującą, całą rodzinę trzyma bardzo krótko. A ponadto Godwin nigdy nie nauczył się traktować Tiny jak własnej córki.

Pani Françoise Cotta, która następna zabrała głos, podobnie jak jej poprzednik zamiast przedstawiać rzeczowe argumenty, wołała machać rękami, wprawiając w ruch togę. Chodziła w tę i z powrotem po całej sali i skandowała ten sam refren: „To nie takie proste! To nie takie proste!". Jakby chciała siłą wbić te słowa w głowy wszystkich sędziów.

- To nie takie proste, kiedy jest się potomkiem niewolników! - oznajmiła. - Nie tak łatwo być biedną, małą dziewczynką. To nie takie proste wzbogacić się w ciągu krótkiego czasu dzięki mężowi, który jest sławnym piłkarzem...

Wydawało się, że Linda jest czysta jak łza, a to ja jestem wszystkiemu winna. Na koniec wystąpił Florent Hauchecorne, który zwyczajnie i bez żadnych skrępowań zażądał całkowitego uniewinnienia babuni. Według niego bowiem w sprawie nie było nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób ją obciążyć. Nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Wszystkie mowy obrończe adwokatów moich oprawców wydały mi się lepsze od tej, jaką przedstawiła mecenas Peron. Ci ludzie mówili dłużej, głośniejsze, a poza tym specyficznie gestykulowali. A co, jeśli Godwin i Linda wyjdą z tego obronną ręką? Co wtedy stanie się ze mną? Z powrotem odeślą mnie do nich? Wszystko zacznie się od nowa?

Przewodnicząca składu zapytała oskarżonych, czy mają jeszcze coś do dodania, zanim sędziowie udadzą się na naradę.

I wtedy podniósł się Godwin. Spojrzał w moją stronę.

- Jest mi przykro z powodu krzywd, jakie wyrządziłem ci zarówno ja, jak i cała moja rodzina.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym dorzucił jeszcze jedno słowo.

- Przepraszam.

- Pani Okpara? - zapytała przewodnicząca.

- Nie mam nic do powiedzenia - mruknęła. Potem sędzina zwróciła się do mnie.

— Tino, czy chciałabyś coś dodać?

Podniosłam się i powoli odwróciłam w stronę ławy oskarżonych.

- Nie mnie osądzać to, co zrobili. To zadanie wysokiego sądu. Ja chciałabym tylko uciec jak najdalej i nigdy więcej ich nie spotkać. Nigdy. Ale nie było moim celem, żeby z mojej winy poszli do więzienia...

Publiczność opuściła salę w wielkim zgiełku. Linda z Godwinem zostali wyprowadzeni przez policjantów. Nie wiedziałam, co zrobić.

— W oczekiwaniu na werdykt pójdziemy napić się kawy — zaproponowała mecenas Peron.

Staliśmy przy stoliku w niewielkiej kawiarni niedaleko Pałacu Sprawiedliwości. Nefertiti nie zamykała się buzia. Sylvia była niespokojna. Jak długo sędziowie mogą się naradzać? Czy Linda z Godwinem mogli zostać uniewinnieni? A dlaczego, jeśli tak? Dlaczego, jeśli nie? Mecenas tłumaczyła nam różne kwestie prawne i zalecała cierpliwość. W myślach przypominałam sobie przebieg procesu.

Przed dwudziestą wróciłyśmy do siedziby sądu. Kilka minut później na salę weszli przysięgli.

Wszyscy wstali w oczekiwaniu na ogłoszenie wyroku. Odczuwało się wielkie napięcie. Ja też byłam niespokojna i bardzo zdenerwowana. W końcu na polecenie przewodniczącej składu jeden z przysięgłych oznajmił: „Godwin Okpara: winny! Linda Okpara: winna! Badejoko Campbell: winna!”. Wymiar kary dla poszczególnych skazanych ogłosiła sama przewodnicząca składu. Piętnaście lat pozbawienia

wolności dla Lindy. Trzydzieści lat pozbawienia wolności dla Godwina. Pięć lat, w tym cztery lata w zawieszeniu, dla Badejoko⁶.

Spojrzałam na mecenas Péron, dając jej do zrozumienia, że nie do końca rozumiem, o co chodzi z tym zawieszeniem. Kiedy zaczęła mi tłumaczyć, na sali podniosły się krzyki.

Niczym niewzruszony Godwin siedział na ławie oskarżonych. Linda zaczęła się więc, krzycząc jak opętana

1 uderzać czołem w barierkę.

- Ludzie! Ludzie! - wrzeszczała.

Dalszego ciągu jej wypowiedzi już nie rozumiałam. Chyba rzucała jakieś przekleństwa. Policjanci próbowali nad nią zapanować.

- Dziękuję, Tino! - zdołała jeszcze krzyknąć. - Dziękuję i powodzenia we Francji!

Po chwili straż wyprowadziła ją na zewnątrz i krzyki ucichły. To był prawdziwy koniec. Koniec największego koszmaru.

Podszedł do nas jakiś mężczyzna. To przysięgły, który na początku procesu patrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Tym razem na jego twarzy zagościł promienny uśmiech. Chwycił dłoń pani Péron i uściśnął je w serdecznym geście.

- Brawo, pani mecenas! - gratulował jej. - Brawo!

⁶ W lutym 2008 r. postanowieniem sądu apelacyjnego w Hauts-de-Seine karę więzienia dla Godwina Okpary skrócono do dziesięciu lat pozbawienia wolności. Kara piętnastu lat pozbawienia wolności dla Lindy Okpary została podtrzymana. Kara dla Badejoko Campbell została zamieniona na cztery lata pozbawienia wolności, w tym osiemnaście miesięcy bezwzględnego więzienia (przyp. tłum.).

Przywrocona do zycia

Nadszedł czas, że byłam na tyle silna i niezależna, aby rozpocząć samodzielne życie. Tak postanowili moi wychowawcy. Powiedzieli, że mam prawo być z siebie dumna. I byłam. Z jednej strony byłam dumna i szczęśliwa, a z drugiej — smutna. Szczęśliwa, ponieważ otwierało się przede mną nowe życie. Smutna, ponieważ musiałam opuścić przyjazne i bezpieczne gniazdko, jakim było mieszkanie w Fontenay, gdzie zdażyłam już nabrać codziennych nawyków.

Jakiś czas później zamieszkałam w spokojnej dzielnicy, w niewielkiej, dwudziestometrowej kawalerce. Tym razem całkiem sama. Żadnych współlokatorek, koleżanek za ścianą ani wychowawców śpiących na łóżku polowym w pokoju obok. Od nowa uczyłam się życia. Chociaż... może nie do końca całkiem sama. Każdego wieczoru do moich drzwi pukał nadzorca. Jeśli nie otwierałam, wyciągał klucze zapasowe i wchodził do mieszkania, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. Najczęściej zastawał mnie śpiącą. Wtedy cicho zamykał

drzwi i odchodził. Jego obecność dawała mi poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie nie pozwalała na całkowite usamodzielnienie. A ja miałam już wielką potrzebę życia jak inne dziewczyny w moim wieku. Po kilku dniach poprosiłam nadzorcę, żeby przestał przychodzić. Świadomość, że w razie potrzeby mogę go w każdej chwili zawiadomić, w zupełności mi wystarczała.

Wiedziałam, że Godwin i Linda pozostaną na długie lata w więzieniu. Niestety jeszcze nikt nie wymyślił miejsca, w którym można by zamknąć wszystkie koszmarne przeżycia. Czasami nocą nawiedzały mnie przerażające wizje, a demony przeszłości zatruwały mi życie. W takich chwilach czułam się, jakbym spadała w piekielną czeluść. Bywało, że śniłam, jak schodzę po schodach coraz niżej i niżej, aż trafiam do ciemnej, wilgotnej i posepnej piwnicy podobnej do tej z willi Okparów. Wokół widziałam obrazy z mojego życia. Na jednym z nich dostrzegłam sąsiadkę w Lagosie, która krzyczała, że moja mama umrze. Na innym dostrzegłam ojca obejmującego mnie na lotnisku. Były też obrazy przedstawiające Godwina. Takie, na których mnie gwałcił, i inne, na których na kolanach błagałam go o przebaczenie. Jednak na większości z nich widziałam Lindę, która mnie bije; Lindę, której muszę masować stopy; Lindę, która mnie wyzywa, goli głowę, wstrzykuje do pochwy gorący sos paprykowy, rozcina...

Oto moje piekło. Stałam się kustoszką w muzeum własnych koszmarów, skazaną na ich wieczne oglądanie.

„*I co teraz ze sobą zrobisz?*” - często słyszałam to pytanie, od kiedy zakończył się proces. „Zostanę

pielegniarką!" — odpowiadałam. Nie było to proste dla kogoś, kto nawet nie otrzymał odpowiedniego wykształcenia, ale ja się zapałam, starałam z całych sił i ciężko pracowałam.

We wrześniu 2006 roku zdałam egzamin — część pisemna była po francusku! — i otrzymałam certyfikat pierwszego stopnia w gerontologii i tytuł opiekuna starszych osób. Dokument był wydany przez Czerwony Krzyż. Dzięki temu znalazłam pracę w domu opieki. Szybko nauczyłam się pracować w grupie, poznałam środowisko medyczne, opiekowałam się ludźmi potrzebującymi pomocy, zaprzyjaźniłam się z kilkoma pielegniarkami...

Za punkt honoru postawiłam sobie, że zawsze będę pogodna i uśmiechnięta. Mazgajstwo zabronione! Każdego dnia pragnęłam dawać szczęście i radość starszym ludziom. Miłe słowa, okazanie zainteresowania — nic mnie to nie kosztowało. A kiedy widziałam, jak dzięki mnie na ich pomarszczonych twarzach rozkwita uśmiech, siwe włosy na chwilę nabierają dawnego koloru, ręce i nogi stają się bardziej sprawne, a głosy mniej drżące, byłam najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Ich pogoda ducha działała jak balsam na moje poharatane serce. Jedyne niepokój wzbudzała świadomość, że moi wiekowi podopieczni pewnego dnia odejdą. I to niestety się zdarzało...

Tego, co przeżyłam, nie opowiadałam żadnemu ze współpracowników. Chciałam być młodą dziewczyną jak każda inna. Nie potrzebowałam ani litości, ani specjalnych przywilejów. Skrzętnie ukrywałam swoją smutną przeszłość. A nie zawsze było to łatwe...

Pewnego dnia Aminata zapytała, czy chciałabym pójść z nią na zakupy. Z radością przyjąłem jej zaproszenie. Bardzo ją lubiłem i przyjemnie się z nią pracowało. Z biegiem czasu nasza znajomość się zacieśniła. Poszliśmy razem pobuszować po sklepach. Po pierwszym wspólnym wyjściu nastąpiły kolejne. Często się śmiałyśmy i wygłupiałyśmy. Przyjaciółka chciała wiedzieć, skąd pochodzę, jakie mam korzenie. Odpowiedziałam, że z Nigerii, a dokładnie z Lagosu. W moich opowieściach jednak było wiele białych plam. I właśnie te najbardziej ją intrygowały. Jej pytania stawały się coraz bardziej szczegółowe i natarczywe. Zajęło mi trochę czasu, zanim przemyślałam tę kwestię, czyjej coś zdradzić. Zastanawiałam się, czy mogę zaufać koleżance z pracy.

Pewnego dnia znowu zapytała mnie o jakiś szczegół i wtedy postanowiłam powiedzieć jej prawdę. Słuchała mnie w milczeniu. Historia mojego życia mocno ją wstrząsnęła. Przeraziła ją i zaszokowała. Zapewne domyślała się, że coś przed nią ukrywam, ale chyba nie spodziewała się aż takich rewelacji.

- Nic nikomu nie powiem - oświadczyła. - Obiecuję. Nigdy i nikomu.

I dotrzymała słowa. Nikt nie usłyszał od niej tego, co mi się przydarzyło.

Był jeszcze jeden problem. Nazwisko Okpara było dość znane, a fani piłki nożnej nie zapominają tak łatwo swoich ulubionych zawodników. Kiedy się przedstawiałam, czasami mój rozmówca pytał: „Okpara? Z rodziny tego piłkarza?”. W takich momentach udawałam, że nie mam pojęcia, o czym ten ktoś mówi. „Piłkarza? Jakiego

piłkarza?" Wtedy osoba, z którą rozmawiałam, zaczynała szczegółowo objaśniać, kim jest najlepszy zawodnik drużyny Paris Saint-Germain i że siedzi w więzieniu za molestowanie córki. „To ty o tym nie słyszałaś?” — pytali ze zdziwieniem. „No, jakoś nie” — odpowiadałam i dodawałam, że nazwisko Okpara jest w Nigerii bardzo popularne.

Każdego dnia musiałam mieć się na baczności. Nigdy nie wiedziałam, kiedy moja historia stanie się tematem rozmów. Pewnego razu koleżanka z pracy, którą zresztą bardzo lubiłam, zaprosiła mnie i inne dziewczyny na poga-duszki do swojego domu. Była to bardzo wesoła, towarzyska i lubiąca żarty dziewczyna. Czasami dla kawału naśmiewała się z mojego kiepskiego francuskiego.

— Tak długo już mieszkasz we Francji, a mówisz, jakbyś wczoraj zaczęła chodzić do szkoły!

Cóż, skąd mogła wiedzieć, że to, co mówi, w pewnym sensie jest prawdą? Nie domyślała się, że takimi żartami przypomina mi moją straszną przeszłość. Linda zawsze powtarzała, że jestem za głupia, żeby iść do szkoły. W takich momentach robiło mi się przykro.

Któregoś wieczoru ja i moi znajomi siedzieliśmy u koleżanki z pracy. W tej grupie znalazły się też inne dziewczyny i jeden chłopak z rodziny gospodyni. Trwała luźna rozmowa. W pewnej chwili spostrzegłam, że chłopak przygląda mi się uważnie. Czy to moje nazwisko wzbudziło w nim taką ciekawość? A może moja twarz? W końcu stwierdził, że skądś mnie zna, jednak nie potrafił sobie przypomnieć skąd. Ja byłam pewna, że nigdy wcześniej go nie spotkałam.

Impreza dobiegła końca, a ja zapomniałam o całym zdarzeniu.

Kilka dni później w pracy podeszła do mnie koleżanka.

- Chodź ze mną do parku. Muszę ci coś powiedzieć. Znając ją, spodziewałam się kolejnego żartu, jednak

tym razem jej twarz była wyjątkowo poważna. Z kieszeni wyciągnęła artykuł wydarty z *gazety*. Jego tytuł od razu rzucił mi się w oczy: „Godwin Okpara skazany na więzienie za gwałcenie córki”.

- To ty? - zapytała.

Co miałam odpowiedzieć? Kolejny raz zaprzeczyć?

- Tak, to ja.

Wtedy koleżanka przyznała się, że jej krewnemu nie dawała spokoju moja twarz i postanowił sprawdzić, skąd mnie zna, a wtedy trafił właśnie na ten artykuł. Powiedziała, że jest jej przykro i nie wie, jak zareagować. Przeprosiła mnie za wszystkie żarty, jakie do tej pory robiła. Gdyby tylko wiedziała, nie pozwoliłaby sobie na nie... Uspokoiałam ją. Skąd mogła wiedzieć? A za dowcipy ani trochę się nie gniewałam. Chciałam być traktowana jak inni. Nie miałam zamiaru na zawsze pozostać ofiarą Lindy i Godwina Okparów!

W końcu wyprowadziłam się także ze strzeżonej kawalerki. Tam, gdzie zamieszkałam, nie było ani strażnika, ani wychowawców. Niestety nadal towarzyszyły mi koszmary, których nie mogłam się tak łatwo pozbyć. Nie opuściło mnie również poczucie strachu. Czasami wydawało mi się, że widzę Godwina na ulicy. Wtedy wpadałam w panikę na myśl o tym, że mógł wyjść

z więzienia i chce się na mnie zemścić. Na szczęście były to tylko przywidzenia. Nadal byłam ofiarą, ale męczących złudzeń.

Kiedy jeszcze mieszkałam w piwnicy Okparów, zapisałam w swoim pamiętniku następujące słowa: „Czy kiedyś znajdzie się ktoś, kto będzie chciał mnie po prostu wysłuchać?”. Odkąd stałam się wolnym człowiekiem, spotkałam mnóstwo takich osób. Udało mi się nawet odwiedzić Lagos, gdzie zostałam przyjęta z otwartymi ramionami przez swoich braci z rodzinami. Ich miłość i ciepło dały mi niesamowitą energię i siłę. Bez nich nie wytrzymałabym w postanowieniu, żeby być taką samą dziewczyną jak inne.

Posłowie

Obcisła bluzka, modne dzinsy, dyskretny makijaż... Dzisiaj Tina wygląda jak inne dziewczyny w jej wieku. Czasami nosi kolorowe soczewki kontaktowe, które cudownie podkreślają błękit jej oczu. Słucha młodzieżowej muzyki, uwielbia chodzić na zakupy i dyskoteki z przyjaciółkami. Pod ciepłym uśmiechem skrywa jednak bolesną przeszłość. Już od pierwszego spotkania z nią wiedziałem, jaki jest powód jej rozżalenia. — Nie posłali mnie do szkoły — zwierzyła się. Wtedy zobaczyłem łzy płynące po jej policzkach. Uświadomiłem sobie, że to, co sprawiało jej największy ból, to nie warunki, w jakich przyszło jej żyć, nie wyzwiska ani nawet przemoc fizyczna, jakiej doświadczała... Tina doskonale rozumiała, że największą krzywdą, jaką wyrządzili jej rodzice adopcyjni, było odebranie jej szansy na zdobycie wykształcenia i przekreślenie planów na przyszłość. Międzynarodowe Biuro Pracy na 250 milionów szacuje obecnie liczbę dzieci między piątym a czternastym

rokiem życia poddanych niewolnictwu na świecie. To niewyobrażalna grupa nieletnich, którzy w nieludzkich warunkach harują tylko po to, żeby zaspokoić potrzeby społeczeństwa konsumpcyjnego¹. Te dzieci są bite i upokarzane przez swoich „właścicieli”, a niejeden cios okazuje się śmiertelny. Sami często nie zdajemy sobie sprawy z ogromnych rozmiarów tego zjawiska. Życie dzieci w boliwijskich kopalniach to prawdziwe piekło. Młodzi chłopcy ze względu na szczupłą budowę ciała są opuszczani do wąskich korytarzy ciągnących się głęboko pod powierzchnią ziemi. Są narażeni na kontakt z trującymi substancjami, z których wytrąca się cynę. Poza tym po wyjściu z podziemi chłopcy są bici i tyranizowani przez pijanych dorosłych mężczyzn.

W Indiach 420 tysięcy dzieci wykorzystuje się jako tkaczy w przemyśle dywanowym. Te, które siłą zmuszane są do pracy w hutach szkła, harują niczym piekielni potępieńcy w pobliżu pieców rozgrzanych do tysiąca sześciuset stopni,

W Bangladeszu, Nepalu i na Sri Lance dzieci przymuszane są do pracy na plantacjach herbaty. W Zimbabwie muszą zbierać bawełnę i ziarna kawowca przez sześćdziesiąt godzin w tygodniu. W Brazylii niemal 3 miliony nieletnich w wieku od dziesięciu do czternastu lat od rana do nocy przebywa na

plantacjach sizalu⁷, herbaty, tytoniu, bawełny i trzciny cukrowej.

W Republice Dominikany przybyli z Haiti chłopcy między ósmym a piętnastym rokiem życia pracują na plantacjach trzciny cukrowej po dwanaście godzin, siedem dni w tygodniu. Śpią w barakach, nie mają dostępu do bieżącej wody, elektryczności i toalety. Strażnicy nie spuszczaają z nich oka i pilnują, żeby żaden z niewolników się nie wymknął.

Z drugiej strony wyspy, na Haiti, niewolnictwo dzieci jest tradycją. Mimo że o tym się nie mówi, ten system funkcjonuje w całym kraju. Ci mali pracujący niewolnicy nazywani są Restavec³. Wyrwani z bardzo biednych rodzin są przekazywani do innych, troszkę lepiej sytuowanych. Targu dobija się w sposób następujący: jedzenie i edukacja w zamian za kilka godzin pracy w tygodniu. W rzeczywistości Restavec stają się domowymi niewolnikami na łasce pana. Pracują od bladego świtu do późnej nocy. Ich zadaniem jest noszenie wody, sprzątanie, pranie, odkurzanie, przygotowywanie posiłków, a także opieka nad dziećmi właścicieli. Śpią na ziemi w kącie, na stercie starych szmat lub po prostu na zewnątrz. Żywią się resztkami jedzenia. Bez zalegalizowanego pobytu nie mają żadnych praw, co często wykorzystują ich „właściciele”, kiedy chcą się pozbyć tych dziecięcych niewolników.

² Twarde i bardzo wytrzymałe włókno otrzymywane z rośliny zwanej agawą sizalową (przyp. tłum.).

⁵ Wyraz utworzony od dwóch francuskich słów: „rester - pozostawać, i „avec” - z. Dzieci niczym zwierzęta muszą pozostawać w zasięgu głosu

Gdy ci dorosną, bez żadnych skrupułów wyrzucają ich na ulicę. Wtedy chłopcy wkraczają najczęściej na drogę *przestępczą*., *zaczynają kraść*, a nierzadko dopuszczają się morderstw. Dziewczęta z kolei prostytuują się wzdłuż alei cmentarza w Port-au-Prince, gdzie AIDS zbiera największe żniwo⁸.

Od czasu do czasu zaczyna być głośno o niewolnictwie dzięki opublikowaniu historii konkretnego dziecka. W 1995 roku mogliśmy poznać historię pakistańskiego chłopca Iqbal Masiha, którego krzyk „Nie kupujcie dziecięcej krwi!” za sprawą telewizji usłyszał chyba cały świat. Ten chłopiec o dużych, ciemnych oczach pokazywał przed kamerami swoje spracowane, zdeformowane dłonie, które przypominały dłonie starego człowieka.

Wszyscy poznaliśmy wtedy jego tragiczną historię. Iqbal miał cztery lata, kiedy jego rodzice byli zmuszeni sprzedać go za równowartość dwunastu dolarów. Chłopiec pracował w tkalni. Całymi dniami zaplatał tysiące wełnianych supełków, żeby wyprodukować dywan. Kiedy pewnego dnia udało mu się stamtąd uciec, odważył się pójść do stowarzyszenia, w którym zgłosił przypadek niewolnictwa. Opowiedział o dwunastogodzinnym dniu pracy w urągających człowiekowi warunkach, a także o biciu, gdy ze zmęczenia zdarzyło mu się zasnąć nad warsztatem.

Porażające świadectwo. Iqbal został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie należy jednak

⁸ Cyril Guinet, *Restavec, l'histoire d'un enfant que vous n'oublierez jamais* (Resta-vec, historia dziecka, którego nigdy nie zapomnisz), „Le Nouveau Détective” (19 VII-30 VIII 2006 r.) (przyp. aut.).

mieć wątpliwości, że rękę do tego przyłożyła tzw. mafia dywanowa specjalizująca się w dziecięcym niewolnictwie. Gdy zginął, miał dwanaście lat...

Dziecięcy niewolnicy to problem nie tylko krajów trzeciego świata (rozwijających się). To samo zjawisko możemy spotkać także w Ameryce Północnej oraz Europie. Co więcej może ono dotyczyć nawet 2 milionów dzieci, które pracują w Niemczech, Portugalii, Wielkiej Brytanii oraz we Włoszech. Według raportu skierowanego do brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych setki dzieci pochodzących z Afryki, Azji i Europy Wschodniej przebywa nielegalnie w Wielkiej Brytanii. Handlarze żywym towarem kupują je od skrajnie ubogich rodzin, mając obietnicami o lepszej przyszłości ich pociech. Ci sami handlarze wmawiają im także, że dzieci na pewno będą mogły wspomóc finansowo rodzinę pozostającą w ekstremalnej nędzy. Do tego jednak nigdy nie dochodzi. Młodociane ofiary, gdy tylko postawią nogę na brytyjskiej ziemi, kierowane są do najcięższych robót, zostają poddane surowym karom cielesnym, a także stają się obiektami wykorzystywania seksualnego. Pracują w restauracjach, zakładach szwalniczych i są zmuszane do rozprowadzania narkotyków. Dziewczynki najczęściej dołączają do grona nieletnich prostytutek.

A Francja? Tu niewolnictwo zostało zniesione 27 kwietnia 1848 roku, A jednak w czerwcu 2010 roku, czyli w czasie, gdy piszę te słowa, przed sądem w Paryżu toczy się kolejny proces w sprawie niewolnictwa dzieci. Pewna para została oskarżona o uprowadzenie na fałszywych

papierach jedenastoletniej Malijki o imieniu Rose i przywiezieniu jej do Francji w 1997 roku. Dziewczynka przez dziewięć lat była zmuszana do ciężkiej pracy, którą musiała wykonywać każdego dnia przez piętnaście godzin.

Dziesięć lat później dwunastoletnią Togijkę Henriette spotkał podobny los, tym razem z rąk paryskich arystokratów⁹. Została uratowana przez członków Komitetu Przeciw Współczesnemu Niewolnictwu¹⁰. Ta organizacja doliczyła się jeszcze dziesiątek tego typu przypadków. Scenariusz jest zawsze taki sam. Młoda dziewczyna, pochodząca najczęściej z Afryki, trafia do rodziny, która obiecuje jej edukację i lepszą przyszłość. Jednak tuż po przybyciu zabiera jej się dokumenty i odcinają od świata, a przede wszystkim pozbawia kontaktu z rodziną. Dziewczyna zostaje służącą bez wynagrodzenia i żyje w nieludzkich warunkach.

Tina nie należy do grupy dzieci, które muszą niewolniczo pracować, do „niewinnych katorżników i w piekle aniołów” — jak pisał Victor Hugo w jednym ze swoich poematów¹¹. Inteligencja, siła charakteru, a przede

⁹ Henriette Akofa, *Une esclave moderne* (Współczesna niewolnica), wyd. Michel Lafon 2000 (przyp. tłum.).

¹⁰ Komitet Przeciw Współczesnemu Niewolnictwu założony w 1994 r. przez dziennikarkę Dominique Torres postawił sobie za cel walkę z wszelkimi przejawami niewolnictwa, a także uwalnianie wszystkich dzieci przetrzymywanych siłą (przyp. tłum.).

¹¹ *Melancholia*, poemat Victora Hugo, którego najbardziej znany fragment brzmi:

Dokąd idą dzieci o ustach bez uśmiechu,

Istoty zamyślane, twarze zapadnięte?

Dziewczęta ośmioletnie człapią bez pośpiechu,

Od świtu aż do zmierzchu do pracy zaprzęgnięte.

Piętnaście godzin w młynie przy żarnach im stać.

I na wieczność w kieracie jak w celi śmierci trwać, (przyp. tłum.)

wszystkim miłość do najbliższych pozwoliły jej przetrwać najgorszy czas. W ciągu kilku miesięcy nauczyła się języka francuskiego, zdała egzaminy i została opiekunką starszych osób. W krótkim czasie była zdolna prowadzić samodzielne życie, do którego nikt wcześniej przecież jej nie przygotował. Ci, którzy chcieli ją zniszczyć, zmiażdżyć, przegrali i ponieśli karę.

Teraz Tina może realizować swoje plany i spełniać marzenia. Chce zostać pielęgniarką, spotkać mężczyznę swojego życia, być matką. Pragnie mieć liczną rodzinę. Oczyma wyobraźni widzi w swoim domu czworo dzieci.

Tino, jesteś młoda, przed tobą całe życie. Spełniaj swoje marzenia i bądź szczęśliwa!

Cyril Guinet, czerwiec 2010 roku

Podziękowania

Dziękuję Francji, która mnie uwolniła i okazała się sprawiedliwa.

Dziękuję mecenas Martine Péron, pani adwokat, która jest moim aniołem na Ziemi. To ona uświadomiła mi, że aby nawzajem się zrozumieć, wcale nie trzeba głośno krzyknąć i gestykulować.

Dziękuję również Véronique Ayton, jej asystentce, której łagodny uśmiech już na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Jestem wdzięczna swoim braciom, Emmanuelowi i Ayubie, mojej siostrze Esther, wujkowi Bali, kuzynowi Mice i całej rodzinie w Nigerii. Nie zapomnieliście o mnie, a wasze ramiona pozostały dla mnie otwarte. Jesteście i zawsze będziecie moją prawdziwą rodziną.

Dziękuję Magdzie, Patrykowi i ich dzieciom, którzy byli moją jedyną iskierką nadziei w ciągu tych czterech podłych lat.

Dziękuję Francis, Martine, Fizii, Dominique, Josette i wszystkim opiekunom oraz nauczycielom z ośrodka

w Bois-d'Arcy. Nie pamiętam wszystkich imion, ale przed oczami mam wasze twarze. Nigdy nie zapomnę poświęcenia, jakie mi okazaliście. To wy przywróciliście mnie do życia. Serdeczne podziękowania składam także państwu Kalu, Nataszy Yoran Torde, Nefertiti Pounenedeli, Chantal Marboui... Jesteście zawsze wtedy, gdy najbardziej was potrzebuję, w chwilach największego smutku i kiedy po prostu jest mi źle. Bez was straciłabym grunt pod nogami. Ta książka daje mi okazję do wyrażenia, jak bardzo was kocham i jak bardzo wszyscy jesteście dla mnie ważni. Dziękuję również Nathalie, która znalazła mnie na ulicy, wysłuchała i jako pierwsza poprowadziła ku wolności. Nigdy nie zapomnę wsparcia, jakiego mi udzieliła. Z głębi serca dziękuję...